

Lauren & Cole
Ona pragnęła umrzeć. On nie chciał jej zabić
Razem mogli podbić świat

ZABÓJCY DUET

KINGA
LITKOWIEC

Table of Contents

[Rozdział pierwszy](#)

[Lauren](#)

[Rozdział drugi](#)

[Cole](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Lauren](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Cole](#)

[Rozdział piąty](#)

[Lauren](#)

[Rozdział szósty](#)

[Cole](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Lauren](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Cole](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Lauren](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Cole](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Lauren](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Cole](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Lauren](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Cole](#)

[Rozdział piętnasty](#)

[Lauren](#)

[Rozdział szesnasty](#)

Cole

Rozdział siedemnasty

Lauren

Rozdział osiemnasty

Cole

Rozdział dziewiętnasty

Lauren

Rozdział dwudziesty

Cole

Rozdział dwudziesty pierwszy

Lauren

Rozdział dwudziesty drugi

Cole

Rozdział dwudziesty trzeci

Lauren

Rozdział dwudziesty czwarty

Cole

Rozdział dwudziesty piąty

Lauren

Rozdział dwudziesty szósty

Cole

Rozdział dwudziesty siódmy

Lauren

Rozdział dwudziesty ósmy

Cole

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Lauren

Rozdział trzydziesty

Cole

Rozdział trzydziesty pierwszy

Lauren

Rozdział trzydziesty drugi

Cole

Epilog

Lauren

(dziewięć miesięcy później)

Kinga Litkowiec
Zabójczy duet

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Opieka redakcyjna: Barbara Lepionka

Projekt okładki: Justyna Sieprawska

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <https://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

http://editio.pl/user/opinie/zabdra_ebook

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-289-0930-4

Copyright © Helion S.A. 2024

- [Poleć książkę](#)
- [Kup w wersji papierowej](#)
- [Oceń książkę](#)
- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to!](#) » [nasza społeczność](#)

Rozdział pierwszy

Lauren

Nie lubię nocy w tym domu. Lęk, jaki odczuwam za każdym razem, gdy zapada zmrok, jest nie do zniesienia. Jest nas czternaścioro, przynajmniej dzisiaj. Tylko nieliczni zostają tu na dłużej. Ja, bo nie mam gdzie pójść. Patrick, bo z jakiegoś powodu lubi tu być. Claudia, bo jest jej wszystko jedno. No i mój największy koszmar — Thomas — bo podoba mu się, że może dręczyć innych. Choć nie jestem jego jedyną ofiarą, mam wrażenie, że to właśnie na mnie uwziął się najbardziej. Wciąż jednak brakuje mi odwagi, by stąd uciec. Boję się tego, że sobie nie poradzę.

Ta noc jest wyjątkowo cicha. Państwo Romer nie pozwalają na hałas, ale tak cicho nie było jeszcze nigdy. Skulona na swoim łóżku nasłuchuję jakichkolwiek odgłosów, ale żaden dźwięk do mnie nie dochodzi. To nie wróży niczego dobrego. Może to tylko moja podświadomość? Nowa dziewczyna — Sofia, chyba już śpi lub po prostu boi się tak samo jak ja. Jest tu od trzech dni, a już kilkakrotnie ją zastraszone. Sofia jest niską i krągłą dziewczyną. Nikogo nie obchodzi to, że jest miła. Thomas wyśmiał jej rude włosy, nadwagę, piegi, a nawet szparkę między górnymi jedykami. Płakała, a ja próbowałam ją pocieszyć, choć co mogłam powiedzieć? Tak naprawdę zazdrościłam jej, że jest tylko obiektem żartów. Nawet nie wie, jakie ma szczęście... Chciałabym być na jej miejscu. Chciałabym, żeby mnie wyśmiewali. Wtedy nikt nie próbowałby mnie dotknąć.

Przemykam oczy, wykończona nasłuchiwaniami. Nie jest mi jednak dane zasnąć, bo ktoś wchodzi do pokoju. To na pewno Thomas. Zaciskam powieki, nie wiem, po co udaję, że śpię, skoro to nic nie pomoże. Słyszę bicie swojego serca, kiedy czekam na ruch chłopaka. Im dłużej nic się nie dzieje, tym bardziej się denerwuję. Chciałabym mieć to już za sobą.

— To głupi pomysł. Wracajmy, nie chcę znowu trafić do domu dziecka.

Mogę jedynie domyślać się, że to Nick, chłopak, który jest tu od niecałego miesiąca. Gdy tylko go zobaczyłam, wiedziałam, że szybko stanie się popychadłem Thomasa. Słyszając jego głos, upewniam się tylko w tym przekonaniu.

— Wyluzuj. Ich to nie interesuje. Chcą tylko ciszy i kasy, którą za nas dostają. Chuj ich obchodzi reszta.

Wciąż udaję, że śpię. Przez chwilę nie dzieje się nic, aż w końcu znów słyszę jego cichy głos.

— Grubasku... Chcesz się zabawić?

Delikatnie unoszę jedną powiekę. Sofia siada gwałtownie na łóżku, ściska w dłoniach kołdrę i odsuwa się jak najdalej od nich.

— Nic ci nie zrobimy — śmieje się Nick. — Pomyśleliśmy, że masz ochotę nam obciągnąć.

Rzygać mi się chce, gdy to słyszę. Jakaś część mnie chciałaby pomóc, ale wiem, że to nic nie da. Jedynie wpakuję się w jeszcze większe kłopoty, które i tak mnie czekają. Nie wierzę w to, że oni zostawią mnie w spokoju. Po zapewnieniu Thomasa, że nikt nie kiwnie palcem, Nick stał się równie obleśny. Z szeroko otwartymi oczami przyglądam się Sofii. Jej łóżko stoi po drugiej stronie pokoju, przy oknie, więc światło księżycy oświetla jej twarz. Na chwilę przenoszę spojrzenie na drzwi, które mam tuż obok głowy. Gdybym szybko wstała i wybiegła... Tylko co miałabym zrobić później? Musiałabym uciec, zostawiając tę biedną dziewczynę? A może szukać pomocy? To daremne, nikt nie pomoże.

Znów patrzę na łóżko, Thomas i Nick stoją nad przestraszoną Sofią. Widzę, że płacze, a po chwili słyszę też jej szloch.

— Masz dwie możliwości — odezwał się Tom. — Albo nam obciągniesz, albo stąd wyjdiesz. — Odwraca nieznacznie twarz w moim kierunku. — Nie myśl, że nie wiem, że nie śpisz, Lauren.

Wstaję gwałtownie z łóżka, ale nie dosięgam nawet klamki. Ktoś mnie łapie i ciągnie do tyłu. Po chwili widzę nad sobą Thomasa. Siedzi na mnie, przytrzymując mnie mocno za ręce, które układa tuż nad moją głowę. Pochyliła się, wystarczająco blisko, żebym mogła zobaczyć jego uśmiech. W tym świetle wydaje się jeszcze straszniejszy. Czarne włosy opadają mu na czoło, niemal zakrywając przymrużone, piwne oczy. Kilkudniowy zarost postarza go o parę lat. Nie wygląda na osiemnastolatka, a na faceta, który ma za sobą kilka wyroków.

— Wybacz, stary, ale ona jest tylko moja — zwraca się do Nicka, który kuca tuż obok mojej głowy. — Bierz ruda, pasujecie do siebie.

Nick nie wydaje się zaskoczony. Uśmiecha się szeroko i wstaje. Poprawia koszulkę, która podwinęła mu się i odsłoniła zbyt dużą część jego okrągłego brzucha. Odwraca się i idzie znów do Sofii, która ponownie zaczyna szlochać. Nie

jestem nawet w stanie skupić się na niej, bo sama przeżywam ten sam koszmar. Thomas kładzie się na mnie, czuję jego wzwód na moim brzuchu, a twardy zarost drażni moją szyję. Jedna samotna łza spływa po moim policzku.

— Możesz krzyknąć. Nikogo nie ma. Nikogo, kto mógłby zareagować, kto mógłby chcieć cię uratować — szepcze mi do ucha, po czym ściska jedną z moich piersi.

Zaczynam płakać, dołączając tym samym do Sofii. Unoszę głowę, jest tak samo przygwożdżona jak ja. Wiem, co się za chwilę wydarzy. Nie chcę ponownie tego przeżywać, ale Thomas ma rację, nikt mi nie pomoże. Reszty nie obchodzi to, co się dzieje z innymi. Martwię się jedynie o siebie, bo tak trzeba robić, gdy trafi się do tego domu.

Próbuję się wyrwać, nie ułatwię zadania temu sukinsynowi. W końcu puszcza moje dłonie, ale zanim udaje mi się choć spróbować wyswobodzić, dostaję silny cios, prosto w oko. Krzyczę z bólu i opadam bez sił. Moje serce wali jak oszalałe, gdy Tom zsuwa się ze mnie i łapie za gumkę moich spodni od pizamy. Nieznacznie unoszę głowę, obserwując, jak mnie rozbiera. Gdy jest już przy moich stopach, używam całej swojej siły i kopię go prosto w twarz.

— Ty pieprzona dziwko! Zabiję cię, kurwa, przysięgam, że cię zabiję!

Wstaję gwałtownie i szybko podciągam spodnie. Wybiegam z pokoju, nie oglądając się za siebie. Biegnę korytarzem, potykając się o swoje stopy. Przewracam się, zaczepiając o rząd butów, i lecę na twarz, tuż przed drzwiami. Podnoszę się szybko i przypominam sobie, że jest środek zimy. Rozglądam się za swoimi butami, ale ich nie widzę. Słyszę, że oni są już blisko, więc chwytam pierwszą parę, wkładam je w pośpiechu, a następnie łapię za kurtkę i wybiegam. Zimny powiew wiatru rani moją odsłoniętą skórę. Mam na sobie jedynie długie spodnie od pizamy i top na ramiączkach. Nawet po założeniu kurtki czuję niewielką różnicę. Zimy w Hebronie są straszne, szczególnie nocami.

Zapominam o mrozie, gdy odwracam się i widzę ich w drzwiach kamienicy. Biegnę, nie patrząc już za siebie. Buty, które zabrałam, są na mnie za małe, ale wytrzymam. Adrenalina i strach szybko rozgrzewają moje ciało, ale wiem, że to za chwilę minie.

Dobiegam do parku, czuję przenikające zimno, jednak to nie jest najgorsze. Zamarnę tutaj, będę konać w męczarniach. Nie wrócę do domu dziecka,

zadzwońią do moich rodziców zastępczych. Nikogo nie obchodzi, co się tam dzieje. Oby tylko podarowali Sofii. Wybiegli za mną, więc mogła uciec, ukryć się gdzieś. Chociaż na tę jedną noc. Współczuję jej, ale sama przechodziłam to przez trzy lata. Nikt mi nie pomógł, nikomu nie było mnie żal. Nienawidzę Toma i państwa Romer, którzy zostali rodziną zastępczą tylko dla pieniędzy. Nikt z nas ich nie obchodzi. Chłopcy mogą gwałcić dziewczyny, a oni potrafią jedynie krzyczeć, żeby byli ciszej. Są potworami, których nikt nie ma ochoty powstrzymać. Marzę o tym, by wszyscy dostali kiedyś za swoje.

Po godzinie nie czuję już stóp. Tak naprawdę nic nie czuję, zamarzam. Jest chyba dwadzieścia stopni mrozu, a podmuchy wiatru zdają się kaleczyć moją twarz. Jednak wciąż idę. Muszę iść. Dostrzegam zaśnieżoną ławkę, chciałabym na niej usiąść, ale to najgłupsze, co mogłabym zrobić. Pograżona w myślach, nie zauważyłam nawet, że wyszłam z parku. Zmierzam po ścieżce na początku lasu i choć powinnam zawrócić, nie robię tego. Nie czuję strachu. Wiem, że tej nocy umrę, i tym samym mój koszmar się skończy. Będę wolna. Niejednokrotnie myślałam o samobójstwie, ale nigdy się na to nie odważyłam. Najwidoczniej przyszedł na mnie czas, a ja się z tym pogodziłam.

Do moich uszu dociera krzyk. Żałosny, przerażający krzyk mężczyzny. Tak chyba krzyczą osoby, które są obdzierane żywcem ze skóry. Po raz pierwszy od kilku godzin coś czuję. Nie wiem, dlaczego kieruję się za hałasem, ale kroki stawiam coraz szybciej. Zamiast uciekać, pcham się pewnie w coś strasznego. Potykam się o gałęzie zakryte warstwą śniegu, ale nie tracę równowagi. Idę, aż przestaję to słyszeć. Jest już po wszystkim. Stoję bez ruchu. Znów jest mi zimno, ale moje ciało nie drży. Zza drzew wylania się postać, która zauważyła mnie pewnie wcześniej, niż ja zauważyłam ją. Mam takie wrażenie, bo wydaje się iść prosto na mnie. Wciąż stoję nieruchomo. To mężczyzna, jestem tego pewna, gdy znajduje się kilka metrów ode mnie. Ma potężną sylwetkę, która w mroku wydaje się chyba jeszcze bardziej przerażająca niż w świetle dnia. Staje naprzeciwko mnie, lecz nie udaje mi się spojrzeć na jego twarz. Znika po sekundzie za moimi plecami. Popycha mnie do przodu tak mocno, że niemal upadam twarzą na śnieg. Łapię równowagę, a on znów mnie popycha. Robię krok, później kolejny. W końcu dochodzi do mnie, czego on chce, i idę po jego śladach. Słyszę zgrzytanie śniegu pod naszymi stopami i nic poza tym.

Już po kilkunastu metrach dochodzę tam, gdzie chciał zaprowadzić mnie mężczyzna. Śnieg w tym miejscu zabarwiony jest na czerwono. Zamieram na widok krwi, a gdy mój wzrok zmierza dalej, z moich ust wydobywa się cichy krzyk. Oparte o drzewo leży zmasakrowane ciało. Człowiek, który mnie tu przyprowadził, musiał wypatroszyć tego nieszczęśnika. Z jego brzucha wystają wnętrzności, twarz również ma poharataną. Odwracam się szybko, bo nie mogę dłużej na to patrzeć. I wtedy przed moimi oczami widzę tylko jedno — broń. Przełykam ślinę, ale nie ze strachu. Czuję ulgę, wiedząc, że moja śmierć będzie szybka i bezbolesna. Jeden strzał i wszystko się nareszcie skończy.

Przenoszę wzrok z lufy na mężczyznę, który za chwilę mnie uwolni. Chciałabym go poprosić, żeby zrobił to szybciej, ale nie mam odwagi. Nie obchodzi mnie nawet to, że być może nikt nie znajdzie mojego ciała. Przecież nie mam rodziny. Nikt za mną nie zatęskni. Nie zadba o godny pogrzeb. Nikt nie będzie mnie szukał.

Odbezpiecza broń, a na ten dźwięk mimowolnie drga mi kącik ust.

Rozdział drugi

Cole

Patrzę na obraz nędzy i rozpaczy, który uśmiecha się na widok spluwy. Ledwo zauważalnie, ale, kurwa, uśmiecha się! Zamiast pociągnąć za spust, spoglądam na nią. Robię to z czystej ciekawości, bo po raz pierwszy jestem świadkiem czegoś takiego. Dziewczyna jest młoda, może nawet to jeszcze dziecko. Noc i ogromny siniak na oku utrudniają mi ocenę jej wieku. Dlaczego się uśmiecha?

Nigdy się nie zawahałem, ale teraz... W ten sposób patrzę na mnie osoby, które błagają o śmierć, gdy nie mogą znieść tortur, jakie im zadają. Jednak nigdy się nie uśmiechają. Zamiast ją zastrzelić, opuszczam rękę i odwracam się do niej plecami. Gdybym nie miał dopiero trzydziestu lat, pomyślałbym, że się starzeję i mięknie mi serce. Ale to coś zupełnie innego.

Zostawiam ją, wiedząc, że i tak nic nikomu nie powie. Już po jej twarzy widać, że ma wystarczająco dużo swoich problemów. Po kilku krokach orientuję się, że za mną idzie. Kurwa, jakim głupcem trzeba być, żeby to robić? W pierwszej chwili mam zamiar się odwrócić i strzelić jej w łeb, ale rezygnuję. Może boi się, że zgubi się w lesie, a jej chory umysł podpowiedział, że lepiej iść za mordercą? Zmierzam przed siebie, starając się nie zwracać na nią uwagi. Mój instynkt jednak nie pozwala mi nie myśleć, co jeszcze bardziej mnie wkurwia. Zgrzytanie śniegu pod jej stopami sprawia, że w końcu nie wytrzymuję i się odwracam. Dziewczyna zatrzymuje się niemal w tej samej chwili. Stoi jakieś pięć metrów ode mnie, więc robię kilka kroków w jej kierunku, żeby dobrze mnie słyszała. Nie zdążam nawet otworzyć ust, kiedy odzywa się pierwsza.

— Dlaczego mnie nie zabiłeś? — pyta z wyrzutem w głosie, co na moment odbiera mi zdolność racjonalnego myślenia.

— Jesteś nienormalna, dziewczyno?

Chcę się odwrócić, ale ona znów się odzywa.

— Zabij mnie, proszę. Jeśli tego nie zrobisz i tak do jutra będę martwa. Nie chcę umierać przez wiele godzin, marznąć w tym miejscu. Po prostu mnie zabij, przecież właśnie to chciałeś zrobić.

Nie odpowiadam, odwracam się i znów idę przed siebie. Po raz pierwszy spotykam człowieka, który bardziej ode mnie nie boi się śmierci. Co gorsza, to dziewczyna, jeszcze dziecko. Nie boimy się pożegnania ze światem z zupełnie innych powodów. Jej jest po prostu źle na świecie, a ja nie mogę bać się tego, na co skazują ludzi od piętnastu lat. Śmierć jest czymś pewnym. Czymś, co prędzej czy później dopadnie każdego.

Ona wciąż za mną idzie. A im dłużej to robi, tym mniejszą mam ochotę ją zabić. Zbyt mocno tego pragnie, bym mógł jej to dać. Dochodzę do auta zaparkowanego po drugiej stronie parku. Nareszcie. Ogrzeję się i pozbędę się ogona. Wsiadam do środka i odpalam silnik. Zanim ruszam, nastawiam wysoką temperaturę i wyciągam telefon, żeby potwierdzić wykonanie zadania. Odwracam na moment głowę na drzwi od strony pasażera. Ona tu, kurwa, stoi. Nie widzi mnie przez przyciemnianą szybę, ale nie mogę pozbyć się wrażenia, że patrzy prosto na mnie. Nie przypomina mi obłąkanej, choć jej zachowanie na to wskazuje. Przechylam głowę i odblokowuję telefon. Wysyłam wiadomość do mojego zleceniodawcy, po czym sprawdzam listę pozostałych zleceń. Czytając, staram się nie myśleć o wariatce, która wciąż stoi obok mojego samochodu. Zatwierdzam przyjęcie kolejnej roboty i odkładam telefon, mimowolnie zerkając na szybę.

— Kurwa — cedzę przez zęby. Nie wiem, jak do tego doszło, ale opuszczam szybę w drzwiach. — Właż — warczę.

Od razu żałuję. Dziewczyna wchodzi bez wahania i dokładnie mnie obserwuje.

— Tu chcesz mnie zabić? Czy zrobisz to w innym miejscu? — pyta beznamiętnie.

— Ile masz lat?

— Dwadzieścia — odpowiada szybko.

— A naprawdę?

— Kilka dni temu skończyłam osiemnaście. Ma to dla ciebie jakieś znaczenie?

Bez ciągnięcia rozmowy ruszam autem. Zerkam na nią raz na jakiś czas. Rana na oku jest świeża, musiała powstać w ciągu ostatnich kilku godzin. Ma na sobie spodnie od piżamy, więc uciekała. Ktoś ją zgwałcił albo próbował to zrobić. Winny może też być ojciec alkoholik, który lubi robić awantury po paru głębszych.

— Jak się nazywasz? — Nie odpowiadam. — Ja jestem Lauren. Pochodzisz stąd? Nigdy wcześniej cię nie widziałam.

Zaciskam szczękę i podgłaśniam radio, żeby jej nie słuchać, bo zaczyna działać mi na nerwy. Gdybym tak nie lubił tego samochodu, naprawdę bym ją zastrzelił. Nienawidzę hałasu, a przede wszystkim mam alergię na ludzki głos. Dlatego pracuję w pojedynkę i preferuję proste zlecenia — śmierć od kulki w łeb. Bez wyciągania informacji, bez kombinowania jak dzisiaj.

Zastanawiam się, co mam z nią teraz zrobić. Po co w ogóle ją ze sobą zabierałem? Nie znam Hebronu na tyle dobrze, żeby wiedzieć, czy znajduje się tu jakieś schronisko dla bezdomnych, do którego mógłbym ją odstawić. Nawet to, że rozmyślałam nad tym, co zrobić z tą dziewczyną, sprawia, że jestem jeszcze bardziej wkurwiony.

— Nie zabiję cię. — Zatrzymuję się na poboczu. — Jedyne, co mogę dla ciebie zrobić, to odwieźć cię do domu.

Na moje słowa od razu sztywnieje.

— Możesz chociaż zawieźć mnie gdzieś, gdzie będę mogła przenocować? — pyta zrezygnowana. — Proszę, nie chcę tam wracać.

— Wyglądam na kogoś, kto pomaga innym? — Rzucam jej wkurwione spojrzenie w nadziei, że w końcu odpuści.

— Na bezwzględnego mordercę też nie wyglądasz.

Zaciskam palce na kierownicy. Nie zabiję jej. Powinienem, ale tego nie zrobię.

— Zginęłabyś, gdybyś tego nie chciała. Bez lęku w oczach ofiary nie mam satysfakcji. — Uśmiecham się krzywo i ponownie odpalam silnik.

— Mogę udawać.

— Nic już więcej nie mów — odpieram znudzony.

Tyle lat przemierzam świat, a jeszcze nigdy nie spotkało mnie coś równie popieprzonego. Jutro wyjeżdżam, więc jakoś przetrwam kilka godzin z tą dziewczyną. Przynajmniej mam taką nadzieję. W ostateczności sam strzelę sobie w łeb.

Rozdział trzeci

Lauren

Nie tak miało być, ale nie powinnam narzekać. Mam chociaż gdzie spędzić tę jedną noc. Nie wiem, co będzie później, ale cieszy mnie to, że dziś nie umrę z zimna.

Mężczyzna zabrał mnie do małego drewnianego domu znajdującego się gdzieś na odludziu. Przestałam się odzywać, bo to, co do tej pory mówiłam, mogło sprawić, że wzięł mnie za psychicznie chorą. Nie powinno mi zależeć na jego zdaniu, tym bardziej że z pewnością coś jest ze mną nie tak. Trzy lata udręki odbiły się na mojej psychice i już nic tego nie zmieni. Jednak on mi pomógł. Może nawet nie zdaje sobie z tego sprawy, ale jestem mu wdzięczna.

— Ogrzej się — mówi beznamiętnie, gdy wchodzimy do środka. — Jutro będziesz musiała radzić sobie sama.

Na te słowa znów ogarnia mnie strach, o którym nie chciałam teraz myśleć.

— Dlaczego mnie nie zabijesz? — pytam ponownie.

— Bo tak zdecydowałem.

Pomieszczenie jest niewielkie i niemal puste. Przy jednej ścianie stoi łóżko, a przy drugiej kanapa, na środku jest stolik z telewizorem, a przy drzwiach znajduje się niewielka szafa. Nie jest obskurnie, jednak mężczyzna jeździ drogim sportowym samochodem, więc tak skromne wnętrze w ogóle do niego nie pasuje.

Siadam na kanapie i przyglądam się nieznanemu, podczas gdy on nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi.

— Nie jesteś stąd, prawda? — odzywam się cicho.

— Nie.

— Powiesz mi chociaż, jak masz na imię?

— Cole.

— Jesteś płatnym zabójcą?

Mruży oczy, jakbym zadała pytanie, którego się nie spodziewał. Jednak musiałam o to zapytać.

— Tak.

Na pewno nie jest rozmowny...

— Ile kosztuje twoja usługa?

— Nie stać cię na nią.

Zaciskam zęby, jednak długo tak nie wytrzymuję.

— Nie chcę zapłacić ci za to, żebyś zabił mnie. Z tym sama jeszcze sobie poradzę — odpowiadam nerwowo. — Chciałabym, żebyś zabił... kogoś — dodaję drżącym głosem.

Na samo wspomnienie Thomasa łzy stają mi w oczach.

— Kogo miałbym zabić?

Po raz pierwszy w tonie Cole'a wyczuwam zainteresowanie. Daje mi to nadzieję. Wiem, że zapewne ma rację i nie stać mnie na niego, ale łudzę się, że uda mi się z nim dogadać. Nawet gdybym miała spłacać go do końca swojego życia.

— Człowieka, przez którego znalazłam się tutaj. W sumie nie tylko jego. Lista byłaby dość długa.

— Tak jak już mówiłem, nie stać cię na to.

— A gdybym spłacała cię w ratach?

— Ja pierdołę — śmieje się gorzko. — Nie wiem, co ci się przydarzyło, i prawdę mówiąc, w ogóle mnie to nie obchodzi. Nie zabijam na zlecenie małych bez grosza. Ciesz się, że zabrałem cię z tego pieprzonego lasu.

Opuszczam głowę, wpatrując się w za ciasne buty raniące coraz bardziej moje stopy. Zsuwam je ostrożnie i dostrzegam poważne przetarcia nad piętą i na palcach. Teraz boli jeszcze bardziej. Nie chcę ponownie ich zakładać, a tym bardziej zastanawiać się, co zrobię jutro.

Nagle Cole rzuca obok mnie koc. Łapię go bez zastanowienia i dokładnie się nim okrywam. Mimo grubej kurtki jest mi wciąż cholernie zimno.

— Dziękuję — szepczę do mężczyzny, gdy ten kładzie się na łóżku.

— Nie masz mi za co dziękować.

— Marzyłabym przez kilka godzin.

— To tylko odroczenie wyroku, Lauren — mówi śmiertelnie poważnym tonem.

— Tak, wiem. Jutro już nie będę miała tyle szczęścia — odpieram przygaszonym głosem.

Kładę się na kanapie i zaczynam rozmyślać o tym, co zrobię. Powrót do domu dziecka nie wchodzi w grę. Nie uwierzą mi, jeśli powiem im, jakie piekło musiałam

przechodzić. Do domu zastępczego także nie wrócę. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej przekonuję się, że została mi już tylko śmierć.

— Jeśli nie chcesz mnie zabić, daj mi swój pistolet. Sama to zrobię — szepczę.

Mężczyzna jednak nie odpowiada. Trudno uwierzyć, że zasnął w ciągu kilku chwil, ale może tak właśnie jest. Sama boję się zasnąć. Po raz pierwszy z innego powodu niż zwykle. Ja po prostu nie chcę się już obudzić.

Rozdział czwarty

Cole

Ze snu wybudza mnie dzwonek komórki. Sięgam po nią i zanim odbieram, zerkam na godzinę. Widzę, że jeden z moich największych zleceniodawców dzwoni do mnie o drugiej nad ranem, więc sprawa musi być poważna.

— Tak?

— Masz plany na sylwestra?

Marszczę czoło i unoszę się do pozycji siedzącej.

— Co jest?

— Możemy dorwać tego sukinsyna.

Wzdycham, bo dobrze wiem, o kim mówi. Zdaję sobie także sprawę z tego, że nie odpuści.

— Co wiesz?

— Będzie w swoim domu w Chicago. Urządza wystawne przyjęcie.

— To nie będzie takie proste, Carlos. Nie wejdę tam, a nawet jeśli jakimś cudem mi się to uda, nie zrobię niczego. Dobrze wiesz, że Jordi Dano dokładnie się zabezpiecza.

— Zapłacę pół miliona, jeśli go zlikwidujesz.

Kurwa. Facet jest tak bardzo zaślepiiony chęcią zemsty, że nie rozumie nawet, co do niego mówię. Gdyby zabicie Dano było tak proste, zrobiłbym to już dawno temu.

— Nawet gdybyś zaproponował milion, powiedziałbym ci to samo. Jak mam się dostać do strzeżonej z każdej strony twierdzy i wyjść z tego cało?

— A gdybyś zyskał jego zaufanie? Może zachęciłbyś go do bliższej znajomości z tobą?

— Mów jaśniej.

— Wiesz, że lubi kobiety. Wiesz nawet jakie. To proste, Cole. Znajdź kobietę, która zwróci na siebie jego uwagę, a później zrób wszystko, by zechciał poznać was bliżej. Jeśli dobrze to rozegrasz, zaprosi cię do siebie.

— Wiesz, że pracuję sam. Nie znam kobiety, która byłaby w stanie grać luksusową dziwkę.

— Przemyśl to. Jestem w stanie zapłacić więcej, byś nie musiał tracić ani centa ze swojej doli. Kobiet jest jak na lekarstwo. Przyciągasz je. Wykorzystaj to.

Rozłącza się, a ja wypuszczam głośno powietrze, kładąc głowę na poduszce. Mimo wszystko myślę o zadaniu, jakie mi powierzył, bo samo w sobie jest dla mnie ogromnym wyzwaniem. Poza tym proponowana kwota jest kurewsko kusząca.

— Ja to zrobię.

Dopiero teraz przypominam sobie o tej dziewczynie.

— Co zrobisz?

— Mogę zagrać luksusową dziwkę.

Śmieję się, bo naprawdę mnie rozbawiła.

— Nawet nie wiesz, o czym mówisz, dzieciно.

— Potrzebujesz kogoś, kto dobrze zagra swoją rolę. Zrobię to.

Pewność w jej głosie mnie zaskakuje. Być może jest to determinacja, która narodziła się z powodu lęku przed długą śmiercią z zimna. Wolałbym znaleźć jej jakiś dom, niż gdziekolwiek ze sobą zabierać.

— Bez urazy, ale luksusowe dziwki wyróżniają się urodą.

— Udowodnię ci, że się nadaję.

— Śpij.

Na szczęście nie mówi nic więcej. Ja natomiast zastanawiam się, czy znam kobietę, którą mógłbym przeszkolić. Zlecenie samo w sobie jest ryzykowne i wydaje mi się, że tylko tak zdesperowane kobiety jak Lauren mogłyby pójść na podobny układ. A takich z pewnością nie znam.

O świcie zaczynam zbierać swoje rzeczy. Lauren siedzi na kanapie, przyglądając mi się bez przerwy. Po pewnym czasie zaczyna mnie to kurewsko irytować.

— Nie gap się — cedzę, zakładając płaszcz. — Nie możesz tu zostać.

— Wiem.

— Nie zabiorę cię ze sobą.

— Co ci szkodzi spróbować?

Zerkam na nią. Ma na sobie o wiele za dużą kurtkę i stare szerokie spodnie od pizamy. Z adidasów, które ma na stopach, wystają jej pięty. Twarz dziewczyny także nie wygląda zbyt dobrze. Siniak po kilku godzinach stał się jeszcze bardziej widoczny. Brązowe włosy są potargane i matowe, a cera jest ziemista.

— Widziałaś się w lustrze? — pytam z odrazą.

— Wszystko da się zmienić.

— Jeśli zna się wróżkę.

— Udowodnię ci to. Co prawda siniaka nie usunę, ale on niedługo zniknie. Do tego czasu wszystko mogę zatuszować makijażem.

Nie wierzę w metamorfozę, jaką mi obiecuje. Nie mam także czasu na kolejną wymianę zdań. Śpieszę się, więc zamiast tracić czas na tłumaczenia, dlaczego się nie nadaje, sięgam po telefon, by zarezerwować lot do Miami. Nie wiem jeszcze, czy wykonam zlecenie, ale w tym mieście nie brakuje ludzi, na których wydano wyrok śmierci. Na jedną krótką sekundę zerkam na dziewczynę i to jest mój błąd. Przeklinam w myślach, wściekły na siebie, że jej los zaczął mnie obchodzić. Jej oczy skupione są na podłodze, a usta drżą lekko, jakby próbowała zahamować płacz.

— Co ci się stało? — pytam, od razu tego żałując. — Obiecałem zapewnić ci jedną noc w cieple i tak też zrobiłem. Nie licz na nic więcej, bo nie jestem niańką.

Patrzy na mnie przez zaszkłone oczy.

— Matka porzuciła mnie, gdy miałam cztery lata. Trafiłam do domu dziecka, a trzy lata temu do rodziny adopcyjnej, która wykorzystując ogromny dom, znalazła niezły pomysł na biznes. Nie troszczą się tam o nas, nie obchodzi ich, że ktoś jest krzywdzony. A razem ze mną mieszkają tacy, którzy to wykorzystują.

— Zostałaś zgwałcona — stwierdziłem pod nosem.

— Tak — przyznała cicho. — Wczoraj uciekłam, zostawiając inną dziewczynę, która na pewno odpowiedziała za to, co zrobiłam. Nie wiedziałam, co dalej, ale nie miałam zamiaru tam wracać. Byłam gotowa na śmierć, czekałam na nią.

— Tym bardziej powinniśmy się jak najszybciej rozstać — stwierdzam pewien swego.

Nie jestem psychologiem, ale wiem, że skrzywdzeni ludzie potrzebują pomocy. Ja nie mogę jej tego oferować. Nawet nie chcę.

— Jestem zdesperowana. Zrobię wszystko, żeby tam nie wracać.

— Wiesz, kim jest dziwka?

— Myślisz, że nie dam sobie rady? — śmieje się gorzko. — Nie masz pojęcia, przez jakie piekło przesłam.

Nie myślę, że nie da sobie rady. Jestem tego absolutnie pewien. Chcę mieć jednak czyste sumienie i nie być kolejnym sukinsynem na jej liście. Wygląda na to, że była dość długa. Postanawiam więc dać jej szansę, a później odesłać z powrotem, nie zastanawiając się, czy sobie poradzi. Podchodzę do walizki, z której wyciągam bluzę i czapkę z daszkiem. Rzucam je obok dziewczyny.

— Załóż to.

Widzę, że nie jest pewna tego, co mam w planie zrobić. Wstaje i wolno rozsuwa kurtkę. Kiedy ją z siebie ściąga, otwieram szerzej oczy. Jest cholernie chuda, choć przez cienki podkoszulek można dostrzec dość krągłe piersi. Zakładam, że gdyby go ściągnęła, bez problemu policzyłbym jej wszystkie zębra. Zakłada bluzę, po czym sięga po kurtkę, tym razem jednak jej nie zapina. Na głowę zakłada czapkę, obniżając daszek, który zasłania jej oczy. Ręką wskazuję na drzwi i dopiero gdy rusza, dociera do mnie, dlaczego nie wsunęła butów do końca. Nawet nie wyszliśmy z domu, a ja już żałuję swojej decyzji.

— Ustalmy jedno — odzywam się, stojąc obok samochodu. Otwieram bagażnik, nie zwracając uwagi na dziewczynę. — Robisz, co mówię, nie odzywasz się niepytana i starasz się nie wchodzić mi w drogę. Jeden błąd będzie kosztować cię powrót do tego miejsca. Nie mam zamiaru cię niańczyć — mówię, pakując wszystkie rzeczy. — Jeszcze jedno. — Zamykam bagażnik i dopiero teraz patrzę na dziewczynę. — Jeśli uznam, że się nie nadajesz, także wracasz do domu. Nie wiem, jak to zrobisz. Nie wiem nawet, po cholere cię ze sobą zabieram, skoro mam pewność, jak to się skończy.

— Gdybyś wychował się w takich warunkach jak ja, wiedziałbyś, że potrafię dostosować się do każdej okoliczności.

Nie odpowiadam. Wsiadam do auta i czekam, aż dziewczyna do mnie dołączy. Kiedy to robi, zerkam na nią jeszcze raz.

— Od teraz zaczynasz walkę o swoje życie — mówię cholernie poważnie.

— Toczę ją od urodzenia.

Rozdział piąty

Lauren

On naprawdę nie rozumie, jak bardzo zdesperowana jestem. Jeśli myśli, że szybko stchórzę i będzie miał mnie z głowy, jest w ogromnym błędzie. Tak naprawdę zrobiłabym wszystko, byle tylko nie wracać do tego przeklętego domu. Skoro mnie nie zabił, musi pogodzić się z tym, że nie ucieknę przy pierwszym wyzwaniu. Jest mi to winny. Zabrał mi moją ostatnią nadzieję na spokój. A teraz... teraz już boję się śmierci.

— Wzbudzisz niepotrzebne zainteresowanie w takim stroju — mówi, zatrzymując się na jakimś parkingu. — Znajdę ci coś, w co mogłabyś się przebrać — dodaje, nie ukrywając, jak bardzo jest mu to nie na rękę.

Kiwam głową, bo w tej sytuacji „nie trzeba” byłoby śmieszną odpowiedzią. Ma rację. Jeśli pokażę się w pizamie, w za małych butach i w dodatku z tym wielkim siniakiem, nie przejdę niezauważona. Mnie to nie przeszkadza, jednak Cole z pewnością ma z tym duży problem.

Wychodzi, nie pytając mnie nawet o rozmiar, ale to już chyba nie ma znaczenia. Opieram się o fotel i patrzę przed siebie. Szczęśliwi ludzie przechodzą od czasu do czasu przed samochodem. Uśmiechnięci, wydają się tacy beztroscy. Ja nigdy się tak nie czułam i wątpię, by to kiedykolwiek się zmieniło. Od urodzenia byłam niechciana. Z każdym kolejnym rokiem było jeszcze gorzej, a teraz jestem już w tragicznej sytuacji. Nie chcę tego, ale wspomnienia są silniejsze ode mnie. Najgorsza jest myśl, że Sofia została z nimi sama. Nie chcę nawet wiedzieć, co jej zrobili. Czuję się podle z myślą, że uciekłam, zostawiając ją na pastwę tego bydlaka. Gdybym tylko mogła jej pomóc. Jak miałabym to jednak zrobić? Samej ledwo udało mi się uciec. Zbyt długo się męczyłam, zbyt długo nie walczyłam. Mogłam wpaść na coś wcześniej, uciec w ciągu dnia i szukać pomocy. Kto by mi ją jednak dał? Rok temu pewna dziewczyna myślała, że zgłoszenie sprawy coś załatwi. Oczywiście nikt nie potwierdził jej wersji, a ona została uznana za niewdzięczną gówniarę. To, co działo się później...

— Powinno pasować.

Na szczęście moje myśli przerywa Cole. Ratuje mnie przed kolejnymi wspomnieniami, przez co oddycham z ogromną ulgą. Sięgam po papierową torbę, po czym zerkam na niego. Przygląda mi się wyczekująco, na co nieznacznie się krzywię.

— Tu mam się przebrać?

— Chcesz to zrobić na lotnisku, a może od razu w samolocie?

— Ale...

— No tak. Odważna jesteś. Miałaś rację — stwierdza z sarkazmem.

— Nie o to chodzi — szepczę.

— Posłuchaj. Z jakiegoś powodu, najprawdopodobniej w chwili niepoczytalności, kupiłem ci bilet do Chicago. Samolot mamy za dwie godziny, więc byłbym ci wdzięczny, gdybyś się, kurwa, pośpieszyła albo wyszła z mojego auta.

Zaciskam zęby, choć mam ochotę coś powiedzieć. Odkładam torbę na podłozę obok nóg i wyciągam z niej czarne spodnie. Ściągam szybko kurtkę i dół pizamy. Ktoś przechodzi tuż obok samochodu, na co intuicyjnie się spinam, choć przecież szyby są przyciemnione. Zakładając spodnie, zauważam kątem oka, że Cole wpatruje się przed siebie, co nieco mnie uspokaja. Nie wstydzę się swojego ciała. Nie w ten sposób. Po chwili wyciągam już bluzkę na ramiączkach, także w czarnym kolorze. Zresztą, z tego co widzę, to jedyny kolor, jaki tu jest. Zrzucam swoją koszulkę i tak szybko, jak tylko jestem w stanie, zakładam tę kupioną przez mężczyznę. Są także bluza i adidasy w moim rozmiarze. Albo strzelał, albo ma miarkę w oczach. W sumie nie powinno mnie to dziwić. Płatni mordercy muszą mieć chyba sokoli wzrok.

— To ostatni moment na wycofanie się — mówi, gdy zakładam swoją kurtkę.

— Zawsze możesz mnie odesłać, jeśli się nie spiszę.

— Czuję, że to nastąpi w ciągu najbliższej doby — rzuca pod nosem, po czym odpala silnik.

— Co to za zlecenie?

— Nie powinienem ci o tym mówić.

— Załóżmy, że jednak przejdę twój test.

— Wtedy ci powiem.

— Co ci szkodzi zrobić to teraz? Przecież na ciebie nie doniosę.

— Jordi Dano — wzdycha. — Największy wróg mojego głównego zleceniodawcy. Carlos chce go zniszczyć, ale facet otacza się ochroną z każdej strony. Zbliżenie się do niego graniczy z cudem.

— Co takiego zrobił?

— Zabił żonę Carlosa.

— Zabił? — pytam zszokowana.

— Naprawdę nie powinienem ci o tym mówić. Sprawa nie dotyczy ciebie i wątpię, by to się zmieniło. Jeśli jednak zdarzy się cud, poznasz więcej szczegółów. — Sięga do kieszeni płaszcza, z której wyciąga szklaną buteleczkę. — Zapytałem o coś, co zakryje tatuaż. Powinno pomóc.

Biorę od niego podkład, po czym od razu wyciskam odrobinę na palec i aplikuję na twarz. Po kilku sekundach mój siniak jest zupełnie zakryty, co wyraźnie cieszy Cole'a.

— Od razu lepiej — komentuje, obdarzając mnie przelotnym spojrzeniem.

— Ile masz lat?

— Trzydzieści — odpowiada niechętnie.

A więc jest ode mnie starszy o dwanaście lat. Przyglądam mu się przez chwilę i muszę przyznać, że nie wygląda na swój wiek. Co prawda dwudniowy zarost dodaje mu nieco powagi, ale wciąż nie dałabym mu więcej niż dwadzieścia sześć lat.

— Dlaczego zostałeś płatnym zabójcą?

— Przeprowadzasz wywiad? — cedzi przez zaciśnięte zęby. — Jeśli będę chciał ci się zwierzyć, zrobię to bez twoich pytań. Nie licz jednak na to, że tak się stanie.

Odwracam głowę i patrzę przed siebie, nie odzywam się już ani słowem więcej.

Niedługo później jesteśmy na lotnisku i wszystko dzieje się już bardzo szybko. Dopiero przy odprawie ogarnia mnie lęk przed lataniem. Nie pokazuję tego jednak po sobie. Idę za mężczyzną, który chyba ma nadzieję, że zgubi mnie w tłumie, ale na jego nieszczęście nie ma tu wielu ludzi. W końcu zajmujemy swoje miejsca. Samolot przygotowuje się do startu i po chwili jesteśmy w powietrzu, a ja szybko zapominam o swoim lęku. Skupiam się na tym, że jestem bezpieczna. Na razie. Powtarzam sobie, że dam radę, bo przecież przeżyłam już niejedno piekło. Czym jest udawanie dziwki czy też robienie innych popieprzonych rzeczy? W moim wypadku niczym szczególnym. Już dawno jestem wyprana z uczuć. Już dawno

pustka zagościła we mnie na dobre. Strach jest jedynym uczuciem, które mnie nie opuszcza. Często działa na mnie motywująco i uruchamia mój instynkt przetrwania. Dawno przestał mnie już paraliżować, bo zdążyłam się z nim zaprzyjaźnić. Teraz nawet mi nie przeszkadza, bo nauczyłam się z nim żyć.

— Jak długo trwa lot? — pytam, kiedy cisza między nami robi się nieznośna.

— Jakieś pięć godzin.

— Co planujesz po wylądowaniu?

Odwraca wolno głowę w moją stronę i mierzy mnie zimnym spojrzeniem.

— Udowodnić ci, że się do tego nie nadajesz.

— A jeśli jednak tego nie udowodnisz?

Wzdycha, jakby moje pytania sprawiały mu wewnętrzny ból.

— Nie wiem.

— Rozumiem, że moja obecność ci się nie podoba, ale skoro już zdecydowałeś się na to, żeby mnie ze sobą zabrać, mógłbyś udzielić mi bardziej rozbudowanych odpowiedzi. Chyba mogę wiedzieć, co planujesz, jeśli istnieje szansa, że zostanę.

— Teraz planuję się przespać. Później planuję zameldować się w hotelu, który załatwił dla mnie mój zleceniodawca, i zastanowić się, co robić dalej. A jeszcze później sprawdzić, czy trzymanie ciebie kolejny dzień ma jakikolwiek sens. Czy to wystarczająco rozbudowana odpowiedź?

— Tak — rzucam urażona.

Wiem, że nie ma sensu dłużej pytać go o cokolwiek. Za kilka godzin będziemy w Chicago i rozpocznę walkę o swoje życie. Nie wiem, co zrobię, jeśli się nie uda. Nie chcę nawet o tym myśleć. Zrobię wszystko, dosłownie wszystko, żeby tylko mnie nie odsyłał. Nic nie może być gorsze od powrotu do tamtego domu. To tam dzieje się piekło, którego nic nie jest w stanie powstrzymać. Moi rodzice zastępczy są okropnymi ludźmi, niemającymi za grosz empatii. Co ja mówię, oni nie mają nawet serca. Nienawidzę ich równie mocno jak Thomasa.

Zamykam oczy i próbuję zasnąć. To nie powinno być trudne, bo w nocy praktycznie nie zmrużyłam oka. Przyda mi się więcej energii.

Rozdział szósty

Cole

Na lotnisku czeka już na mnie samochód, a w nim adres hotelu i nowy dokument tożsamości, na jaki mam rezerwację. Carlos jest w stanie załatwić wszystko z każdego miejsca na świecie. Czasami mam wrażenie, że mnie obserwuje. Zresztą nie tylko mnie, a cały pieprzony świat.

— Nie odzywaj się — rzucam oschle do Lauren, kiedy wchodzimy do hotelu. — Dzień dobry, mam rezerwację na nazwisko Brown.

Recepcjonistka zerka na monitor komputera, po czym z uśmiechem wręcza mi kartę.

— Apartament z dwiema sypialniami.

— Dziękuję — odpowiadam z uśmiechem, po czym odwracam się w stronę windy.

— Mężczyzna, który dał ci zlecenie, wie już o mnie? — szepcze dziewczyna, gdy skrzydła windy zamykają się przed nami.

— Tylko tyle, że być może kogoś znalazłem. Nie miej jednak nadziei. Wciąż uważam, że nasze drogi rozejdą się tak szybko, jak szybko się połączyły.

— Skoro dajesz mi szansę, musisz choć trochę w to wierzyć.

Unosi głowę, by na mnie spojrzeć. Jest zaskakująco pewna siebie. Jak to w ogóle możliwe? Przecież osoby po takich przejściach zwykle boją się wszystkiego i wszystkiego, co je otacza. O tym doskonale wiem. Nauka życia na nowo przynosi efekty po latach pracy nad sobą, ale nigdy nie pomaga zapomnieć w pełni o tym, co spaczyło nasze umysły i zdolność postrzegania świata.

— Na moment zmiękło mi serce. Nawet mnie czasami się to zdarza — rzucam beznamiętnie.

— Nie do końca ci wierzę.

— Nie musisz. — Wzruszam ramionami. — Twoje zdanie o mnie nie jest nic warte. Nie znam cię i tak, jak już mówiłem, nie zdążę cię poznać. Nawet nie chcę.

Winda zatrzymuje się na naszym piętrze. Ruszam do przodu, a Lauren próbuje dotrzymać mi kroku, co nie udaje jej się najlepiej. Dogania mnie dopiero, gdy wchodzę do wynajętego apartamentu. Carlos oczywiście nie ograniczał się w

kosztach. Rozglądam się po ogromnym salonie z aneksem kuchennym, po czym idę prosto do drzwi, za którymi znajduje się jedna z sypialń. Przez ramię zerkam na dziewczynę, a po chwili pokazuję jej drzwi obok.

— Ta jest twoja.

Bez słowa wbiegam do siebie. Rzucam torbę na łóżko, wyciągam z niej potrzebne rzeczy, po czym szybko wracam do salonu. Lauren wciąż stoi tam, gdzie stała, gdy wskazałem jej pokój.

— Co jest? — Unoszę brew.

— Nic. Po prostu pierwszy raz widzę coś takiego.

— Mówisz o salonie?

— Tak. Jak zapewne się domyślasz, nie żyłam w luksusach. Większość ludzi nie chciałaby spędzić tam nocy, nawet gdyby miała dostać za to pieniądze.

Opieram się o futrynę i krzyżuję ręce na piersiach.

— Karaluchy, pająki, pleśń i kilkuletni bród?

— Może bez karaluchów.

— A więc masz dzień pełen wrażeń. Naciesz się, zanim wrócisz do tamtego miejsca.

— Nie wrócę do tamtego domu, nawet jeśli każesz mi odejść. Mogłabym zostać tutaj. Życ na ulicy i żebrac o kilka centów. To i tak lepsze niż życie, jakie czeka mnie w tamtym piekle.

— Szykuj się. — Odbijam się od futryny i podchodzę do kanapy na środku salonu.

— Do czego? — pyta zmieszana.

— Mówisz, że dasz sobie radę. — Rozsiadam się wygodnie i z nonszalancją w głosie dodaję: — Pokaż, jak potrafisz uwieść faceta. Jeśli jakimś cudem mnie przekonasz, zostaniesz.

— Teraz?!

— Myślałaś, że dam ci kilka dni? Może tygodni?

— Nie. Po prostu w tym stroju nie zrobiłabym wrażenia nawet na niewidomym!

— Masz szczęście, że nie ja opłacam ten hotel. — Wzdycham, sięgając do kieszeni marynarki, z której wyciągam portfel, a z niego plik gotówki, który podaję dziewczynie. — Stracę kilka tysięcy, ale masz czas do wieczora.

Bierze ode mnie pieniądze, nieco niepewnie mi się przyglądając. Przez chwilę jakby próbowała zrozumieć, co mam na myśli. To przecież jasne. Jestem w stanie poświęcić tę gotówkę, by odzyskać święty spokój. Mam nadzieję, że zamiast wykorzystać ją na daremne próby zrobienia na mnie wrażenia, ucieknie, próbując jakoś przetrwać. Sam właśnie tak zrobiłbym na jej miejscu. Z tymi pieniędzmi miałyby szanse sobie poradzić. Wynająć tani pokój i znaleźć pracę. Po co wydawać kasę na coś, co i tak nie przyniesie korzyści?

— Mam je wydać na siebie? — pyta zdezorientowana.

— Tak. Zaskocz mnie.

Chowa pieniądze do kieszeni spodni, po czym bardzo wolnym krokiem zmierza do drzwi. Gdy wychodzi, ponownie myślę o tym, że nie powinna wracać. Szybko jednak przypominam sobie o powodzie, dla którego tu jestem, i wyciągam telefon, po czym wybieram numer Carlosa.

— Dotarłem na miejsce — informuję go, gdy tylko odbiera.

— Tak, wiem. Co to za dziewczyna?

— Widziałeś ją?

Nie mam pojęcia, po co o to pytam. Odpowiedź jest przecież oczywista.

— Owszem. Zastanawiam się, czy dobrze się zrozumieliśmy. Dano lubi piękne kobiety. Piękne. Kobiety — powtarza, kładąc akcent na każdą sylabę. — A ona... Jest chociaż pełnoletnia? Wygląda na trzynaście lat. Skąd ty w ogóle ją wzięłeś?

— To długa historia. Mówiłem ci już, że to nic pewnego.

— Ale nie mówiłeś, że znalazłeś dziecko na ulicy!

— Nie dziecko. Wyjątkowo zdesperowaną nastolatkę.

— Cole... Co ty właściwie odpierdalasz?

— Szansa na to, że uda mi się zrobić cokolwiek w sprawie Dano jest niemal równa zeru. Nie znam kobiety, która dałaby się namówić na to zadanie. A Lauren jest zdesperowana i zrobi wszystko.

— Porwałeś ją sprzed szkoły?!

— To ona się przyczepiła.

— Nieważne... Będę dawał ci znać na bieżąco. Z tego, co wiem, jutro będzie można spotkać go w restauracji Vie. Na wszelki wypadek zarezerwowałem ci tam stolik na szóstą wieczorem. Choć z tego, co widzę, nie będzie potrzebny.

Powinienem przyznać mu rację. Mój pobyt tutaj jest bezcelowy.

- Być może...
- Twoja lolita weszła właśnie do butiku.
- Ty naprawdę widzisz wszystko — mówię ze szczyptą przerażenia w głosie.
- Odkąd przeszedłem na emeryturę, podgląd z kamer to moja jedyna rozrywka. Znacznie to lepsze od telewizji.
- Domyślam się.
- Czekam na wieści.
- Dam ci znać.

Rozłączam się i zerkam na zegarek. Jest jeszcze wcześnie, więc postanawiam zejść na dół i coś zjeść. Skoro Lauren weszła do sklepu z odzieżą, z pewnością wróci do hotelu. Nie cieszy mnie to, jednak nie rzucam słów na wiatr. Dam jej szansę, mimo że nie wierzę w tę dziewczynę. Wychudzona, pobita, zaniedbana. Zupełnie niepasująca do świata, do którego próbuje się dostać.

Rozdział siódmy

Lauren

Jestem zdeterminowana i gotowa do wszelkich poświęceń. Mój umysł wyłączył się na wątpliwości i lęk. Czuję się jak robot, bo... bo nic nie czuję. Żadnych emocji. Zaprogramowana na walkę o przetrwanie działam intuicyjnie. Najpierw odwiedzam kilka sklepów z odzieżą. Za pieniądze od Cole'a mogłabym wykupić połowę asortymentu, ale wybieram tylko dwie sukienki. Jedną na dziś, by pokazać mężczyźnie, że się nadaję, a drugą na wypadek, gdyby była potrzebna. Oprócz tego wybieram parę szpilek, trzy komplety bielizny i dwie koszule nocne. Tak, jestem pewna, że zostanę. Nie dopuszczam do siebie innej możliwości.

W drogerii kupuję kilka kosmetyków do makijażu, a także szampon, płyn pod prysznic oraz potrzebne mi przybory, jak szczoteczka do zębów, szczotka do włosów i kilka innych drobiazgów.

Z dwiema torbami zakupów udaję się do pierwszego salonu fryzjerskiego, który spotykam po drodze.

— Dzień dobry, w czym mogę pomóc? — pyta kobieta za ladą.

Uśmiecha się sztucznie. Od razu widać, że mnie ocenia i nie jest to ocena pozytywna.

— Chciałabym zrobić coś z włosami.

— Była pani umówiona?

— Nie.

— W takim razie proszę zarezerwować sobie termin. Oczekiwanie na wizytę to trzy miesiące. Wtedy mamy pierwszy wolny termin. Nie można wejść sobie od tak z ulicy i oznajmić, że chce się zostać przyjętym.

Przypomina mi się scena z *Pretty Woman*, w której Vivian zostaje wyproszona z ekskluzywnego butików ze względu na swój wygląd. Różnica między nami polega na tym, że Vivian miała przy sobie Edwarda, który nie darował złego potraktowania kobiety. Ja mam Cole'a, a on z pewnością ucieszy się na wieść, że nie wszystko poszło według mojego planu.

— Proszę. Zapłacę podwójnie — zaczynam błagać, co wywołuje we mnie odruch wymiotny.

Kobieta pochyla się w moim kierunku, opiera ręce na blacie i posyła mi drwiący uśmiech.

— Chyba nie masz pojęcia, jakie są ceny, co?

— Mam dużo pieniędzy. — Wyciągam z kieszeni plik gotówki i unoszę go nieco wyżej. — Tyle chyba wystarczy?

Kobieta prostuje się, robiąc przy tym wielkie oczy.

— Skąd masz te pieniądze?

— Dostałam od ojca. Zostawił mnie, kiedy byłam dzieckiem, i teraz próbuje mi to wynagrodzić.

Akurat kłamstwo przychodzi mi z niebywałą lekkością.

— To niczego nie zmienia. Nie mamy wolnych miejsc. Przykro mi.

Wcale nie jest jej przykro. Widzę, że nie może się doczekać, aż stąd wyjdę. I już mam to zrobić, gdy nagle pomiędzy nami pojawia się jakiś mężczyzna.

— Co się dzieje?

— Chciała, żeby ktoś przyjął ją tak po prostu, bez rezerwacji — odpiera rozbawiona kobieta.

Mężczyzna przygląda mi się uważnie. Wręcz zbyt uważnie.

— Twoje włosy potrzebują pomocy — stwierdza zamyślony.

O dziwo w jego głosie nie słyszę odrazy.

— Wiem. Jestem zdesperowana. Nie znam miasta, nie mam pojęcia, do kogo nie trzeba umawiać się na kilka miesięcy wcześniej. Ale nie będę już zabierać czasu.

— Poczekaj. Właśnie skończyłem zmianę, ale mogę zostać dłużej.

— Naprawdę?

— Tak. Chętnie ci pomogę.

Gestem ręki każe mi iść dalej, co wyraźnie nie podoba się recepcjonistce. Siadam na wskazanym przez mężczyznę fotelu, a on od razu zakłada mi pelerynę. Bardzo uważnie przygląda się moim włosom w kolorze mysiego blondu, po czym zerka na mnie w odbiciu lustra.

— Kiedy ostatnio byłaś u fryzjera?

— Nigdy.

— Nigdy? — pyta zaskoczony. — Włosy podcinałaś sama?

— Tak, ale już dawno tego nie robiłam.

Przygląda się moim końcówkom, po czym znów wraca do mnie.

— Trzeba je ściąć. Pięknie byłoby ci w znacznie krótszych włosach. Co powiesz o długości do ramion?

— Może być. Chciałabym także je przefarbować.

— Mogę ci je rozjaśnić, nadać im zdrowego blasku.

— Chcę czarne — mówię w pełni zdecydowana.

— Czarne? Jesteś pewna? To będzie duża zmiana, a powrót do blondu nie jest łatwy.

— Jestem pewna. Potrzebuję większej metamorfozy. Mógłby pan to zrobić?

— Nie widzę problemu. Mów mi Max. Trochę tu posiedzimy.

Puszcza mi oczko, po czym od razu zabiera się do pracy. Najpierw ścina włosy, których w ogóle mi nie szkoda. Później zabiera się za farbowanie, co również obserwuję beznamytnie. To tylko włosy. Mam nadzieję, że czarny kolor doda mi więcej powagi i będę wyglądać na nieco starszą.

Jakieś dwie godziny później przyglądam się swojemu odbiciu w lustrze i nie mogę się poznać. Moje rysy twarzy wydają się zupełnie inne. Miałam rację, wyglądam poważniej. Dopiero po chwili zauważam, że podczas mycia odrobina wody spłynęła tuż obok mojego oka i odsłoniła siniaka. Unoszę wzrok i widzę, że właśnie tam spogląda Max. Gdy orientuje się, że na niego patrzę, przenosi spojrzenie na moje oczy.

— Gotowe.

Ściąga ze mnie pelerynę, a ja od razu wstaję.

— Dziękuję. Nawet nie wiesz, jak mi tym pomogłeś.

Sięgam po gotówkę, ale gdy mężczyzna to zauważa, łapie mnie za rękę.

— Schowaj je. Potraktuj to jako przysługę.

— Nie powinnam, to twoja praca, a za pracę należy się wynagrodzenie.

— Po prostu nigdy tam nie wracaj.

— Nie rozumiem.

— Dobrze rozumiesz. Wychowałem się w patologicznej rodzinie. Wielu ludziom wmówisz, że się wywróciłaś, uderzyłaś w drzwi czy spadłaś ze schodów. Nie uda ci się to jednak z kimś, kto przechodził przez to samo.

— Dziękuję — mówię zmieszana, chowając pieniądze do kieszeni. — Nie będziesz miał przez to problemów?

— To mój salon — odpowiada dumnie. — Ale musisz mi obiecać, że nie wrócisz do miejsca, w którym jesteś tak traktowana.

— Bez obaw. Jest wiele kilometrów stąd i nie zamierzam nawet się tam zbliżyć.

— A więc powodzenia...?

— Lauren.

— Powodzenia, Lauren.

— Dziękuję.

Z uśmiechem na twarzy wychodzę z salonu. Ciężko uwierzyć, że na świecie żyją jeszcze dobrzy ludzie. Nigdy wcześniej nie trafiłam na kogoś takiego jak Max. Trudno oswoić się z myślą, że ktoś mnie rozumie.

Wracam do hotelu w dobrym nastroju. Na dziś zostało mi już tylko jedno zadanie. Wchodzę do apartamentu, jednak w salonie nikogo nie dostrzegam. Idę więc do sypialni, by się przygotować. Nawet lepiej, że Cole gdzieś poszedł. Dzięki temu zyskałam na elemencie zaskoczenia, jeśli tak mogę nazwać moją nową fryzurę. Biorę długą kąpiel, depiluję całe swoje ciało, choć do tej pory używałam maszynki jedynie do nóg, i to niezbyt często. W drogerii kupiłam także peeling i balsam do ciała, których również używam. Staję naga przed lustrem i dociera do mnie, że nigdy wcześniej nie pozwalałam sobie na zwykłe kobiece przyjemności.

Zakładam czerwoną sukienkę. Krótką i obcisłą, na cienkich ramiączkach, której normalnie nigdy bym nie założyła. Pod nią mam komplet seksownej bielizny o tym samym kolorze, co także jest dla mnie zupełną odmianą. Nigdy nie nosiłam czegoś takiego. Nawet w najgorszym okresie swojego życia, w którym próbowałam wszystkiego, co mogłoby mi pomóc w wydostaniu się z tamtego domu.

Na koniec zmywam makijaż i robię nowy. Dokładnie zakrywam siniaka, oczy podkreślam czarnym eyelinerem i pieczołowicie tuszuję rzęsy.

— Lauren, wróciłaś?! — krzyczy Cole z mojej sypialni.

— Tak! Daj mi chwilę.

Nie odpowiada, więc wracam do makijażu. Sięgam po czerwoną szminkę, która idealnie komponuje się z kolorem sukienki. Wygląda na to, że jestem już gotowa. Patrząc w swoje odbicie, powtarzam sobie, że przyszła pora na walkę o moje życie. Muszę wyjść z niej zwycięsko. Nie mam wyjścia.

Wolno otwieram drzwi do salonu, w którym czeka już na mnie Cole. Siedzi w fotelu ze szklanką whisky w dłoni. Od razu odwraca głowę w moim kierunku, a

przez jego twarz przelatuje cień zaskoczenia. Choć próbuje zachować pokerową minę, wiem, że nie spodziewał się takiego widoku. Powoli zbliżam się w jego kierunku. Z gracją stawiam nogę za nogą, poruszając przy tym biodrami, i ani na moment nie spuszczam wzroku z twarzy mężczyzny. Siadam w fotelu naprzeciwko niego i zakładam nogę na nogę.

— Wciąż uważasz, że się nie nadaję? — pytam zalotnie.

— Wygląd to nie wszystko, ale przyznaję, że mnie zaskoczyłaś.

— Jestem gotowa na wszystko. Mówiłam.

— Gotowa na wszystko? — pyta drwiąco. — Gdybym kazał ci się rozebrać, zrobiłabyś to?

— Bez mrugnięcia okiem.

— A gdybym kazał ci się przespać z pierwszym napotkanym na drodze facetem?

— Trudno. — Wzruszam ramionami.

— Co z tobą jest nie tak, dziewczyno?

Z uśmiechem na twarzy wstaję i podchodzę do niego. Wolno siadam na oparciu fotela, celowo układając nogi tak, by kolanami dotykać jego ud.

— Nie chcę tam wracać. Jesteś moją jedyną nadzieją na lepsze życie. Wykonam zadanie, które powierzył ci twój szef. Zrobię wszystko, co mi każesz, i nawet nie drgnie mi powieka. Zapłacisz mi za moją rolę i wtedy nasze drogi się rozejdą. Ja będę mogła zacząć życie na nowo, a ty wrócisz do swoich samotnych misji. To chyba uczciwa oferta?

— Wciąż nie wiem, czy się nadajesz.

— Sprawdź mnie.

— Wychodzimy. Czeka na nas stolik w restauracji.

Wstaje, więc robię to samo i idę za nim bez słowa do windy. W niej także się nie odzywam. Próbuję nie myśleć o tym, dokąd idziemy. Na samą myśl o jedzeniu mam ochotę zacząć krzyczeć. Nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłam. A ciepły posiłek? Tego już zdecydowanie sobie nie przypomnę.

Wychodzimy z hotelu. Cole łapie taksówkę, a gdy jesteśmy w środku, podaje kierowcy nazwę restauracji. Mam ochotę się odezwać, zapytać o cokolwiek, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Mężczyzna wpatruje się w widok zza szyby, więc ja robię to samo. Wciąż jednak nie potrafię się skupić. Żołądek ściska mi się na myśl

o jedzeniu. Przypominam sobie, że mimo olbrzymiego głodu nie mogę rzucić się na talerz jak pieprzony jaskiniowiec. Jakoś to przetrwam. Niejednokrotnie musiałam patrzeć na jedzących wokół mnie ludzi, gdy sama głodowałam kolejny dzień z rzędu.

W końcu dojeżdżamy na miejsce. Od razu widzę, że restauracja należy do drogich i wystawnych, co dodatkowo mnie krępuje. Mężczyzna stojący tuż za wejściem odprowadza nas do stolika i podaje kartę z menu. Zaglądam do niej i mam ochotę zamówić wszystko, co mają.

— Serwują dobre steki — mówi Cole, choć nie obdarza mnie spojrzeniem.

— Chętnie spróbuję — odpowiadam od razu, odkładając kartę.

Teraz przygląda mi się badawczo. Udaję, że tego nie widzę, chociaż czuję, że wie dokładnie, co siedzi w mojej głowie. Upewniam się w tym przekonaniu, gdy przychodzi kelner, a on składa naprawdę duże zamówienie. Prawda jest taka, że mogłabym zjeść dosłownie wszystkie dania, które mają w ofercie. Dlaczego nie pomyślałam o jedzeniu, gdy chodziłam sama po mieście? Przecież jestem głodna już od dawna, a mimo wszystko w tamtym momencie w ogóle nie wpadłam na to, by zjeść coś na szybko.

Powstrzymuję się przy przystawkach, choć oczyma wyobraźni widzę, jak wpakowuję sobie wszystko do buzi. Wciąż jestem głodna i nie czuję się lepiej nawet po zjedzeniu głównego dania. Wiem, że Cole mnie obserwuje. Wiem też, że czeka na choć jeden powód, by wykluczyć mnie ze swojego planu. Mam jednak więcej silnej woli, niż potrafi sobie wyobrazić. Odczuwam coraz większą determinację.

— Jestem pod wrażeniem — komentuje mężczyzna, gdy podają deser.

— O czym mówisz? — pytam nieco zdezorientowana.

Ciasto czekoladowe pachnie obłądnie, przez co nie mogę skupić się na słowach Cole'a.

— Kiedy ostatnio jadłaś?

Na moment opuszczam wzrok.

— Nie pamiętam.

— Mimo braku wychowania potrafisz się zachować. — Unosi kącik ust. — Mylisz tylko sztucce, choć nawet się temu nie dziwię. — Pochyla się odrobinę w moją stronę. — Bywa, że i ja mam z tym problem, jeśli muszę skupić się na zadaniu.

— Czy mi się wydaje, czy masz dobry humor?

— Zaimponowałaś mi Lauren.

Opieram się na krześle i patrzę na mężczyznę z niemałym zaskoczeniem. Jestem mu wdzięczna, bo odgonił moje myśli o głodzie.

— W jedzeniu muszą podawać jakieś narkotyki. To niemożliwe, żebyś mi to powiedział. Może ktoś dosypał ci czegoś do wina? Albo sam to zrobiłeś.

Uśmiecha się. On naprawdę się uśmiecha!

— Zdałaś pierwszy test. Możesz zostać. Przynajmniej do jutra.

— Och, jakiś ty szczodry — odpieram z ironią.

— Docień to.

Doceniam. Naprawdę doceniam. Mimo tego, że Cole jest szorstki i arogancki, nie mogę myśleć o nim źle. Uratował mnie. Może niechętnie, ale to zrobił. I nawet jeśli żałuje swojej decyzji, to niczego nie zmienia. Mógł mnie zabić albo mimo wszystko zostawić na pastwę losu.

Rozdział ósmy

Cole

Kolejny dzień rozpoczynam wyjątkowo wcześnie. Budzę się jeszcze przed świtem. Najpierw sprawdzam telefon. Po powrocie do hotelu rozmawiałem przez chwilę z Carlosem, który z niepewnością zgodził się na wypróbowanie Lauren. Przyznał, że po przefarbowaniu włosów i założeniu seksownej sukienki znacząco poprawiła swój wygląd, ale wciąż nie był przekonany co do jej zdolności. Ja także, ale przecież nie miałem wyjścia.

Carlos nigdy nie traci czasu. Dwie godziny temu wysłał mi wiadomość z adresem Dano i informacją o jego najbliższych planach. Zadanie teoretycznie było proste. Poznać go, przekonać do siebie i sprawić, że zaprosi nas do swojego domu. Niestety w praktyce nie było już tak łatwo. Dosłownie wszystko mogło pójść nie tak. Główną rolę miała odgrywać Lauren. Już to bardzo mnie niepokoiło.

Przez kolejną godzinę biegałem po mieście. Po powrocie od razu wziąłem prysznic, a po nim zamówiłem śniadanie. Gdy kelner je dostarczył, Lauren akurat wyszła ze swojej sypialni.

— Jajka na podwójnym bekonie — powiedziałem, pokazując palcem na jej talerz. — Do tego tosty, karmelowa kawa i jakieś ciasto. Musisz szybko przybrać na wadze. A później idziemy na siłownię.

Usiadła przy stole, posyłając mi rozbawione spojrzenie.

— Będiesz moim dietetykiem i trenerem?

— Jedz. Mamy niewiele czasu.

— A więc przekonałeś się?

— Wciąż nie jestem ciebie pewien, ale nie mam innych opcji.

— Wczoraj byłeś miłszy — stwierdza z grymasem. — Już ci nie imponuję? Nie jesteś zaskoczony, że miałam rację, mówiąc, że sobie poradzę? — Wstaje i wolno sunie dłońmi po swoim ciele. — Czy ta koszulka nie jest już tak efektowna jak sukienka, którą miałam wczoraj na sobie?

— Usiądź i jedz — cedzę przez zaciśnięte zęby.

Sam także biorę się za swoje śniadanie, zupełnie ignorując pytanie dziewczyny. Nawet nie chcę zastanawiać się, czy jest dla mnie pociągająca. Zbyt mocno zaszła

mi za skórę, bym patrzył na nią w inny sposób niż jak na zło konieczne.

— Nie mam niczego na siłownię — mówi po chwili.

— Załatwię to.

— Fajnie jest mieć pieniądze. Nie mam też własnego domu z ogródkiem.

— Jeśli się spiszesz, będzie cię na niego stać.

— Jakie miasto polecasz na rozpoczęcie wszystkiego od nowa? Myślałam o czymś, gdzie nie ma mroźnych zim. Nienawidzę ich. Szczególnie wtedy, kiedy muszę być na dworze. — Przez jej twarz przelatuje cień bólu. — Wolę miejsca, w których jest ciepło cały rok.

— Miami — rzucam bez zastanowienia.

— Byłeś tam?

— Wiele razy.

Wracam do posiłku, stanowczo dając jej do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca. Im mniej o mnie wie, tym lepiej. Nie powinienem mówić jej nawet o miastach, w których byłem. Każda informacja na mój temat jest ryzykowna. Zawsze byłem duchem i niewielu wiedziało, czym się zajmuję. Szczegóły zna tylko Carlos. Tak jest lepiej. Zmniejszam ryzyko do minimum i dzięki temu prawdopodobieństwo wpadki jest znikome. Po raz pierwszy jednak mam spędzić z kimś kilka, może nawet kilkanaście dni. Sam nie wiem, jak długo to potrwa i czy to wytrzymam.

Po śniadaniu zabieram Lauren na siłownię. Po drodze wchodzimy do sklepu sportowego, by kupić dla niej jakieś ubrania nadające się do ćwiczeń. Nie jesteśmy tam zbyt długo, dosłownie kilka minut. Zawsze myślałem, że zakupy z kobietą to katorga, ale jak widać, nie dotyczy to tej dziewczyny. Wzięła pierwsze ubrania i buty w swoim rozmiarze, które zauważyła. Nie przyglądała im się, nie zwiedziła sklepu kilkakrotnie, tylko po to, by dokładnie sprawdzić każdy ciuch.

Na miejscu przebieramy się, po czym spotykamy przed wejściem do sali.

— Patrzysz na te sprzęty, jakby miały cię zabić — stwierdzam z rozbawieniem, zauważając minę dziewczyny.

— Bo właśnie tak mi się wydaje. Nigdy na czymś takim nie ćwiczyłam.

Zatrzymujemy się przy hantlach, co jeszcze bardziej zaskakuje Lauren.

— Spokojnie, nie chcę, żebyś jutro nie mogła wstać z łóżka. To będzie krótki trening.

— Gdzie ty mnie przyprowadziłeś? Nie mogę iść tam, gdzie są rowerki i bieżnie?

— Masa mięśniowa — mówię z całkowitą powagą. — To twój cel. — Pochyliłam się i szepczę jej do ucha: — Chcesz współpracować z płatnym zabójcą, dziewczyno. Mamy niewiele czasu i wątplię, byśmy coś wskórali, ale przynajmniej spróbujmy.

Pokazuję jej kilka ćwiczeń z niewielkim obciążeniem. Choć je powtarza, robi to z niebywałą trudnością. Miałem nadzieję, że jest choć trochę wysportowana. Jak jednak mogłem spodziewać się tego po kimś, kto niemal bez ustanku głodował?

Lauren szybko się poddaje. Nie zmuszam jej. Nie dziś. Już niedługo nie będzie miała wyjścia, ale teraz daję jej odpocząć. Siada na ławce, czekając, aż skończę swój trening, który trwa zdecydowanie dłużej niż jej. Po każdej skończonej serii zerkam na nią i po pewnym czasie dochodzę do wniosku, że zupełnie się wyłączyła. Od jakichś trzydziestu minut patrzy w punkt przed sobą. Nie porusza się, jest niczym zahipnotyzowana. Jakaś część mnie jest ciekawa tego, o czym ta dziewczyna właśnie myśli.

Kiedy kończę, podchodzę do niej, przerywając hipnozę, w którą sama siebie wprowadziła. W pierwszej chwili patrzy na mnie tak, jakby wcześniej nigdy mnie nie widziała. Ten wyraz twarzy jednak szybko mija.

— Już? — pyta jakby zdezorientowana.

— Tak. Wracajmy. Czekają nas jeszcze kilka atrakcji.

— Jakich atrakcji?

— Po obiedzie dokupimy ci kilka ubrań. Później przejdziemy do nauki zachowania się w towarzystwie.

— Spokojnie, tego nie musisz mnie uczyć.

— W twojej rodzinie zastępczej dawali takie lekcje? — pytam z niepotrzebnym sarkazmem, z czego zdaję sobie sprawę nieco za późno.

Lauren rusza w stronę wyjścia, stawia kroki tak szybko, że ciężko jest mi ją dogonić. Udaje mi się dopiero na zewnątrz. Przez chwilę idziemy w ciszy, ale dziewczyna nagle się zatrzymuje i siada na ławce. Znowu patrzy przed siebie, choć tym razem nie wygląda na nieobecną.

— Kiedyś próbowałam wyrwać się z tamtego domu za wszelką cenę — zaczyna mówić, a po jej twarzy widać, że pogrąża się we wspomnieniach. — Doszłam do wniosku, że wszystko będzie lepsze od mieszkania tam. Nauka odpowiednich

manier nie była dla mnie problemem. Zrobiłam wszystko, by trafić do wyższych sfer.

Ta historia zaczyna mnie interesować, siadam więc obok niej, by lepiej słyszeć ciąg dalszy.

— Próbowałaś zostać luksusową prostytutką?

— Nie. Przyznaję, że myślałam nawet o tym, ale w tamtym momencie byłam zbyt rozchwiana psychicznie, by sobie z tym poradzić. Sypianie z bogatymi mężczyznami za kasę było ponad moje siły. Uznałam, że mogę znaleźć sobie jednego. To wydawało się znacznie lepsze.

— Sponsor?

— Dokładnie. I wiesz... łatwo mi poszło. Makijaż i sukienka, którą pożyczyłam od koleżanki, wystarczyły, by po dodaniu ogłoszenia odezwał się do mnie jakiś facet. Miał czterdzieści dwa lata, żonę i dwójkę dzieci. Nie chciał romansu, tylko kilku spotkań w miesiącu. Od razu zaoferował mi sporą gotówkę, a ja bez wahania się zgodziłam.

— Co poszło nie tak?

— Byłam idiotką. Umieściłam swoje zdjęcie na portalu erotycznym, nie wpadając na to, że ktoś to zobaczy. I zobaczył. Jedna osoba pokazała drugiej, ta następnej, aż w końcu wiedziała cała szkoła i rodzina, u której mieszkałam. Wściekli się.

— Mówiłaś, że się wami nie interesowali.

— Oczywiście, ale gdyby sprawa poszła jeszcze dalej, mogliby mnie im odebrać, tym samym zabierając gotówkę na moje utrzymanie. Kazali usunąć mi ogłoszenie, wracać do domu od razu po szkole i zagrozili, że po kolejnym takim numerze posuną się do znacznie gorszych kroków. Nie chciałam wiedzieć, co to takiego. Zrobiłam, co kazali, choć niewiele to pomogło. Zostałam okrzyknięta dziwką. Wszyscy śmiali się ze mnie, że pieprzą mnie emeryci. Kolejne tygodnie były najgorsze w moim życiu. Nie miałam wytchnienia ani w szkole, ani w domu.

Nagle urywa, choć czuję, że jest coś, co chciałaby dodać.

— A więc lekcje mamy z głowy — rzucam, siląc się na luźny ton.

Wstaję z ławki, to samo robi Lauren. Idziemy dalej, nie odzywając się do siebie już ani słowem. Nie pokazuję po sobie, że jej historia jakkolwiek mnie ruszyła. Nie

powinna, ale sam przed sobą muszę przyznać, że przywołała wspomnienia, o których wolałem nie pamiętać.

Po powrocie do hotelu i szybkim prysznicu zeszliśmy do restauracji. Wiedziałem, że Lauren nie przytyje dziesięciu kilogramów w ciągu kilku dni, ale miałem nadzieję, że nie będzie tak bardzo wychudzona, gdy nadejdzie czas jej najważniejszej próby. Wciąż miałem w głowie, że od niej zależy także moje życie. Niedługo później odwiedziliśmy kilka sklepów, by dobrać dla niej ubrania na każdą okazję. Zostało jej sporo pieniędzy, a więc wiedziałem, że nie kupiła zbyt wiele. Nie musiałem nawet o to pytać czy sprawdzać jej garderoby. Przebywamy w najbogatszej dzielnicy Chicago, a tu każda szmata kosztuje majątek.

Rozdział dziewiąty

Lauren

Poprzedni dzień był dla mnie wykańczający. Nie chodzi nawet o siłownię i zakupy, a o jedzenie. Do tak dużej jego ilości mój żołądek nie był przyzwyczajony. Wieczorem było mi niedobrze, a dziś nie jest wcale lepiej. Czuję się ciężka, z trudnością wstaję z łóżka, choć najchętniej zostałamby w nim jeszcze przez kilka godzin.

Cole czeka już na mnie ze śniadaniem. Bardzo niechętnie zajmuję miejsce przy stole naprzeciwko mężczyzny, po czym sięgam po gorącą kawę. Kilka łyków sprawia, że od razu czuję się lepiej, choć daleko mi do radości.

— Jedz. Musimy się przygotować — mówi beznamiętnie Cole.

— Do czego?

— Niedługo podejmiemy pierwszą próbę zwrócenia na siebie uwagi. Musisz wiedzieć, co robić, i poznać swojego przeciwnika.

— Jak to ma wyglądać?

— Najpierw zjedz.

— Nie jestem głodna.

— Nie pytam, czy jesteś głodna.

Jego oschły ton i zimne spojrzenie skutecznie odciągają mnie od kolejnych prób dalszej konwersacji. Wiem, że i tak niewiele wskóram, jedynie go rozzłoszczę, a w mojej sytuacji nie powinnam ryzykować. Muszę wytrwać z tym facetem tylko jakiś czas, stosunkowo niedługo. Dam sobie radę. Chociaż naprawdę nie mam ochoty na jedzenie, sięgam po tost, mając nadzieję, że zjedzenie go wystarczy. Ostatni kęs popijam kawą, po czym z kubkiem w dłoniach przechodzę na kanapę. Nie muszę patrzeć na Cole'a, żeby wiedzieć, że powstrzymuje się przed tym, by się odezwać. Słyszę, jak wzdycha, a po chwili jest już obok mnie. Siada obok z czarną teczką w dłoni. Otwiera ją i wyciąga zdjęcie starszego mężczyzny.

— To Jordi Dano. Człowiek, którego muszę zabić.

— Nie wygląda na potwora — stwierdzam z zadumą. — Raczej na miłego pana po pięćdziesiątce.

— W rzeczywistości jest bardzo niemiłym panem po sześćdziesiątce.

Muszę przyznać, że obstawiałam maksymalnie pięćdziesiąt pięć lat. Nieźle się trzyma, jednak bogaci ludzie zawsze wyglądają na młodszych. Stać ich na to.

— Wierzę ci. Miły uśmiech potrafi zmylić.

— Przebywa w Chicago. Ma tu dom, który rzadko odwiedza. Skoro jednak się pojawił, z pewnością wiąże się z tym jakiś interes. Naszym zadaniem jest wkradnięcie się w jego łaski. Być może dowiemy się nawet, co tu go sprowadziło. A później zabijemy.

— Nie zna cię? Skoro twój szef...

— Carlos nie jest moim szefem, tylko zleceniodawcą — przerywa mi urażony. — A Dano nie ma pojęcia, jak wyglądam. Do tej pory nasze drogi nigdy się nie skrzyżowały.

— Mimo wszystko mógł się o tobie dowiedzieć. Śledzić Carlosa i zobaczyć was razem.

— Nie — odpiera rozbawiony. — Ja i Carlos widzieliśmy się ostatnio pięć lat temu. Poza tym Jordi nigdy nie interesował się jego życiem. Jest przekonany, że nie żyje.

— Jak to?

Widzę, że nie chce wchodzić w szczegóły, a ja nie zamierzam naciskać, chociaż przyznaję, że ciekawi mnie ta historia.

— Gdy Dano zabił żonę Carlosa, ten w afekcie chciał się zemścić. Nie udało się, został postrzelony i wszyscy byli przekonani, że umarł, wykrwawiając się na ulicy. Ale miał szczęście. Ktoś go znalazł i opatrzył. Carlos zadbał o to, by gazety rozpisywały się na temat znalezionej ciała, jednak nie było to jego ciało.

— Zabił kogoś?

— Wykonał zleczone zadanie.

— Też jest płatnym zabójcą?

— Był.

— No dobrze. Czyli Carlos się ukrywa od tamtego czasu?

— Długo pracował jako duch, ale w pewnym momencie postanowił odejść. Teraz bawi się w hakera. Zleca likwidację ludzi, których przyłapuje na złych uczynkach.

— Były płatny zabójca staje się dobrym człowiekiem? — pytam skołowana.

— Oczyszcza świat z największych gnid. Czasami zamyka swoje sprawy. Przez tyle lat narobił sobie wielu wrogów. Co prawda nie pozbywa się ich osobiście, ale

dzięki jego zdolnościom hakerskim znalezienie każdego człowieka na tej planecie staje się łatwizną. Ma dostęp do wszystkich kamer na świecie. Znajdzie każdego. Dziesięć lat tworzył ten program.

— Robi wrażenie — komentuję z niemalym podziwem.

— Wróćmy do tematu. Według danych, jakie dostałem, Dano w najbliższym czasie odwiedzi kilka miejsc, w których pojawimy się także my. Na początku zupełnie nie będziemy zwracać na niego uwagi, natomiast on zwróci ją na nas.

— Jak?

— W zależności od sytuacji. — Unosi kącik ust. — Takich rzeczy nie można zaplanować z wyprzedzeniem.

— A więc nie dowiem się, co mam robić? — pytam pełna obaw.

— Czy to jakiś problem? Mówiłaś, że jesteś zdesperowana i zrobisz wszystko.

— Tak, ale wolałabym wiedzieć, na czym polega moje zadanie, żeby jakoś się do tego przygotować.

Nagle łapie moją twarz i przysuwa się do mnie. Dokładnie przygląda się mojemu oku, a raczej siniakowi, którego nie przykrywa żaden makijaż.

— Szybko się goi — stwierdza zamyślony. — Jeszcze dwa, może trzy dni i nie będzie śladu.

— Moja skóra nauczyła się regenerować w ekspresowym tempie — rzucam z goryczą.

Nie odpowiada. Milczy przez dłuższą chwilę, co robi się dość niezręczne. Zwykle ma dużo do powiedzenia.

— Ubierz się, idziemy na siłownię — odzywa się w końcu i od razu wstaje z kanapy.

Nie mam ochoty na wyjście, aczkolwiek nie mówię ani słowa. Będę robiła, co mi każe, bo tylko dzięki temu mogę dostać nowe życie.

Zakładając strój sportowy, zastanawiam się, ile zarabia płatny zabójca. Kilka tysięcy? A może znacznie więcej? Może są to niewyobrażalne pieniądze? Zakładam, że każde zlecenie wyceniane jest inaczej. Z pewnością jednak to, którego jestem częścią, wycenione zostało na naprawdę ogromną sumę. Tak długo o tym myślę, że gdy wychodzę z sypialni i zauważam Cole'a w salonie, nie mogę powstrzymać się, by zapytać go o to wprost.

— Ile zarobisz za zabicie tego mężczyzny?

Na moje pytanie unosi brwi w geście zaskoczenia.

— Chcesz zostać moją księgową?

— Jestem ciekawa. — Wzruszam ramionami. — Zastanawiałam się nad tym.

Ten, kto zleca morderstwo komuś takiemu jak ty, z pewnością śpi na forsie.

— Komuś takiemu jak ja?

— Wprawionemu zabójcy. Bo przecież nim jesteś.

— Jestem. — Unosi kącik ust, po czym robi kilka kroków w moim kierunku. —

Gdy zabiję Dano, dostanę pół miliona.

— Pół miliona dolarów? — pytam z szeroko otwartymi oczami.

Wprawdzie zakładałam, że będą to wielkie pieniądze, ale obstawiałam raczej sto tysięcy. Takiej sumy nie jestem w stanie sobie wyobrazić.

— To bardzo skomplikowane zlecenie — mówi tak, jakby rozmawiał o cenie obrazu. — Ty także nieźle zarobisz.

— Czuję się odpowiednio zmotywowana.

Nawet dziesięć procent z tej sumy pozwoliłoby mi zostawić przeszłość daleko za sobą. W drodze na siłownię zastanawiam się, co zrobię najpierw. Gdzie się udam. Chicago nie jest miastem, w którym chciałabym spędzić resztę swojego życia. Miami natomiast brzmi kusząco. Zatrudniłabym się w jakimś barze, tam ich pewnie nie brakuje. Ale najpierw po prostu bym odpoczęła. Wiem, że nigdy nie wymażę wszystkiego z pamięci, jednak z pewną przyszłością będzie mi lepiej. Przynajmniej tak myślę.

Rozdział dziesiąty

Cole

Dziś jest pierwszy dzień próby Lauren. To, jak wiele od niej zależy, doprowadza mnie do obłędu. Nigdy nie musiałem na nikim polegać i wolałbym, żeby tak właśnie zostało. Gdyby nie to, że sam wskórałbym znacznie mniej, nie rozważałbym udziału tej dziewczyny. Carlos jednak miał rację. Dano jest babiarzem. Mimo wieku nie przestał przebierać w dużo młodszych od siebie kobietach. Sama ich obecność jest dla niego wystarczająco satysfakcjonująca. A Lauren po pozbyciu się siniaka i kilku dniach regularnego jedzenia wygląda już znacznie lepiej. Brak cieni pod oczami zdaje się zupełnie zmieniać jej rysy twarzy. Czarne włosy dodały jej więcej powagi i sprawiły, że wygląda bardziej kobieco. Wciąż jednak widzę w niej dziecko błagające o śmierć, ale to po prostu siedzi mi w głowie i chyba nigdy nie będę mógł spojrzeć na nią inaczej.

Przez cały dzień przygotowywałem się na wieczór. Większość planu zakładała ściśle przemyślane działanie, choć było też miejsce na niezbędną improwizację. Jestem gotów na wiele scenariuszy, ale niepewność co do młodej dziewczyny czekającej na mnie w salonie pozostaje niezmienna.

— Musisz nauczyć się strzelać — mówię do niej, gdy tylko wychodzę z sypialni.
— I bronić się w przypadku ataku.

— Byłam kiedyś na kursie samoobrony. Dwa dni, po których doszłam do wniosku, że to i tak mi nie pomoże.

— Pomogłoby, gdybyś chodziła tam dłużej.

— Skąd ta pewność?

— Powstrzymać napastnika, który ma niewiele więcej siły od ciebie, jest banalnie proste. Wystarczy trochę techniki.

— Mówisz tak, bo nigdy nie byłeś w takiej sytuacji — rzuca oburzona.

— Nic o mnie nie wiesz.

— Bo nic o sobie nie mówisz. Nietrudno się domyślić, że nigdy nie dostałeś porządnie wpierdol.

Jej wulgaryzmy wywołują uśmiech na mojej twarzy. Bez makijażu, w różowym dresie i kucyku wygląda po prostu zabawnie.

— Powinnaś zacząć się zbierać.
— Czekam na instrukcje — odpiera z sarkazmem.
— Po prostu ubierz się i zrób makijaż. To przecież potrafisz.
— Kupiłeś mi milion sukienek. W co mam się ubrać?
Przekręcam głowę na bok i mierzę ją badawczym spojrzeniem.
— Skąd ten bojowy nastrój?
— KobiECE dolegliwości — rzuca nieco zawstydzona.
— Ach — mówię przeciągle. — Lepiej, żeby nie miały wpływu na twoje dzisiejsze zadanie.
— Bez obaw. Odbiją się tylko na tobie.

Wstaje gwałtownie i szybkim krokiem zmierza w kierunku swojej sypialni. Kręcąc głową, podchodzę do kanapy, obok której stoi barek wypełniony alkoholem. Sięgam po butelkę whisky, po czym wypełniam nią szklanę do połowy. Tyle powinno wystarczyć. Rozsiadam się wygodnie, czekając na powrót Lauren. Lepiej, by jej zły humor szybko się skończył. Jeśli uznam, że bez niej poradziłbym sobie tak samo, bez skrupułów pozbędę się jej ze swojego życia. Jestem nawet w stanie dać jej pieniądze, by mogła poradzić sobie na początku. Nie dlatego, że mi na niej zależy. Dlatego, że sama sobie nie da rady. Doskonale wiem, jak wyglądałoby to dalej, gdybym zostawił ją na pastwę losu. Zakładam, że odebrałaby sobie życie w ciągu kilku dni, a może nawet godzin. Coś nas łączy... musimy radzić sobie sami.

Gdy dopijam whisky, Lauren wychodzi ze swojej sypialni. Ubrała się w białą sukienkę z długim rękawem, która nieco zakrywa wciąż wystające kości. Mocny makijaż postarza ją o jakieś pięć lat, co w jej przypadku jest mile widzianym efektem.

— Idziemy? — pyta, jakby znudzona, sięgając po swój płaszcz.

Unoszę rękę, by spojrzeć na zegarek. Dochodzi siódma wieczorem, a więc to zdecydowanie najwyższy czas, by zacząć pierwszą rundę.

— Tak.

W ciszy opuszczamy hotel. Wsiadamy do zamówionej limuzyny, która wiezie nas do jednej z najlepszych restauracji w Chicago. Dzięki możliwościom Carlosa bez trudu dostaliśmy się do środka. Czas oczekiwania na wolny stół nie dotyczy tak wpływowych ludzi.

Zajmujemy swoje miejsce znajdujące się dokładnie na środku sali. Dzięki temu nie tylko my widzimy wszystko, ale także wszyscy widzą nas.

— Co teraz? — szepcze Lauren.

Jeden z kelnerów podchodzi do nas, podając menu.

— Jako przystawkę polecamy tatar, nasz szef kuchni jest w tym mistrzem. Życzą sobie państwo coś do picia?

Pobieżnie zerkam na listę dań. Po kilku sekundach oddaję menu kelnerowi. Zdezorientowana dziewczyna robi dokładnie to samo.

— Butelkę czerwonego wina. Skoro wasz szef kuchni jest mistrzem tatar, chętnie to sprawdzimy. Jak i jego pozostałe popisowe dania.

Mężczyzna uśmiecha się szeroko, delikatnie się przy tym kłaniając.

— Oczywiście. Gwarantuję, że będą państwo zadowoleni.

Szybko znika z zasięgu mojego wzroku, ale zaraz pojawia się ten, na którego czekałem.

— Dino właśnie wszedł — szepczę do dziewczyny.

Lauren od razu się prostuje, ale ku mojemu zadowoleniu nie popełnia błędu i nie odwraca się w stronę wejścia.

— A więc czas, żebyś odpowiedział na moje pytanie.

— Teraz czekamy. — Ukradkiem zerkam na stolik, przy którym siadł mężczyzna. — Siedzi tyłem do nas. To trochę utrudnia możliwość zwrócenia na nas jego uwagi. Jest z dwoma mężczyznami. Nie wyglądają na jego ochroniarzy. — Przenoszę wzrok na wejście. — Ci stoją dalej, tuż przed wejściem.

Dziwnie się czuję, mówiąc coś, co zwykle słyszałem jedynie w swojej głowie. Działając w pojedynkę, nauczyłem się w ten sposób notować wszystkie ważne szczegóły, które udało mi się zaobserwować.

— Masz jakiś pomysł?

— Najpierw coś zjedzmy — mówię, widząc zbliżającego się do nas kelnera.

Przez godzinę udajemy parę jedzącą wspólny posiłek. Nasze zachowanie nie wzbudza podejrzeń, ale także nie zbliża nas do celu. Próbuję wpaść na genialny pomysł, ale w pewnym momencie dochodzę do wniosku, że to nie nasz dzień.

— Idziemy — odzywam się po dłuższym namyśle.

— Jak to? — pyta zaskoczona Lauren.

— Dziś nic nie wskóramy.

— Dobrze. Skorzystam tylko z łazienki.

Wstaje od stołu i rusza w stronę toalet. Gdy przechodzi obok stolika Dano, udaje, że się potyka, tym samym lecąc dokładnie w kierunku mężczyzny. Jego ochroniarze w ciągu sekundy pojawiają się w środku, a ja zastanawiam się, czy to, co zrobiła, nam pomoże, czy też sprawi, że nie będziemy mogli zbliżyć się więcej do tego człowieka.

Rozdział jedenasty

Lauren

— Bardzo pana przepraszam. Te szpilki są bajeczne, ale cholernie niewygodne. W połączeniu z alkoholem mogą nawet zabić. — Prostuję się i uśmiecham szeroko do mężczyzny.

— Nic się nie stało — odpowiada, unosząc kącik ust.

Podnosi rękę, patrząc gdzieś za moim ramieniem. Odwracam się i dostrzegam dwóch osiłków, którzy z pewnością są jego ochroniarzami.

— Jeszcze raz przepraszam.

Odchodzę, nie zapominając o kręceniu biodrami. Po chwili jestem już w toalecie i biorę kilka głębokich wdechów. Niestety nie jest mi dane cieszyć się chwilą ciszy. Zaraz za mną do środka wchodzi kobieta, która skutecznie odbiera mi możliwość zebrania myśli. Patrząc w swoje odbicie w lustrze, odliczam do dziesięciu, po czym wracam na salę. Przechodząc obok Dano, posyłam mu nieznaczny uśmiech, bo nie kryje się nawet z tym, że mnie obserwuje. Wracam do stolika z bijącym sercem. Zaryzykowałam, ale dopiero teraz dowiem się, czy dobrze zrobiłam.

— Patrzył na ciebie — szepcze zamyślony Cole.

— A więc się udało.

— Niełatwo jest mi to mówić, ale spisałaś się.

— Zasłużyłam na lepsze traktowanie? — Uśmiecham się drwiąco.

— Rób tak dalej, a zasłużysz.

— Och, jakiś ty łaskawy.

— Chodźmy — mówi, zostawiając kilka banknotów na rachunku.

Wstajemy i ruszamy prosto do drzwi. Kątem oka zauważam przyglądającego nam się Dano. Czyżby wszystko szło dobrze? A może coś podejrzewa? To chyba nie jest możliwe, jednak skąd mogę to wiedzieć, skoro do tej pory nie miałam do czynienia z takimi ludźmi? Żyłam pod jednym dachem z potworem, ale mężczyzna, którego chcę pomóc zabić, jest znacznie gorszy.

— Myślisz, że zwróciłam jego uwagę wystarczająco, by poznał mnie przy następnym spotkaniu? — pytam przejęta, gdy jedziemy już do hotelu.

Cole wyciąga telefon, wysyła do kogoś wiadomość, najpewniej do swojego zleceniodawcy.

— Zakładam, że połknął haczyk — odpowiada, nie odrywając wzroku od komórki. — Już niedługo dowiemy się, czy nie przeceniłaś swoich możliwości. — Chowa telefon do kieszeni, po czym odwraca głowę w moim kierunku. — Następnym razem informuj mnie o swoim planie.

— Poinformowałabym cię, gdybym wpadła na niego przed odejściem od stolika. — Wzruszam ramionami. — Tak naprawdę chciałam jedynie przejść obok niego, z nadzieją, że na mnie spojrzy. W ostatniej chwili pomyślałam o czymś bardziej efektywnym. Sam przecież mówiłeś, że część planu jest improwizacją.

— Mówiłem — przyznaje niechętnie. — Mimo wszystko to było ryzykowane.

— W restauracji powiedziałaś, że ci zaimponowałaś — rzucam z pretensją w głosie.

— I nie zmieniłem zdania. Staram się nauczyć cię radzić sobie w tym świecie. Czasu jest mało, a nawet jeden zły ruch może wszystko przekreślić.

Milczę, bo ta rozmowa nie doprowadzi do niczego dobrego. Możemy się kłócić do rana, ale co nam to da? Zresztą w potyczce słownej nie mam z nim szans.

Gdy wracamy do hotelu, Cole w pierwszej kolejności sięga po butelkę whisky. Po chwili namysłu podchodzę do niego i biorę szklanekę, którą właśnie napełnił alkoholem. Unosi wzrok i piorunuje mnie spojrzeniem, po czym wyciąga kolejną szklanekę, by nalać sobie whisky. Siadam na fotelu, czekając, aż mężczyzna zajmie miejsce naprzeciwko mnie. Gdy już to robi, nie mogę powstrzymać się od kolejnego pytania.

— Jak to zwykle wygląda? To zlecenie jest wyjątkowo trudne, ale w Hebronie nie musiałeś chyba starać się o zwrócenie na siebie uwagi.

— Zwykle dostaję zlecenie z najważniejszymi informacjami. Jadę na wskazane miejsce, wyciągam broń i strzelam. Te są najprostsze. W Hebronie musiałem zabić człowieka, który przez dwa lata ukrywał się przed mężczyzną, któremu wisiął kupę kasy. Wiedział, że już jej nie odzyska, więc zależało mu na powolnej i bolesnej śmierci.

— Jak to zrobiłeś? — pytam z niemalą ciekawością.

Cole na początku mruży oczy, jakby chciał dać mi do zrozumienia, że nie ma ochoty opowiadać o szczegółach swoich zleceń. Mimo wszystko w końcu to robi.

— Śledziłem go, czekając na odpowiedni moment. Kiedy nadarzyła się okazja, natychmiast przystąpiłem do ataku. Cios w odpowiednim miejscu z tyłu głowy sprawił, że stracił przytomność. Wpakowałem go do bagażnika, później zaciągnąłem go tam, gdzie się spotkaliśmy.

— Jak o tym mówisz, wydaje się to proste.

— Dla mnie jest proste.

— Nie boisz się?

— Czego? — pyta drwiąco. — Zwykle dostaję zlecenia na ludzi, których mógłbym zabić z zamkniętymi oczami. Jeśli zleceniodawca nie życzy sobie spektakularnej śmierci, oddaję strzał z ukrycia i wracam do siebie. W trzy sekundy jest już po wszystkim.

— Ale w Hebronie ryzykowałeś. Musiałeś zaciągnąć tego faceta do bagażnika.

— Było ciemno, ulica była zupełnie pusta i w żadnym domu w pobliżu nie świeciły się światła. A nawet jeśli ktoś by mnie zauważył, nie byłby w stanie opisać mojej twarzy.

— A więc adrenalina nie jest twoją towarzyszką — komentuję zamyślona.

— Od wielu lat. Rzadko kiedy czuję jej przypływ. Ty z pewnością poczułaś ją w momencie, w którym pomyślałaś tylko o zasymulowaniu utraty równowagi.

— Zgadza się — przyznaję, po czym upijam duży łyk whisky. — Nienawidzę tego smaku — mówię z obrzydzeniem.

— Nie przypominam sobie, żebym cię do tego namawiał. Wręcz przeciwnie.

— Potrzebuję alkoholu. Całe moje życie jest porażką, ale do tego już przywykłam. Dziś po prostu zaryzykowałam bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

— Po pewnym czasie palenie w przelęku jest praktycznie niewyczuwalne.

— Mam nadzieję, że nie będę musiała się o tym przekonywać.

— Idź już spać. Jutro czeka nas kolejny dzień pełen wrażeń — informuje mnie z udawaną ekscytacją.

— Jakie atrakcje tym razem przewidziałeś?

— Na pewno nauczę cię strzelać. Powinnaś mieć przy sobie broń.

— Jasne. — Dopijam whisky, wstaję i odstawiam pustą szklanekę, po czym odwracam się do mężczyzny. — W najgorszym wypadku będę mogła się zastrzelić.

Po tych słowach idę prosto do sypialni. W drodze do łazienki zrzucając z siebie sukienkę i buty. Biorę długi prysznic, choć mam ochotę na kąpiel. Jestem jednak

zbyt zmęczona, by ryzykować położenie się w wannie. Po zmyciu makijażu zakładam nocną koszulkę. Gotowa do snu wchodzę do sypialni, wskakuję pod kołdrę i próbuję nie wracać wspomnieniami do wydarzeń sprzed kilku chwil, godzin, a tym bardziej tygodni. Właśnie dlatego nigdy się nie wysypiam. Choć bardzo się staram, rozdrapuję rany, przeżywam na nowo wydarzenia z przeszłości, zastanawiam się, co by było, gdyby... Katuję się tak za każdym razem, gdy zamykam oczy. Teraz jest tak samo. Skupiam się jednak na tym, by wspomnienia dotyczyły tylko tego dnia. Tak jest prościej. To nie boli.

Rozdział dwunasty

Cole

Po porannym joggingu wróciłem do hotelu w chujowym nastroju. Nienawidzę grudnia. Pierdolec na punkcie świąt właśnie rozkręcił się na dobre. Przebiegłem kilka ulic i miałem już, kurwa, dość.

Gdy tylko zamykam się w sypialni, dzwoni mój telefon. Wiem, że to Carlos, więc mimo braku chęci do rozmowy odbieram połączenie.

— Jestem pełen podziwu — odzywa się od razu. — Twoja lolita radzi sobie lepiej, niż zakładałem.

— Sam jestem zaskoczony.

— Dano ma wiele planów na najbliższe dni. Wybrałem dla was trzy najlepsze imprezy, na których się pojawi. Podeślę ci wszystkie dane.

— Jak wiele mam czasu do kolejnego spotkania?

— Dwa dni. W piątek wieczorem pojawi się w Midway Plaisance.

— Czy to nie lodowisko? — pytam zdezorientowany.

— Tak, i też mnie to zastanawia. Jego grafik przewiduje wiele miejsc, w których nie zwykł się pojawiać.

— Myślisz, że ma w tym cel?

— Jestem tego pewien. Na lodowisku ma odbyć się jakiś pokaz, ale wątpię, by chęć obejrzenia kilku łyżwiarek figurowych była tak silna, żeby ściągnęła go w to miejsce. Według danych, jakie udało mi się zebrać, nie odpuści większości imprez świątecznych. Kolejną imprezą, na którą chciałbym was wysłać, będzie niedzielny koncert w United Center. Właśnie próbuję zdobyć vipowskie bilety, dające możliwość dostania się na after party.

Siadam na brzegu łóżka i pocieram dłonią czoło.

— Zakładałem coś zupełnie innego.

— Ja także. Dopóki jednak nie będziecie mieli możliwości zostać z nim sam na sam, musimy działać w ten dość specyficzny sposób.

— Specyficzny? — pytam ze sztucznym rozbawieniem. — Jestem zabójcą na zlecenie, Carlos. Nie tak wygląda moja praca.

— Tego nie musisz mi mówić. Zdaję sobie sprawę, jak wygląda twoja praca. Okoliczności jednak nam nie sprzyjają.

— Mówiłeś o trzech miejscach.

— Ach, tak. Trzecim jest charytatywny bankiet świąteczny. Ma odbyć się dokładnie za tydzień.

— Dano wybiera się na bankiet charytatywny?

— Po lodowisku nie powinno cię to już dziwić.

— A jednak dziwi. Coś się tu nie zgadza. Śledzisz jego ruchy od bardzo dawna i wiesz najlepiej, że najbardziej lubi kluby ze striptizem, kasyna i burdele.

— I w takich miejscach ma zamiar się pojawić. Choć masz rację, to do niego nie pasuje. Tym chętniej dowiem się, co ukrywa. Niedługo wyślę ci wszystkie szczegóły.

Rozłącza się, a ja jeszcze przez chwilę siedzę nieruchomo, próbując zrozumieć, na co tak naprawdę się zgodziłem. Nie powinienem przyjmować tego zlecenia. Po kilku latach prób zabicia Dano, wiem już, że dostanie się do jego twierdzy graniczy z cudem. Być może teraz się uda, ale zanim do tego dojdzie, czeka mnie wiele dni, a może nawet tygodni, w których będę pracował nad zdobyciem jego zaufania. Nie tak zwykłem działać.

Po prysznicu i śniadaniu zjedzonym w towarzystwie milczącej Lauren zabieram ją na siłownię. Tym razem korzystamy jednak z pustej sali, gdzie oprócz kilku materaców na podłodze i luster na ścianie nie ma zupełnie nic.

— Nauczę cię kilku chwytów — informuję wyraźnie niezadowoloną dziewczynę.

— To niewiele pomoże, ale skoro się uparłeś.

Ignoruję jej humor. Zamiast rozmowy o skuteczności nauki samoobrony postanawiam od razu przejść do rzeczy. Łapię ją za rękę, przyciągam do siebie i jednym szybkim ruchem blokuję jej rękę.

— Wydostań się.

— Już ci mówiłam, że nie potrafię.

Nawet się nie szarpie. Stoi bez ruchu, nie próbując zrobić nic, by się uwolnić.

— Posłuchaj. Albo będziesz współpracować, albo jeszcze dziś się pożegnamy.

— Jestem ci potrzebna — odpięra hardo.

— Założysz się? W ciągu doby znajdę kogoś, kto cię zastąpi. Może nie będę musiał tracić czasu na szkolenie.

Przez kilka pierwszych sekund milczy i się nie porusza. Po przemyśleniu wszystkiego próbuje wydostać się z mojej blokady. Szarpie się bezmyślnie, jakby to naprawdę miało w czymś pomóc.

— Możemy tak stać do jutra — mówię znudzony.

— Mówiłam ci, że nie potrafię.

— Nie myślisz, a to co innego. Trzymam twoje ręce. Jestem znacznie silniejszy, więc musisz zrobić coś, co sprawi, że poluznię ucisk.

— Ach tak.

Zanim się orientuję, moje krocze zaczyna kurewsko boleć. Puszczam ją mimowolnie, łapiąc się w pulsującym miejscu. Unoszę głowę i patrzę na dumną z siebie Lauren.

— W kostkę. Miałaś mnie kopnąć w kostkę — syczę.

— Jestem zbyt słaba, by cię to zabolalo — mówi niewinnie, wzruszając przy tym ramionami.

— Zemszczę się.

— Uderzysz mnie w biust?

— Nie masz biustu — cedzę przez wciąż zaciśnięte zęby.

— Jesteś skończonym chamem.

— Zgadza się. — Prostuję się wolno. — Koniec na dziś.

— Jak to koniec? Dopiero weszliśmy — odpiera rozbawiona.

— Muszę rozmasować jaja.

Mijam ją, słysząc, jak się za mną śmieje. Mając pewność, że nie widzi mojej twarzy, sam także się uśmiecham. Z każdym kolejnym dniem toleruję ją coraz bardziej.

Po powrocie do apartamentu sprawdzam telefon. Zauważam powiadomienie o nowej wiadomości na poczcie, więc od razu idę do sypialni po laptop. Wracam z nim do salonu, siadam na kanapie i kładę sprzęt na stoliku. Gestem głowy daję znać dziewczynie, żeby do mnie dołączyła. Kiedy zajmuje miejsce obok mnie, loguję się szybko i klikam wiadomość od Carlosa. Zanim jednak pobieram plik, zerkam na krótką treść korespondencji od mężczyzny.

Mam nadzieję, że Twoja lolita da sobie radę.

Zaczynam pobieranie i minimalizuję okno, ale robię to zbyt późno.

— Lolita? — pyta Lauren. — Co to znaczy?

— Nic — zrywam ją, po czym otwieram pobrany plik. — Sprawdźmy lepiej, co nas czeka.

— Unikasz odpowiedzi na moje pytanie.

— To takie określenie dla młodej dziewczyny. Skup się na zadaniu, Lauren — mówię ostrym tonem.

Dostałem niewiele więcej informacji, niż otrzymałem przez telefon.

— Idziemy na pokaz łyżwiarski? — pyta zaskoczona dziewczyna.

— Na to wygląda.

— Ale jako widownia, tak? Mogę powiedzieć wszystko, ale nie wskoczę na lód i nie nauczę się nagle jeździć na łyżwach.

— Będziemy tylko oglądać.

— Czy to nie wzbudzi podejrzeń? Że zjawiamy się zawsze tam, gdzie on?

— Nie. Carlos wybrał dla nas trzy z wielu miejsc, w których Dano ma zamiar się pojawić. Ludzie w Chicago mają pierdolca na punkcie wszystkiego, co wiąże się ze świętami. Skoro odwiedziliśmy to miejsce, nic w tym dziwnego, że jesteśmy ciekawi atrakcji, jakie można zobaczyć tylko o tej porze roku.

— W sumie... ma to sens — stwierdza zamyślona. — Skoro nie muszę jeździć na łyżwach, nie czeka mnie nauka tego sportu?

— Nie. Sam nie umiem na nich jeździć. A gdybym nawet umiał, nie zaryzykowałbym dostania łyżwą w jaja.

— Kazałeś mi się bronić! — mówi rozbawiona.

— Następnym razem po prostu powiem, co masz robić.

— Musisz przyznać, że mój sposób jest lepszy.

— Nie spodziewałem się, że dostaniesz się tak wysoko.

— Przyznaj — naciska z szerokim uśmiechem.

— Przyznaję. Kopniak w kostkę nie byłby tak efektowny.

— Widzisz? To nie było takie trudne.

Kręcąc głową i powstrzymując uśmiech, wracam do przeglądania informacji wysłanych przez Carlosa.

— Mamy także vipowskie bilety na koncert. Czuję, że właśnie tam dostaniemy się bliżej Dano.

— Dlaczego właśnie tam?

— After party.

— Wciąż nie rozumiem.

— Zwykle takie imprezy sprawiają, że ludzie tracą hamulce i chętnie nawiązują nowe znajomości.

— Czy słusznie czuję obawy?

— Słusznie. — Zamykam laptop, by zabrać go do sypialni. — Kolejna dawka adrenaliny czeka na ciebie — dodaję, idąc w kierunku drzwi.

— Cole, mogę o coś zapytać?

Zatrzymuję się, po czym zerkam na nią przez ramię.

— Możesz, ale nie masz gwarancji, że ci odpowiem.

— Kiedy zrobi się gorąco, każdy radzi sobie sam?

Przez chwilę zastanawiam się, co właściwie ma na myśli, ale szybko dociera do mnie sens jej pytania. W pierwszym momencie mam zamiar nie odpowiadać, jednak zaraz zmieniam zdanie.

— Jesteś ze mną bezpieczna, Lauren — odpowiadam niskim tonem.

Nie dziwię się, że mi nie ufa, ale mimo wszystko powinna wiedzieć, że nie jestem skończonym skurwysynem. Wiele można o mnie powiedzieć, ale nawet taki człowiek jak ja ma zasady, których trzyma się niezależnie od okoliczności.

Na dziś nie planuję już żadnych atrakcji. Mam zamiar zamówić coś do jedzenia i spędzić resztę dnia na rozmyślaniu o możliwościach dojścia do Dano. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, będzie chciał nas poznać. Dowiedzieć się, kim jesteśmy i co nas łączy. W przypadku chęci bliższego poznania z pewnością dokładniej nas sprawdzi. O to się jednak nie martwię. Mając Carlosa po swojej stronie, każdego dnia mogę być innym człowiekiem. To sprawia, że ludzie chętnie zlecają mi morderstwa. Nie wiedzą, kim jestem, ale zdają sobie sprawę, że mogę pojawić się w każdym miejscu na świecie i znaleźć każdego, kogo chcą zlikwidować. I tylko ja wiem, jak mi się to udaje.

Rozdział trzynasty

Lauren

Jest czwarta wieczorem, a ja już mam dość tego dnia. Najchętniej położyłabym się do łóżka i przespała kilkanaście godzin. Cole ma chyba zły dzień i to odbija się także na mnie. Po śniadaniu poszliśmy na siłownię, na której spędziliśmy dobre dwie godziny, w ciągu których katowałam się wyznaczonymi przez niego ćwiczeniami. Później była kolejna lekcja samoobrony, choć tym razem Cole nie pozwolił już się podejść. Szkoda. Należała mu się poprawka. Po powrocie do domu zdążyłam jedynie wziąć prysznic. Gdy tylko wyszłam z sypialni, by się czegoś napić, zostałam poinformowana, że idziemy na strzelnicę. Tam spędziliśmy kolejne dwie godziny, a ja nie nauczyłam się zbyt wiele. Umieję odbezpieczyć broń i oddać strzał. Oczywiście zupełnie niecelny, pewnie dlatego, że zanim pociągam za spust, zamykam oczy. To silniejsze ode mnie. Po setnej próbie Cole miał już dość i dopiero wtedy uznał, że wracamy. Zjedliśmy obiad, po którym zamknęłam się w sypialni, na wypadek gdyby mężczyzna miał jeszcze jakieś plany. Oby dał już sobie spokój. I tak czuję, że jutro ciężko będzie mi zwlec się z łóżka.

Chce mi się pić i choć to ryzykowne, wychodzę z sypialni. Pech nigdy mnie nie opuszcza. Cole siedzi na kanapie, na kolanach trzyma laptop, a w dłoni — szklankę whisky. Tylko na sekundę odwraca głowę w moją stronę, rzucając mi beznamiętne spojrzenie, po czym wraca do swojego zajęcia. Przechodzę za nim prosto do aneksu kuchennego. Z lodówki wyciągam sok, wypełniam nim połowę szklanki, po czym oparta o blat biorę kilka łyków. Z zainteresowaniem obserwuję mężczyznę, który wpatruje się w ekran swojego laptopa. Przegląda jakąś mapę, to chyba podgląd z satelity. Dopiero po chwili dostrzegam znajomą ulicę w Chicago, dokładnie tę, gdzie mieści się salon fryzjerski, który odwiedziłam. Cole robi zbliżenie, po czym sunie kamerą dalej i zatrzymuje się dopiero na rogu. Zastanawiam się, co ciekawego widzi w tym obrazie, gdyż z wyjątkiem przejścia dla pieszych nie dostrzegam na nim niczego więcej. Po chwili orientuję się, że nie patrzy na ekran, a na mnie. Od razu uciekam wzrokiem, choć na to jest już przecież za późno.

— Gdybym chciał zabić człowieka dokładnie w tym miejscu, to gdzie powinienem się ustawić, by zostać niezauważonym?

— Co? — pytam zupełnie zdezorientowana.

— Z którego miejsca strzelić, by nikt mnie nie zobaczył?

— Słyszę, co do mnie mówisz, ale nie rozumiem pytania. To jakiś test? Nie jestem snajperem, by móc na nie odpowiedzieć. Nie uczyłeś mnie tego.

— Wystarczy tylko pomyśleć. Chodź tu.

Podchodzę bardzo niechętnie i siadam tuż obok mężczyzny. Oddala nieco obraz, pokazując wszystkie cztery ulice wychodzące ze skrzyżowania.

— Wciąż nie wiem — mówię po chwili zastanowienia.

— Powiedzmy, że mój cel będzie wychodził z tego budynku. — Wskazuje palcem na salon jubilerski. — Musi przejść przez pasy, za którymi pewnie wsiądzie do taksówki. Mam więc kilka sekund na oddanie strzału.

— Nie wiem. Dach?

— W którym miejscu?

— Po przeciwnej stronie.

— Błąd. To pierwsze miejsce, w które spojrzą ludzie.

Wzdycham. Nie wiem, po co to wszystko, ale próbuję dalej. Po minucie namysłu pokazuję na budynek znajdujący się po przeciwległej stronie salonu jubilerskiego.

— Gdyby kogoś zastrzelono na moich oczach, tam spojrzałabym na końcu. A raczej nie spojrzałabym, bo pewnie jak dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi, zaczęłabym uciekać.

— A więc tam pójdziemy.

— Zaraz... co? — Patrzę na niego jak na kosmitę. — Jak to „tam pójdziemy”?

— Dostałem szybkie zlecenie. Nauczysz się czegoś przy okazji.

— Wiedziałam, że opuszczenie sypialni jest błędem.

— Masz rację. Dopóki nie przyszłaś i nie zaczęłaś wpatrywać się w mój laptop, nie pomyślałem o zabraniu cię ze sobą.

— A więc możemy udawać, że mnie tu nie było.

— Za późno. — Unosi rękę i sprawdza czas na zegarku. — Mamy dwie godziny do wyjścia. Włóż coś czarnego i wygodne buty. Trochę pobiegamy.

— To nie jest dobry pomysł. Będę jedynie cię spowalniać.

— Wchodzimy na dach, ja strzelam, biegniemy. Co w tym trudnego?

— Pytasz poważnie?

Czasami mam wrażenie, że nie jest człowiekiem.

— W pięć minut będzie po sprawie.

— W pięć minut będzie po sprawie? — powtarzam przerażona lekkością, z jaką wypowiada te słowa. — Mówisz o zabiciu człowieka.

— Na dobrych ludzi nie wydają wyroków śmierci, dziecino — odpiera ojcowskim tonem, czym jeszcze bardziej mnie przeraża.

— To zlecenie od Carlosa?

— Nie.

— Wiesz chociaż, co zrobił facet, którego chcesz zabić?

— Nie. Nie interesuje mnie to.

— A więc skąd pewność, że jest złym człowiekiem?

— Jego zabójstwo zleciła kobieta. Płaci dwadzieścia tysięcy dolarów, pod warunkiem, że sprzątnę go po wyjściu od jubilera. Nie interesują mnie powody. Wiem jednak, że nikt nie mści się w ten sposób za zwykłą zdradę.

— Chyba że ktoś chory psychicznie — rzucam pod nosem.

— Przygotuj się.

To, jak często lekceważy moje słowa, coraz bardziej podnosi mi ciśnienie. A jeśli ta kobieta naprawdę mści się za to, że została zdradzona? I skąd ten nacisk na zabicie mężczyzny po wyjściu od jubilera? Może będzie mieć coś cennego, a ona chce to zdobyć? Z każdą kolejną minutą w mojej głowie pojawiają się kolejne scenariusze. Zawsze to kobieta jest tym złym charakterem.

— Powinieneś sprawdzać zlecenia, które przyjmujesz. Wiedzieć cokolwiek.

— I zwykle dostaję najważniejsze informacje. W tym jednak przypadku ktoś płaci dużo, by pozbyć się człowieka jeszcze dziś.

— A gdyby okazało się, że zabiłeś dobrego człowieka?

— Potrafiłbym z tym żyć. Na świecie ginie wielu dobrych ludzi. — Wzrusza ramionami, po czym dokładnie mi się przygląda. — To nie zabawa. Chciałaś tu ze mną przylecieć, choć wiedziałaś, czym się zajmuję. To, że jesteś mi potrzebna, nie oznacza, że możesz wtrącać się w moją pracę.

— Za to oznacza, że muszę robić, co mi każesz — cedzę przez zaciśnięte zęby.

— Mądra dziewczynka.

— To nie jest w porządku.

— A co jest twoim zdaniem w porządku? — unosi głos. — To, co działo się z tobą przez ostatnie lata, było w porządku? To, że są ludzie słabsi, których każdy traktuje jak gówno, jest w porządku?! — krzyczy, wyraźnie rozgoryczony. — Życie jest okrutne, Lauren. Jeśli tego nie zrozumiesz, przepadniesz — dodaje już nieco spokojniej.

Po kilku sekundach gapienia się na mężczyznę wstaję z kanapy i idę prosto do sypialni. Tam rzucam się na łóżko, zła i przygnębiona słowami, których sens dopiero teraz do mnie dochodzi. Niechętnie przyznaję mu rację. Życie jest cholernie niesprawiedliwe. Uciekając z domu, nie myślałam o ratunku dla Sofii. Postąpiłam egoistycznie i ratowałam samą siebie. Miałam wyrzuty sumienia, ale tylko przez chwilę. Później zrozumiałam, że musiałam myśleć o swoim przetrwaniu. Zrobiłam to, co robi Cole. Choć on z pewnością nie ma już wyrzutów sumienia. Może kiedyś, na początku, ale na pewno nie teraz.

Półtorej godziny później jestem już gotowa. Wciąż niechętnie podchodzę do całej sprawy, ale nie dopuszczam do siebie myśli, którymi dręczyłam się wcześniej. Wchodzę do salonu, gdzie czeka już na mnie Cole.

— Idziemy — informuje mnie ponurym tonem.

Ruszam za nim, nie odzywając się ani słowem. W ciszy wychodzimy z hotelu, po czym kroczymy po chodniku między ludźmi, jakbyśmy w ogóle nie mieli w planie odebrać komuś życia. Po kwadransie jesteśmy prawie na miejscu. Cole skręca w wąską uliczkę, na której końcu znajduje się drabinka. Idę za nim, mając nadzieję, że nie każe mi przeskakiwać budynków. Na szczęście, będąc na górze, zauważam, że do samego końca ulicy są one połączone. Idziemy bokiem, dzięki czemu nikt nie jest w stanie nas zauważyć. Czuję, jak drżą mi nogi, i mam wrażenie, że z każdą kolejną sekundą jest już tylko gorzej. Gdy dochodzimy na koniec budynku, padam na kolana. Cole patrzy na mnie z góry, mrużąc oczy z niesmakiem.

— Weź się w garść.

— Nie jestem pieprzonym robotem — syczę.

— Pamiętasz, jak mówiłem ci, że nie zostawię cię, gdy zrobi się gorąco?

— Pamiętam.

— Nie poddawaj mnie próbie walki z instynktem przetrwania.

Nie zwracając już na mnie uwagi, zrzuca z ramienia dużą sportową torbę, z której wyciąga okazałą wielkość pistolet. To chyba karabin, choć nie jestem tego

pewna. Akurat o broni wiem niewiele. Kładzie się na brzuchu tuż obok mnie i ustawia się do strzału. Milczę, uważnie mu się przyglądając. To, jak bardzo jest skupiony na swoim zadaniu, sprawia, że udziela mi się jego nastrój. Zauważam lornetkę wystającą z torby i z jakiegoś powodu mam ochotę przyjrzeć się temu, co za chwilę się stanie.

— Mogę? — pytam niepewnie, wskazując na lornetkę.

Mężczyzna w odpowiedzi kiwa głową. Nieco nerwowo sięgam po przedmiot i przykładam go sobie do oczu. Odnajduję salon jubilerski i już na sam jego widok przełykam nerwowo ślinę.

— Przyjechał — informuje mnie Cole.

Po chwili do środka wchodzi mężczyzna. Wiem, że to właśnie człowiek, na którego czekamy.

— I tak po prostu strzelisz, gdy wyjdzie? — pytam drżącym głosem.

— Tak po prostu. A kiedy już to zrobię, będziesz miała jedno ważne zadanie.

— Jakie?

— Biec. Dokładnie tą samą drogą, którą tu przyszliśmy. Aż do schodów.

— Dobrze.

— Nie nawal. Zaczynam cię lubić.

— Bez obaw.

Odkładam lornetkę, po czym odwracam się do mężczyzny i dokładnie sekundę później słyszę głośny strzał. Krótki pisk wydostaje się z moich ust, ale nie mam teraz czasu, by za to przeproszać. Zrywam się na równe nogi i ruszam na sam koniec dachu. Na wszelki wypadek pochylam się i biegnę tak szybko, jak tylko jestem w stanie. Zatrzymuję się dopiero przed drabinką. Patrę przerażona na Cole'a.

— Przepraszam. Nie widziałam go, nie byłam gotowa — mówię roztrzęsiona.

— To nic. Wszyscy krzyczeli — rzuca beznamiętnie, po czym wychyla się do przodu, by spojrzeć na uliczkę. — Zaraz zjawi się tu policja. Lepiej nie tracić czasu.

Schodzimy na dół, kiedy słyhać już syreny.

— A jeśli nas złapią? — pytam przerażona.

— Daj rękę.

Niepewnie robię to, co mówi, nie mając pojęcia, co właściwie zamierza. Zaskakuje mnie, gdy łapie moją dłoń.

— I to pomoże?

— Odwracamy od siebie uwagę. Skupiamy się na początku na szukaniu podejrzanego mężczyzny w obrębie tego miejsca.

Wychodzimy z uliczki i jak gdyby nigdy nic zmierzamy w stronę miejsca, w którym przed chwilą zginął człowiek. Mam ochotę zapytać, dlaczego właśnie tam idziemy, ale odpowiedź sama się nasuwa. To także odwraca uwagę. Stoimy przez kilka minut w tłumie zainteresowanych zdarzeniem ludzi. Policja każe się odsunąć, ale nikt specjalnie nie słucha poleceń. Chętnych do oglądania tragedii jest coraz więcej, jakby naprawdę w śmierci było coś, czemu można przyglądać się z zainteresowaniem.

— Proszę się odsunąć! — krzyczy jeden z policjantów, który jest już wyraźnie zdenerwowany.

— Pora na nas — odzywa się Cole, ciągnąc mnie za rękę.

Dopiero po kilku metrach puszcza moją dłoń. Sama nie wiem, jak teraz się czuję. Na szczęście nie widziałam śmierci tego mężczyzny. Odwróciłam głowę w idealnym momencie. Mimo wszystko to nie jest wystarczająco duże pocieszenie.

Rozdział czternasty

Cole

Nie pytałem jej, jak się czuje i czy wszystko w porządku. Wszedłem do apartamentu i od razu zamknąłem się w swojej sypialni. Nie wiem, co robiła. Nie wiem nawet, czy przespała noc. To nie wyrzuty sumienia. Zwykły ludzki odruch. Może powinienem się nią zająć w jakiś sposób? Na samą myśl chce mi się z siebie śmiać. Nie mam pojęcia, co powinienem zrobić w takiej sytuacji.

Rezygnuję z porannego biegu i wychodzę z pokoju dopiero w porze śniadania. Lauren siedzi na kanapie i wpatruje się w telewizor. Ogląda wiadomości, ale gdy tylko mnie dostrzeża, sięga po pilota i wyłącza program.

— Mówili o tym — odzywa się cicho. — O tym facecie.

— To nic dziwnego. Został postrzelony na środku ulicy.

Do drzwi puka obsługa, otwieram szybko i odbieram śniadanie, po czym idę z nim do stołu.

— Policja zastanawia się, czy nie było to zabójstwo na tle rabunkowym.

— Wiesz, że mnie to nie obchodzi?

— Zapomniałam, że jesteś wyprany z uczuć.

Siadam przy stole, nalewam sobie gorącej kawy, po czym opieram się wygodnie na krześle. Dziewczyna patrzy na mnie z pretensją wymalowaną w oczach, a ja nie do końca rozumiem, czego ode mnie oczekuje.

— Zabiłem w swoim życiu wielu ludzi. Naprawdę wielu. Po setce przestałem liczyć, bo mnie to znudziło. Nigdy nie śledziłem tego, co o ich śmierci mówiła prasa, i nie zamierzam tego robić.

Podchodzi do mnie, siada naprzeciwko i od razu sięga po kawę.

— Zawsze taki byłeś? Zimny? Bez uczuć? Bez kręgosłupa moralnego.

Nie mogę powstrzymać śmiechu.

— Wiesz, kim jestem, a mimo wszystko zadajesz takie pytania.

— Wiem. Nie oznacza to, że widziałam w tobie maszynę do zabijania.

— Nawet nie chcę wiedzieć, jak wyobrażałaś sobie moją pracę. Założyłaś, że chodzę na grób każdej swojej ofiary i modlę się o wybaczenie, by nie trafić do piekła?

— Nie. Założyłam, że masz jakiegokolwiek uczucia. Mylnie. — Wzrusza ramionami. — Jesteś pieprzonym robotem.

— Błagałaś tego robota, by zabrał cię ze sobą. A teraz musisz robić to, co on ci każe, bo nie masz innych opcji. Zjedz śniadanie i nie drażnij mnie dalej, bo naprawdę tego nie lubię.

Czasami zastanawiam się, czy nie jestem dla niej zbyt ostry. Gdy tylko otwiera usta, przestaję mieć jakiegokolwiek wątpliwości.

Po posiłku znikamy za drzwiami swoich sypialni, by przygotować się do wyjścia. Co prawda czasu jest jeszcze dużo, ale lepiej dla nas, byśmy nie przebywali zbyt długo w jednym pomieszczeniu. Lauren jest jeszcze młoda i zbyt naiwna. Z jednej strony dotknięta przez los, a z drugiej wciąż pełna nadziei, że świat nie jest jednak okrutny. Sam pogodziłem się z prawdą w wieku piętnastu lat, dlatego ciężko mi zrozumieć myślenie tej dziewczyny. W końcu dotrze do niej, że życie jest grą, w której albo wygrywasz, albo dajesz się pokonać. Brak uczuć to najlepsze, co można dla siebie zrobić. Nie dopuszczając ich do głosu, jesteśmy szczęśliwsi.

Gdy nadszedł czas, opuszczamy hotel, udając się prosto na lodowisko. Znajduje się niedaleko naszego hotelu, więc postanowiłem pokonać tę drogę pieszo i przy okazji przedyskutować z Lauren kilka możliwych opcji.

— Dano będzie siedział dokładnie za nami. Nie możesz pokazać po sobie, że go zauważyłaś. Nie odwracaj się do tyłu, choćbyś miała na to ogromną ochotę.

— Jasne.

— Będzie nas słyszał — dodaję po chwili.

— Czy mam mówić coś konkretnego?

— Musimy ustalić, kim w jego oczach będziemy dla siebie.

— Jakie mamy opcje?

— Para, przyjaciele, rodzeństwo.

— Mało opcji — rzuca pod nosem.

— Możesz także udawać dziewczynę do towarzystwa. Mnie to bez różnicy.

— Od kiedy dziewczyny do towarzystwa zabiera się do restauracji? Nie wspomnę już nawet o pokazach na lodowisku.

— Są takie, które mają jednego partnera. Coś o tym wiesz.

Gryzę się w język, ale trochę za późno. Gdybym jeszcze nie powiedział tego takim tonem...

— Tak, ale dzięki, że mi przypomniałeś.

— Przepraszam — cedzę przez zaciśnięte zęby.

Lauren zatrzymuje się nagle. Wpatruje się we mnie szeroko otwartymi oczami, jakby właśnie stało się coś złego.

— Co ty powiedziałeś? — duka.

— Bardzo śmieszne.

— Nie, Cole. To nie jest śmieszne. Czy ty mnie przeprosiłeś?

— Daj już spokój.

— Uważam, że powinniśmy udać się do dobrego lekarza. Musiałeś uderzyć się w głowę.

— Lauren — niemal warczę.

Z uśmiechem na twarzy rusza dalej, krocząc żwawo po chodniku. Idę tuż obok niej, myśląc o tym, że naprawdę zaczynam ją lubić. Na początku była dla mnie wrzodem na dupie, ale teraz jej towarzystwo nawet mnie nie drażni. Co prawda potrafi być irytująca, jednak z tym jakoś daję sobie radę.

— Możemy udawać parę — mówi po kilku przebytych metrach. — W sumie czemu nie? Łatwiej będzie udawać mi twoją dziewczynę niż siostrę.

— Dlaczego łatwiej? — pytam zaniepokojony.

— Rodzeństwo kocha się bezgranicznie. Zazwyczaj. Takiej więzi nie można po prostu udawać. A para? Każda jest inna. Bywają takie, które można określić specyficzną relacją.

— Czasami zdarza ci się powiedzieć coś mądrego — komentuję rozbawiony.

Marszczy nos, ale po chwili się uśmiecha.

— Już się nie boisz, że coś spieprzę?

— Powiedzmy, że zaczynam ufać w twoje możliwości.

Zatrzymujemy się przed wejściem na lodowisko. Ilość ludzi w kolejce do kasy jest przytłaczająco duża. Na szczęście mamy już bilet, dzięki czemu możemy stanąć w znacznie krótszej kolejce. Po pięciu minutach wchodzimy do środka i odnajdujemy swoje miejsca. Nie ma jeszcze zbyt wielu ludzi, więc mamy trochę czasu na ustalenie szczegółów.

— Kiedy będzie już za nami, musimy zwrócić na siebie jego uwagę — odzywam się do dziewczyny.

— Mam coś zrobić? Mówić?

— Mów. Dużo.

— O czym?

— O czymkolwiek. Ma zapamiętać twoją twarz. Ja jestem tylko dodatkiem.

— Och, czyli gram pierwsze skrzypce? — pyta z teatralnym zaskoczeniem.

— Powiedzmy — szepczę pod nosem.

— Naprawdę jestem zaskoczona, z jaką łatwością pozwalasz mi decydować.

— Nie mam wyjścia. Pogodziłem się już z myślą, że sam niewiele zdziałam. Dano ma swoich zaufanych ludzi. Sam wszedłbym w jego łaski po wielu miesiącach pracy nad tym i kto wie, czy na pewno by mi się udało. Ty go przyciągniesz, jeśli odpowiednio to rozegrasz. — Unoszę wzrok i dostrzegam Jordiego wchodzącego właśnie na trybuny. — Już tu jest. Gotowa na odegranie roli życia?

Lauren uśmiecha się szeroko i kiwa głową. W jej oczach dostrzegam pewność, która nieco mnie zaskakuje. Prostujemy się, odwracając przodem do lodowiska, a wtedy dziewczyna wtula się w moją rękę i kładzie policzek na moim ramieniu. Czeka chwilę, lecz gdy tylko słyszy ruch za sobą, od razu przechodzi do działania.

— Kiedy to się zacznie? — pyta znudzona. — Mam nadzieję, że pokaz będzie wart czekania.

Uśmiecham się pod nosem.

— Dopiero przyszliśmy — odpieram ze spokojem.

— Tak, ale chcę już zobaczyć, o co tyle hałasu.

— Sama chciałaś być świadkiem jak największej liczby wydarzeń związanych ze świętami. Po to przyjechaliśmy do Chicago.

— Tak, wiem — mówi przeciągle. — Po prostu lubię, jak coś się dzieje. Siedzenie i patrzenie na puste lodowisko jest cholernie nudne.

— Jeszcze chwila.

Prostuje się i odwraca do mnie. Pewnie po to, by Dano mógł zobaczyć jej twarz. Mam nadzieję, że pamięta ją z restauracji i właśnie połknął haczyk.

— Później zabierz mnie gdzieś, gdzie można się zabawić.

Unoszę kącik ust, łapię ją za rękę i całuję wierzch jej dłoni, ani na chwilę nie spuszczać przy tym wzroku z jej twarzy.

— Jak sobie życzysz, kochanie.

Uśmiecha się, po czym wraca do poprzedniej pozycji. Obejmuję ją i patrzę przed siebie, czekając, aż występ się zacznie. Im szybciej się to stanie, tym szybciej stąd wyjdziemy. Siedzenie tutaj jest ostatnią rzeczą, na jaką mam ochotę.

Rozdział piętnasty

Lauren

Chyba wszystko poszło według planu. Po naszym krótkim przedstawieniu obejrzelśmy w ciszy występ na lodzie, który swoją drogą był imponujący. Później, jak gdyby nigdy nic, wstaliśmy ze swoich miejsc i wyszliśmy z budynku. Teraz wracamy pieszo do domu, pełni nadziei, że wszystko poszło zgodnie z naszym wyjątkowo niedopracowanym planem.

— Mam nadzieję, że na koncercie pójdziemy o krok dalej — odzywam się po przejściu przez ulicę. — Może się mylę, ale wydaje mi się, że czułam na sobie jego wzrok.

— To nie jest wykluczone — odpowiada beznamiętnie Cole.

— Jesteś dumny ze swojej uczennicy? — pytam rozbawiona, by choć trochę obudzić w nim jakiegokolwiek emocje.

Uśmiecha się, co uważam za swój sukces.

— Jestem.

— Tylko tyle masz mi do powiedzenia? Mogłabym zostać aktorką.

— Talent do udawania nie zawsze pokrywa się z talentem aktorskim.

— Umiesz podcinać skrzydła — stwierdzam zawiedziona.

— Nie kłamie. Nigdy.

— Chyba że udajesz?

— Wtedy się nie liczy.

Śmieję się w głos.

— Dostosowujesz prawdę do swoich potrzeb, Cole.

— Może. Tak jest wygodniej.

— Swoją drogą ty także się spisałeś. Nie spodziewałam się, że potrafisz udawać kogoś, kto ma cokolwiek wspólnego ze związkami.

Zatrzymuje się i uważnie mi się przygląda.

— Czy ty mnie właśnie obraziłaś? — pyta wolno.

— Nie. Stwierdziłam fakt. Nie wyglądasz na faceta, który był w jakimkolwiek związku.

— I tu masz rację. Nie byłem. Z dwóch powodów. — Rusza dalej, a więc go doganiam. — Po pierwsze, mój zawód mi na to nie pozwala. A po drugie, wolę niezobowiązujący seks.

— Do tego drugiego trzeba mieć chyba coś więcej, z wyjątkiem ładnej buźki, co? No chyba że lecisz na cokolwiek, byle zaliczyć.

— Chyba znów chcesz mnie obrazić — stwierdza rozbawiony.

— Mówię, co myślę. Tak jak ty.

Zatrzymujemy się przed hotelem. Zanim jednak wchodzimy do środka, Cole mi odpowiada.

— Mam dar. Nazywam to magnesem na kobiety.

Po tych słowach od razu rusza do wejścia. Idę za nim, nie odzywając się, dopóki nie znajdujemy się w windzie.

— Dar? Nie zauważyłam — rzucam kąśliwie.

Spogląda na mnie tak, jakby właśnie chciał mi przekazać, że pożałuję swoich słów.

— Nie miałś tej przyjemności.

Uśmiecha się arogancko, co sprawia, że mam ochotę go trochę podrażnić. Winda zatrzymuje się na naszym piętrze, dając mi trochę czasu na zastanowienie się nad dalszym ruchem. Czy jest sens ciągnąć tę dyskusję? Sama nie wiem. Próbuję się powstrzymać, mając nadzieję, że to mi się uda.

— Napijesz się? — proponuje Cole, gdy tylko zamykamy się w apartamencie.

— Chętnie, ale nie czystej whisky — mówię z odrazą.

Podchodzę do lodówki, z której wyciągam butelkę coli. Mężczyzna na ten widok marszczy brwi.

— To grzech.

— A więc nie patrz, jak go popełniam.

Z szafki wyciągam większą szklankę, po czym podaję ją mężczyźnie, który z wyraźnym grymasem wlewa do niej alkohol. Kiedy mi ją oddaje, wypełniam resztę napojem i siadam wygodnie w fotelu. Cole zajmuje miejsce naprzeciwko mnie. Stopę zakłada na kolano drugiej nogi, opiera się o zagłówek i bacznie mi się przypatruje.

— Wyglądasz zupełnie inaczej niż w dniu, w którym się poznaliśmy — mówi zamysłony.

— Byłam wtedy blondynką z ogromnym siniakiem na oku. Miałam na sobie pizamę i za małe buty. Poza tym na mojej twarzy malowało się jedynie błaganie o śmierć.

— Twoje oczy, ich wyraz, były zupełnie inne.

Nie mogę się powstrzymać od komentarza, którego pewnie będę żałować.

— Czy próbujesz właśnie udowodnić mi, że masz swój dar?

— Gdybym to zrobił, nie pytałabyś o to. Znałabyś odpowiedź — mówi pewny siebie.

— Oczywiście — pry cham.

— Nie wierzysz mi?

— To pytanie retoryczne? — Unoszę brwi.

Uśmiecha się szeroko, co uważam za zaskakujący widok. Upiła nieco whisky, po czym odstawia szklanę na stoliku i wstaje z fotela. Z niemałym zainteresowaniem obserwuję, jak wolno stawia kroki w moim kierunku. Kiedy jest już blisko, zabiera ode mnie szklanę, a po odstawieniu jej wyciąga do mnie dłoń. Niepewnie ją chwytam i wtedy mężczyzna ciągnie mnie do siebie. Gdy już stoję naprzeciwko niego, posyła mi złowrogi uśmiech.

— Zaszczycę cię teraz czymś, co spotyka niewiele kobiet.

— Mam czuć się wyróżniona? — pytam przekornie.

— Powinnaś — odpiera wolno, a jego ton jest zaskakująco niski.

Delikatnie pochyla głowę na bok, unosi rękę i nagle czuję na policzku jego dłoń. Otwieram szerzej oczy, nie rozumiejąc, co właściwie się dzieje. Przez jeden krótki moment nie wiem nawet, jak się zachować. Chwilowa niemoc na szczęście szybko mija.

— I to ma na mnie zrobić wrażenie?

W odpowiedzi unosi kącik ust, po czym zbliża się do mnie jeszcze bardziej. Teraz nasze ciała dzieli ledwie kilka centymetrów, a to sprawia, że czuję coraz większy dyskomfort. Walczę z ochotą odsunięcia się, by nie dać mu poczucia wygranej, lecz jest to naprawdę trudne.

— Mówisz jedno, myślisz co innego — szepcze pewny siebie.

Łapię jego rękę, zabierając ją ze swojego policzka. Unoszę się na palcach, by nie czuć jego przewagi nad sobą, po czym szeroko się uśmiecham.

— Nic, co zrobisz ani co powiesz, nie sprawi, że stracę dla ciebie rozum. Nawet na jedną krótką sekundę — mówię dosadnie. — Prędeż to ja sprawię, że oszalejesz.

— Doprawdy? — pyta rozbawiony. — Daj spokój, mała. Tę walkę przegrałaś już na starcie.

— Czyżby? — Cofam się o krok. — Czy nie zostałam tu dlatego, że zdałam test na uwiedzenie?

— Zdałaś. Bo doszedłem do wniosku, że na kogoś może to podziałać. Szczególnie na faceta w podeszłym wieku.

— Czuję się urażona.

— Większość mężczyzn przynajmniej zawiesiłaby na tobie wzrok. — Rozkłada ręce. — Ale nie ja.

— Tak, ty jesteś inny, dla ciebie liczy się wnętrze — mówię z sarkazmem.

— Wygląd to nie wszystko, ale mało która kobieta jest w stanie mnie zainteresować. Niewiele jest takich, które działają na mnie jak magnes.

Sięgam po swojego drinka, następnie siadam z nim na kanapie i uważnie przyglądam się mężczyźnie.

— Magnes? Chętnie o tym posłucham.

Wygląda na to, że Cole jest dziś skory do rozmów, a sam temat wydaje się dla niego wystarczająco interesujący, by miał zaszczycić mnie swoją wypowiedzią. On także bierze swoją szklankę, po czym siada tuż obok mnie. Wolną rękę układa na kanapie, tuż za moją głowę, tak że jego palce stykają się z moim ramieniem. Ignoruję jego dotyk, czując, że to kolejna próba udowodnienia mi, że nie różnię się od innych.

— Odważna, pewna siebie i swojego ciała — zaczyna mówić, ani na moment nie spuszczać ze mnie wzroku. — Kobieta, która samym spojrzeniem jest w stanie podnieść temperaturę mojego ciała. Taka, która mówiąc nawet o pogodzie, pobudzi mnie swoim głosem. To jest ten magnes.

— Och — dukam szczerze zaskoczona.

Spodziewałam się raczej czegoś banalnego.

— Może za jakieś dziesięć lat staniesz się taką kobietą — rzuca pod nosem, od razu wstając z miejsca. — Idź spać, Lauren. Jutro kolejny trening.

Nie lubię tego uczucia. Nie w takich sytuacjach. Determinacja... Powiedział mi, że nie jestem w stanie czegoś zrobić, a ja już zastanawiam się, w jaki sposób najszybciej udowodnić mu, że się myli. Próbuję wyrzucić z głowy wszelkie plany z tym związane, ale one wcale nie chcą jej opuszczać. Wręcz przeciwnie. Rozrastają się.

Dopijam drinka, po którym biorę długą kąpiel i kładę się do łóżka. Obiecuję sobie, że jutro bardziej przyłożę się do nieplanowania.

Rozdział szesnasty

Cole

Już po południu Lauren zażądała przerwy. Godzinę temu zamknęła się w swojej sypialni i chyba nie zamierza jej dziś opuszczać. Dwugodzinny trening i kolejna próba nauki strzelania najwyraźniej byłyby dla niej zbyt wyczerpujące. Ja jednak nie zamierzam odpuszczać. Co prawda niczego dziś więcej nie planowałem, ale nie mogę darować sobie przyjemności, jaką daje podręczenie dziewczyny.

Gdy kelner przynosi zamówiony obiad, rozstawiam wszystko na stole, po czym pukam do drzwi Lauren.

— Idź sobie!

Z uśmiechem na twarzy wchodzę do środka. Leży na łóżku i wygląda na to, że nie ma zamiaru się ruszyć.

— Wstawaj.

— Nie ma takiej możliwości! Już się wykąpałam i nie zmusisz mnie do kolejnego wysiłku. — Siada, posyłając mi gniewne spojrzenie. — A jeśli masz zamiar szantażować mnie zakończeniem naszej współpracy, od razu ci powiem, że bez problemu mogę stąd wyjść. Teraz to ja jestem bardziej potrzebna tobie.

— Obiad ci wystygnie — rzucam znudzony.

Od razu wychodzę, by nie pokazać po sobie rozbawienia. Siadam przy stole, a po chwili pojawia się Lauren. Wciąż ma zły humor, jednak głód wygrał chyba ze zmęczeniem. Nawet mi jej szkoda. Być może dziś trochę mnie poniosło, ale nie zamierzam głośno się do tego przyznawać.

— Miałaś kiedyś prawdziwe święta? — pytam w trakcie posiłku.

Unosi na mnie wzrok, po chwili prostuje się nieznacznie i patrzy tak, jakby nie rozumiała mojego pytania. Jej mina jednak szybko się zmienia. Zauważam w jej oczach zmieszanie i smutek.

— Nie. Dlatego nienawidzę świątecznych filmów, w których wszyscy są cholernie szczęśliwi, mają pełny stół jedzenia, choinkę po sam sufit, a pod nią górę prezentów. Wolę obejrzeć *Cicha noc, śmierci noc*.

— Co to za film?

— Horror. Morderczy Mikołaj morduje rodziców chłopaka, który po tym zdarzeniu trafia do psychiatryka, a kiedy z niego ucieka, zakłada strój Mikołaja i morduje na potęgę. Jak mogłeś tego nie oglądać? To chyba twoje klimaty.

— Nie jestem psychopata.

— Ale zabijasz.

— Na zlecenie. Nie chodzę po ulicy i nie zabijam przypadkowych osób.

— Psychopaci często zabijają według schematu.

— To także mnie nie dotyczy.

— Łączy was zabijanie.

— A więc lubisz horrory? — Zmieniam temat.

— Tylko i wyłącznie. Książki i filmy. To jedyny gatunek, który do mnie pasuje.

— Dlaczego?

— Ludzie nie lubią nieznanego. Szukają czegoś, z czym mogą się utożsamiać.

Moje życie to horror, więc sam rozumiesz.

— Chyba tak — odpieram zamyślony. — Niedaleko jest kino, może wieczorem trafimy na jakiś krwawy film.

— Och. Proponujesz mi randkę? — pyta z teatralnym zaskoczeniem, kładąc dłoń na sercu.

— Proponuję ci wyjście do kina. Jeśli jednak wolisz siłownię...

— Nie! Kino brzmi super!

— Nie mogłaś tak od razu? — pytam rozbawiony.

— Lubię cię drażnić. To moja jedyna rozrywka. — Wzrusza ramionami.

— Doskonale cię rozumiem.

— Tak, wiem. Robisz mi to na każdym kroku. Mam nadzieję, że w kinie nie wykupisz biletów na łzawy romans. Jeśli to zrobisz, wyciągnę pistolet, który zawsze nosisz ze sobą, i strzelę sobie w łeb.

— Skąd wiesz, że zawsze noszę pistolet?

— Przebywam z tobą zbyt długo, by nie zauważyć takich rzeczy.

— To przerażające.

— Co takiego?

— Że zdążyłaś poznać moje zwyczaje.

— Cóż... — Robi przerwę na łyk kawy, po czym skupia się na mnie. — Przerażające jest to, że w pewnym sensie jesteśmy na siebie skazani i mimo

niechęci zaczynamy się dogadywać, a ty proponujesz mi wyjście do kina. Tym powinieneś się niepokoić.

— Teraz z pewnością będę.

Zastanawiam się, czy można przywiązać się do kogoś tylko dlatego, że codziennie się go widzi. Czy kiedy przyjdzie moment, w którym nasze drogi się rozejdą, stanę się wtedy obojętny? Czy później będę łapać się na tym, że myślę o tym, co u niej? A może nawet to sprawdzę, by mieć pewność, że sobie radzi? Chciałbym, by dała sobie radę, gdy zostanie sama. Z jednej strony wiem, że tak będzie, bo jest twarda, ale z drugiej pamiętam, że jest jeszcze bardzo młoda.

Po obiedzie nie spędzamy ze sobą zbyt wiele czasu. Lauren ogląda telewizję w salonie, a ja jeszcze raz studiuję wszystkie informacje przekazane przez Carlosa. Gdy widzę jego numer na wyświetlaczu telefonu, mimowolnie rozglądam się po sypialni, jakbym szukał ukrytych kamer. W końcu odbieram połączenie, choć niewiele mogę powiedzieć mojemu zleceniodawcy.

— Mam nadzieję, że wszystko idzie według planu — odzywa się od razu.

— Tak. Lauren zwróciła na niego swoją uwagę.

Czy jestem tego pewien? Niezupełnie. Wolę jednak nie mówić tego głośno.

— To dobrze. Chciałbym dostać jego głowę na talerzu w noworocznym prezencie.

— Staram się do tego doprowadzić, ale czasu jest mało.

— Wykonywałeś już dla mnie jedno skomplikowane zlecenie. Było nawet podobne do tego, choć nie zależało mi na nim aż tak bardzo. — Dokładnie podkreśla ostatnie słowa.

— Wtedy wszystko zależało tylko ode mnie.

— Twoja lolita się nie spisuje?

— Spisuje. Po prostu zawsze działam w pojedynkę.

— Do Dano w pojedynkę nie dostałbyś się wystarczająco blisko. Nie potrzebuję nowych pracowników, a nawet gdyby tak było, znalazłbym sobie kogoś w znajomym kręgu. Nie zatrudniam przypadkowych ludzi.

— Dlatego to najgorsze zlecenie, z jakim miałem do czynienia.

— Dasz sobie radę. Kto, jeśli nie ty?

— Sugerowanie uczniowi, że jest niezastąpiony, jest na pewno właściwe? — pytam rozbawiony.

— Uczeń dawano przerósł mistrza. Nie mam problemu z przyznaniem się do tego głośno. Uważaj na siebie, Cole. Mój najlepszy zabójca musi przeżyć.

— Nie zamierzam umierać.

Po skończonej rozmowie wracam do analizowania informacji o Dano, ale szybko rezygnuję. Znam je już na pamięć. Nie ma możliwości, bym coś przeoczył. Facet mimo wieku wciąż nie potrafi odpuścić sobie towarzystwa kobiet, choć teraz pewnie zadowala go już sam ich widok. I właśnie dlatego potrzebuję Lauren.

Wieczorem dotrzymuję słowa i zabieram dziewczynę do pobliskiego kina. Wcześniej zdążyłem sprawdzić jego repertuar, by upewnić się, czy grają jakiś horror. Na jej szczęście znalazłem tytuł, który powinien ją zadowolić, i choć naprawdę kusił mnie zakup biletów na romans, odpuściłem ten pomysł. Głównie dlatego, że sam miałbym problem z przetrwaniem takiego seansu.

— Nasza pierwsza randka — komentuje Lauren, zajmując swoje miejsce.

— Jeśli się nie zamkniesz, będzie ostatnia — cedzę przez zaciśnięte zęby, próbując ukryć rozbawienie.

— Czy pan mi grozi? Jak ty w ogóle masz na nazwisko?

Unoszę głowę, opierając ją o zagłówek fotela, i zamykam oczy.

— Możesz przestać gadać?

— Film jeszcze się nie zaczął.

— Skup się na reklamach.

— Nie są ciekawe.

— Lauren — mówię ostrzegawczo.

— Dobrze, rozumiem. Nie masz nazwiska.

Wypuszczam głośno powietrze, ale już nie odpowiadam, by nie dawać jej powodów do dalszego ciągnięcia tej dyskusji. Na szczęście film zaczyna się kilka sekund później, a cała uwaga dziewczyny skupia się odtąd na ekranie. Już po pierwszych minutach jest tak bardzo zajęta seansem, że nie dostrzega chyba, że się jej przyglądam. Z szeroko otwartymi oczami obserwuję wszystko, co dzieje się na ekranie, aż nagle wciąga głośno powietrze. Czuję dość silny ucisk na rękę. Patrząc w to miejsce, na zaciskające się palce Lauren. Ona dopiero po kilku sekundach orientuje się, co właśnie robi, i zabiera szybko dłoń.

— Przepraszam. Nie spodziewałam się, że to coś nagle wyskoczy — mówi drżącym głosem.

— Powiniennem cię uprzedzić, że reklamują to jako jeden z najstraszniejszych horrorów ostatniej dekady.

— Ach, tak. To wiele by wyjaśniało. Zdecydowanie mogłeś o tym wspomnieć.

— Nie zwykłem wierzyć w reklamy.

— Ja natomiast mogłam się przygotować.

Kolejny raz podskakuje na fotelu, ponownie łapiąc moje przedramię. Tym razem zabiera rękę po sekundzie. Z uśmiechem obserwuję jej zdenerwowaną twarz. Większość kobiet z pewnością uciekłaby już z sali, ale ona jest nieugięta. Mimo przerażenia ogląda film dalej, i to z niemałą determinacją. Zaskakuje mnie. Po raz kolejny przyznaję, że mi zaimponowała.

Gdy film się kończy, Lauren niemal wybiega z sali kinowej, jakby potwór z filmu miał zaraz wyjść z ekranu i zabić wszystkich widzów obecnych na seansie. Doganiam ją dopiero przy wyjściu, zauważając, jak bardzo jest roztrzęsiona.

— Najgorsza randka w życiu — mówi ze śmiertelnie poważną miną.

Nie mogę powstrzymać się od śmiechu.

— Ze mną tylko takie wchodzą w grę.

Wracając do hotelu, zauważam, że dziewczyna co chwilę ogląda się za siebie. Z trudem tego nie komentuję, choć naprawdę ciśnie mi się na usta kilka komentarzy. Jest już późno, gdy wracamy, więc postanawiam wziąć kąpiel i położyć się spać. Zostawiam Lauren już w salonie i zamykam się u siebie. Szybko zrzucam ubrania, napełniam wannę gorącą wodą i biorę długą kąpiel, by oczyścić umysł. Po położeniu się do łóżka zauważam światło wydostające się spod drzwi. Pewien, że dziewczyna nie zgasła go po sobie, wstaję z łóżka i wchodzę do salonu. Lauren siedzi na kanapie, ma skulone pod siebie nogi i wpatruje się w telewizor.

— Co tu robisz?

Na dźwięk mojego głosu wciąga głośno powietrze.

— Boże! Przestraszyłeś mnie!

— Co tu robisz? — ponawiam pytanie, mimo że znam już odpowiedź.

— Nie mogę zasnąć.

— Jak dziecko — rzucam pod nosem. — Chodź.

— Gdzie?

— Chodź i nie zadawaj więcej pytań.

Sięga po pilota i wyłącza telewizor, po czym niechętnie podchodzi do mnie. Zatrzymuje się, by dokładnie mi się przyjrzeć.

— Całe szczęście masz na sobie bokserki.

Unoszę kącik ust, zauważając, że jej wzrok zatrzymał się na dłużej na wysokości mojego brzucha. Otwieram drzwi do swojej sypialni i puszczam ją przodem, po czym podchodzę do łóżka, wskazując jego lewą stronę.

— Kładź się.

— Będiesz mnie tulił do snu?

— Opowiem ci nawet bajkę i zaśpiewam kołysankę, dzieciaku.

Marszcząc czoło, wchodzi pod kołdrę, po czym dokładnie mi się przygląda.

— Serce ci mięknie, Cole.

Dołączam do niej, gaszę lampkę i kładę się na plecach.

— Nie mięknie. Nawet ja nie lubię zostawiać przerażonych dzieci na pastwę losu.

— Ej! — Unosi się gwałtownie. — Nie jestem dzieckiem.

Również się unoszę.

— Jesteś.

Zbliża twarz do mojej.

— Nie jestem — cedzi przez zaciśnięte zęby.

— Boisz się horroru.

— Nie boję się za to spać z mordercą w jednym łóżku — szepcze.

— I to może twój błąd.

— Czy to groźba.

— Nie. Nie czepiam się dzieci.

W ciągu sekundy porusza się i ku mojemu zaskoczeniu siada na mnie okrakiem.

— Już dawno przestałam być dzieckiem, Cole.

— Widzę — rzucam ochryłym głosem.

Chce ze mnie zejść, ale moje dłonie mimowolnie zaciskają się na jej udach.

— Co robisz?

— Nie mam, kurwa, pojęcia.

Przesuwam dłonie na jej biodra i przyciągam ją do siebie. Chyba postradałem rozum, ale ją całuję. Wiem, że to błąd, i już żałuję, ale mimo to nie przestaję.

Lauren, choć na początku zaskoczona, oddaje pocałunek. Oplata rękoma moją szyję, dociskając się do mnie ciałem jeszcze bardziej. I właśnie teraz dociera do mnie, jak wielki błąd popełniłem. Jednym ruchem zrzucam ją z siebie, kładąc obok mnie na plecach.

— Dobranoc, Lauren.

Odwracam się do niej plecami, czekając na ruch z jej strony. Zakładam, że urażona po prostu wyjdzie, ale dzieje się coś zupełnie innego.

— A co z obiecaną bajką?

Z uśmiechem na twarzy zamykam oczy. Jeszcze kilka dni temu nie spodziewałem się, że ta dziewczyna namiesza mi w głowie.

Rozdział siedemnasty

Lauren

Budzę się w łóżku Cole'a i od razu wracają do mnie wspomnienia poprzedniej nocy. Nie ma go obok, ale sam zapach mężczyzny unosi się w powietrzu. Czuję się nieco zażenowana. Och, to nowość. Przez niego nawiedzają mnie emocje, o których już dawno zdążyłam zapomnieć. Zerkam na zegar, jest dopiero szósta nad ranem. Zgaduję, że Cole jest właśnie w trakcie swojego joggingu. Korzystając z chwili samotności, wyskakuję z łóżka i wychodzę z jego sypialni, ale już w salonie odkrywam, że jednak nie jestem sama.

— Miałaś koszmary? — pyta wyraźnie zadowolony Cole.

Oparty jest o wyspę kuchenną, w jednej dłoni trzyma kubek z kawą, a w drugiej jakąś gazetę.

— Wręcz przeciwnie.

Odwracam się, by zamknąć się u siebie, ale jego głos mnie zatrzymuje.

— Zjedz śniadanie.

— Zaraz. Muszę się przebrać.

Szybko zamykam się w swojej sypialni, niemal biegnę do łazienki i przemywam twarz zimną wodą. Unoszę głowę znad umywalki i przyglądam się swojemu odbiciu w lustrze. Dobrze, skoro nic się nie stało, to nic się nie stało. Cole zachowuje się jak zawsze, a więc i ja powinnam. Zresztą czym ja mam się przejmować, skoro to on mnie pocałował?

Po szybkim prysznicu wskakuję w czyste ubrania i dołączam do mężczyzny, który już kończy jeść.

— Nie biegałeś dzisiaj? — pytam jakby od niechcienia.

— Wróciłem godzinę temu.

— Nie sypiasz długo, co?

— Zwykle śpię dłużej, ale ktoś wyrzucił mnie z łóżka, serwując kilka niezłych kopów.

— Chyba jednak miałam koszmary — odpieram niewinnie.

— Kim jest Tina?

Na sam dźwięk tego słowa robi mi się niedobrze.

— Co?

— Mamrotałaś coś przez sen, kilka razy powiedziałaś to imię.

— Ach. — Opuszczam głowę, udając, że zajęta jestem przygotowywaniem sobie kanapki. — Dziewczyna, która dręczyła mnie w szkole.

— Jak bardzo cię dręczyła?

— Czy to ma dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie? Czy może lubisz po prostu znęcać się nade mną? — pytam wzburzona.

— Jestem ciekaw. Sądząc po twojej reakcji, nie były to zwykłe niewinne żarty.

— Nie były. Tina jest potworem, okej? Tyle ci wystarczy?

— Wystarczy — odpiera zamyślony, bacznie mi się przyglądając.

— Nie każdy ma udane życie — szepczę.

— Nie każdy. Wiem coś o tym.

— To może dla odmiany opowiesz mi coś o swoim?

— Może. Kiedyś.

— Nie mogło być gorsze od mojego.

— Zależy jak na to spojrzeć.

Od razu zauważam, że weszłam na drażliwy temat. Cole wstaje gwałtownie z miejsca i bardzo szybko znika z zasięgu mojego wzroku. Z kubkiem kawy przechodzi przez salon i siada na drugim jego końcu. Odstawia kubek na stolik i sięga po swój laptop. By na niego spojrzeć, muszę się odwrócić. Instynkt przetrwania każe mi nie mieć zabójcy za plecami bez możliwości obserwowania, co właśnie robi. Nawet jeśli jest to... zaprzyjaźniony zabójca.

— Dlaczego ty wiesz o mnie tak dużo, a ja o tobie praktycznie nic?

— Bo tak jest lepiej.

— Dla ciebie.

— Dla mnie — potwierdza bez ogródek.

— Gdzie się urodziłeś?

Posyła mi złowrogie spojrzenie.

— W Portland — odpowiada bardzo niechętnie.

— Długo tam mieszkałeś?

— Dziewięć lat. — Nagle spogląda na mnie z zaskakującą intensywnością. — W tym wieku uciekłem z domu dziecka.

— Byłeś w domu dziecka?!

— Właśnie to powiedziałem.

— W wieku dziewięciu lat radziłeś sobie już całkiem sam?

— Nie. Koniec pytań, Lauren.

Ton jego głosu wyraźnie daje do zrozumienia, że to naprawdę koniec rozmowy. Widząc jego minę, nie mam zamiaru pytać o nic więcej. Na pewno nie teraz.

Kończę śniadanie w ciszy. Potem zamykam się w swojej sypialni, bo atmosfera w salonie zrobiła się wyjątkowo napięta. Może niepotrzebnie pytałam. Skąd jednak miałam wiedzieć, że łączy nas podobna przeszłość? Zakładałam, że jest rozpieszczonym dzieckiem bogatych rodziców, którzy pozwalali mu na zbyt wiele. To bardziej do niego pasuje. Wyniosłość, niebywała pewność siebie i swego rodzaju sposób bycia. Jest mi nawet trochę głupio, bo chyba zdarłam bliznę na jego duszy. Takie przynajmniej odnoszę wrażenie.

Przez cały dzień skutecznie schodziliśmy sobie z drogi, ale przyszedł wieczór i zbliżało się zdarzenie, którego nie mogliśmy pominąć. Ubrałam się w cekinową sukienkę w kolorze krwistej czerwieni, zrobiłam mocny makijaż i upięłam włosy w luźny kok. Na szczęście nie będzie to koncert pod gołym niebem, więc nie muszę bać się zimna, co chętnie wykorzystuję. Sama sukienka zasłania niedużo. Głęboki dekolt podkreśla biust, którego nie mam zbyt wiele, ale teraz wydaje się większy, niż jest naprawdę. Przyglądam się swojemu odbiciu w lustrze i dochodzę do wniosku, że nie tylko wyglądam inaczej, ale że stałam się kobietą. Nie jestem już przerażoną dziewczynką modlącą się o śmierć. Gdyby ktoś powiedział mi miesiąc temu, że z uśmiechem na twarzy będę podziwiała to, jak wyglądam, uznałabym, że to mało zabawny żart. Ale teraz jest naprawdę inaczej.

Gotowa nie tylko fizycznie, ale także psychicznie, wychodzę z sypialni. Cole już na mnie czeka, a na mój widok na jego twarzy przez sekundę maluje się zaskoczenie. Oczywiście pokerowa twarz wraca szybko i nie mogę wyczytać z niej już żadnych emocji. Uśmiecham się i obracam wolno, pokazując się z każdej strony.

— Jak wyglądam?

— Oczekujesz komplementu? — Krzyżuje ręce na klatce piersiowej.

— Jedynie szczerzej opinii.

— A więc komplementu.

— Czyli podoba ci się to, co widzisz? — pytam kokieteryjnie.

Cole opiera się ramieniem o ścianę i przekręca głowę w bok.

— Znów chcesz się bawić w uwodzenie?

— Może. — Wzruszam ramionami. — To też jakaś forma rozrywki, a zbyt wiele mi ich nie zapewniasz.

— Po wczorajszej rozrywce wylądowałeś w moim łóżku.

Wiem, że mówi to tylko po to, by wywołać we mnie wstyd, ale przecenił swoje możliwości.

— Sam mnie do niego zaprosiłeś. — Ruszam w jego kierunku, zatrzymuję się dosłownie kilka centymetrów przed nim. — Idziemy? Skoro nie chcesz się bawić, znajdę sobie kogoś innego.

— Nie wytrzymałabyś mojej zabawy — odpowiada, otwierając mi drzwi. — I nie próbuj robić niczego głupiego, dobrze ci radzę — dodaje w drodze do windy.

— Co masz na myśli?

— Dobrze wiesz.

Wzdycham, opieram się plecami o ścianę windy i robię znudzoną minę.

— Dużo mówisz, Cole. Twierdzisz, że jesteś taki wspaniały, a jednocześnie masz problem z udowodnieniem tego. Na ogół ludzie, którzy niewiele potrafią, najwięcej mówią.

Nie mija sekunda, odkąd wypowiedziałam te słowa, a Cole wciska guzik zatrzymujący windę. Ta staje nagle, przez co o mało się nie przewracam, ale moje ciało zatrzymują ręce mężczyzny. Dociska się do mnie i atakuje moje usta. Nie wiem nawet, jak mam na to zareagować. Kurwa. Co się właściwie dzieje! Jest niczym drapieżnik pożerający swoją ofiarę. Zbyt władczy, by choć pomyśleć o przeciwstawieniu mu się. Zbyt namiętny, by nie odczuwać satysfakcji z jego czynów...

— Jeśli będę chciał udowodnić ci, co potrafię, to zrobię to, nie pytając o pozwolenie — szepcze w moje usta. — Nie prowokuj mnie, bo wolałbym trzymać się od ciebie z daleka. Rozumiesz?

— Niezupełnie.

— Im mniej nas łączy, tym lepiej.

Odrywa się ode mnie, po czym wraca na swoje miejsce i wciska guzik, na nowo uruchamiając windę.

— Mówisz tak, jakbyś sam odczuwał słabość — komentuję cicho.

Cole odwraca głowę w moją stronę i jedynie posyła mi ostrzegawcze spojrzenie. Które to już? Szybko można stracić rachubę. Nie mam zamiaru grzecznie wykonywać jego rozkazów. Już nie. Teraz to on potrzebuje mnie bardziej niż ja jego.

Na zewnątrz czeka już na nas taksówka. W drodze na miejsce nie zamieniamy ze sobą ani słowa. Cole nawet na mnie nie patrzy, co cholernie mnie irytuje. Co go ugryzło? W jego zachowaniu jest coś dziwnego, kłócającego się z jego osobowością. Na szczęście wiem, jak go poruszyć, i z przyjemnością zrealizuję swój plan. Bo dlaczegóż by nie?

Na miejscu przechodzimy przez bramkę dla vipów. Elegancko ubrana kobieta prowadzi nas na górę i wskazuje balkon, z którego mamy obejrzeć cały koncert. To miejsce jest niesamowite. Przypatruję się wszystkiemu z ogromnym podziwem, aż nagle zauważam mężczyznę zajmującego miejsce po przeciwnej stronie sali. Dokładnie naprzeciwko nas. Od razu odwracam się do Cole'a, by mu o tym powiedzieć, ale on spojrzeniem daje mi do zrozumienia, że już go zauważył.

— Kolejne przedstawienie czas zacząć — rzucam pod nosem.

— Nie mów, że ci się nie podoba.

— Podoba. Czasami.

Koncert zaczyna się po kwadransie. Na początku skupiamy się jedynie na artystach, którzy występują na ogromnej scenie. Z tego miejsca widzę wszystko dokładnie, co sprawia mi dodatkową frajdę. I gdyby nie dłonie, które nagle spoczęły na moich biodrach, z pewnością podziwiałabym wszystko dalej.

— Zapomniałaś chyba, po co tu przyszliśmy — szepcze mi do ucha Cole.

— Nie zapomniałam.

Przekłada moje włosy na prawe ramię, po czym chowa swoją twarz w zagłębieniu mojej odsłoniętej szyi. Przymykam na moment oczy, czując dziwne wibracje na całym ciele. Czy to, co robi, może naprawdę mi się podobać? Jakim cudem?

— Drżysz, Lauren.

— Myślałam, że będzie tu cieplej — rzucam zmieszana.

Śmieje się cicho prosto do mojego ucha.

— Czas trochę cię rozgrzać.

Odwraca mnie gwałtownie w swoją stronę, zaciska palce na mojej talii i posyła mi diabelsko seksowne spojrzenie, na które chyba nie byłam gotowa.

— Przed chwilą mówiłeś coś innego — odzywam się zamyślona, próbując choć trochę zrozumieć wahania nastroju tego człowieka.

— I wcale nie zmieniłem zdania. Teraz jednak realizujemy swój plan, a więc dobrze się przy tym bawię.

— Ach. Czyli kiedy czerpiesz korzyści z obmacywania mnie na oczach innych jest dobrze, ale jeśli jesteśmy sami, to już źle?

— To jest gra. Właśnie to, co teraz się dzieje. Nie robię niczego, co chciałbym zrobić na osobności.

— Ostatnio odniosłam inne wrażenie.

— Na to już nic nie poradzę.

Unoszę ręce, powoli układając dłonie na ramionach mężczyzny.

— Nudzi mnie ta gra. Nawet do końca jej nie rozumiem.

Cole otwiera usta, ale nie odpowiada, gdyż pojawia się obok nas ta sama kobieta, która wskazała nam nasze miejsca. Prostuję się, myśląc, że chce nam zwrócić uwagę na nieodpowiednie zachowanie, ale ona zdaje się tym w ogóle nie przejmować. Wyciąga rękę w naszym kierunku, a wtedy zauważam kartkę w jej dłoni.

— Mężczyzna z balkonu naprzeciwko państwa prosił, żebym dostarczyła wam tę kartkę.

Cole zabiera od niej liścik, a wtedy kobieta odchodzi.

— Zapraszam na after party u siebie — Cole czyta treść na głos. — Dalej jest adres jego domu.

Oboje odwracamy głowy w stronę Dano. Ten kiwa głową, nieznacznie się uśmiechając.

— To był nasz plan? — pytam zmieszana.

— Nie. I nie wiem, czy to zaproszenie jest dla nas dobrym znakiem.

— Czy nie o to właśnie chodziło?

— Niezupełnie.

Udajemy zadowolonych, chociaż prawda jest zupełnie inna. Przez resztę koncertu uśmiechamy się, jednak mamy szereg obaw. Nie wiem, o czym dokładnie

myśli Cole, ale po jego słowach mam wrażenie, że może dojść do czegoś, czego nikt z nas nie przewidział.

Kiedy wychodzimy z sali, Cole łapie taksówkę i każe kierowcy pokrążyć przez chwilę po mieście. Ten, choć zaskoczony, chętnie zgadza się na jego propozycję. W tym czasie Cole robi zdjęcie kartki otrzymanej od Dano i wysyła je najprawdopodobniej do swojego zleceniodawcy. Nie odzywam się, widząc, że sprawa jest naprawdę poważna.

Rozdział osiemnasty

Cole

Carlos dzwoni do mnie kilka sekund po otrzymaniu mojej wiadomości.

— Ot tak zaprasza was do siebie? — pyta wyraźnie zdenerwowany. — Zrobiliście coś, co mogło przyciągnąć jego uwagę?

— Nie. Oglądaliśmy koncert. Myślałem, że uda nam się zbliżyć do niego dopiero na after party i po kilku kolejnych przypadkowych spotkaniach zainteresuje się nami bardziej. Nie wiem, skąd to nagłe zaproszenie.

— On nie ufa ludziom, Cole.

— Wiem. Co mam robić?

— Kurwa! Nie mam pojęcia! Jeśli nie pójdziecie, może nie być kolejnej okazji. Ale jeśli pójdziecie, cholera wie, co może się wydarzyć.

— Może rzucimy monetą.

— To nie czas na żarty!

— Tylko to mi już pozostało. Zaryzykuję.

— Jesteś pewien?

— Jaka jest szansa, że dowiedział się, kim jestem?

— Zerowa.

— A więc warto zaryzykować.

— Daj znać od razu po wyjściu od niego.

— Jasne.

Rozłączam się, po czym od razu podaję kierowcy adres. Lauren nie jest zaskoczona, ale nie potrafi ukryć stresu związanego z tym, w jakim kierunku się udajemy. Nic w tym dziwnego. Sam już dawno nie odczuwałem adrenaliny, a już na pewno nie w takiej ilości. Dano nie jest zwykłym człowiekiem, którego mogę po prostu zabić i nie zginąć przy tym kilka sekund później. Jego ochrona jest imponująca, o czym właśnie się przekonuję. Kiedy taksówka zatrzymuje się przed jego domem, pięciu uzbrojonych po zęby mężczyzn zbliża się do bramy. Wychodzę z samochodu, po czym otwieram drzwi Lauren. Zauważam, jak drży, ale gdy tylko podchodzimy bliżej bramy, jej twarz przybiera spokojny wyraz.

— Dostaliśmy zaproszenie od właściciela tego domu — odzywam się do ochrony.

Jeden z nich odchodzi na bok, po czym wyciąga telefon. Nie mija dziesięć sekund, a kiwnięciem głowy daje znać kolegom, że mają nas wpuścić. Łapię dziewczynę w pasie, prowadząc ją tuż za dwoma mężczyznami. Wchodzimy do ogromnego domu, przed którym roi się od uzbrojonych ludzi. W środku jest ich niewiele mniej. Dano rzeczywiście jest zabezpieczony z każdej strony. Idziemy na górę, a tam skręcamy w prawo i krocymy po korytarzu do samego jego końca, gdzie znajdują się podwójne drzwi. Jeden z mężczyzn otwiera je i wskazuje ręką, byśmy poszli dalej. Pomieszczenie okazuje się czymś w rodzaju sali bankietowej. Jest duże, przestronne, puste na środku, ale wokół wypełnione stolikami, barem oraz niewielką sceną, na której teraz nie ma nikogo. Dostrzegam także ogromny balkon, gdzie stoi nasz cel w towarzystwie innego mężczyzny. W środku natomiast znajduje się kilkoro ludzi. Gospodarz zauważa nas po chwili i szybko przychodzi, by się przywitać.

— Wyglądacie na zagubionych — stwierdza z szerokim uśmiechem.

— Prawdę mówiąc, tak właśnie jest. Czym zawdzięczamy to zaproszenie, panie...

— Jordi Dano. — Podaje mi dłoń, którą od razu ściskam.

— Cole Brown, a to moja dziewczyna, Lauren Meester.

— Bardzo mi miło. — Całuje wierzch jej dłoni, po czym cofa się o krok, by dobrze nam się przyjrzeć. — Widzę was już trzeci raz w krótkim czasie. Doszedłem do wniosku, że to przeznaczenie.

— Przeznaczenie? — pytam z zainteresowaniem.

— Wszystko wyjaśnię w swoim czasie. Teraz zajmijmy się tym, po co wszyscy tu przyszli. Zabawą.

Unoszę kącik ust i kiwam głową. Dano szybko wraca do mężczyzny, z którym rozmawiał przed chwilą.

— Co się tu dzieje? — pyta Lauren, gdy zostajemy sami. — Musisz zapisać mi moje nowe nazwisko, bo już go zapomniałam.

— Meester — odpieram rozbawiony. — Bez obaw, raczej nie będzie ci już potrzebne.

— Wyjaśnisz mi, o co tu chodzi? Po co nas zaprosił?

Kładę dłoń u dołu jej pleców i popycham lekko, by ruszyła się z miejsca. Przechodzimy do baru, gdzie zamawiam dwie szklanki whisky, po czym kroczymy z nimi do jednego ze stolików, obok którego nikt się nie kręci.

— To test. Nie znamy prawidłowej odpowiedzi, by go zdać, a więc musimy strzelać i mieć nadzieję, że go zdamy.

— Test? Im dalej dochodzimy, tym mniej rozumiem — odpiera sugestywnie, dając mi do zrozumienia, że nie mówi tylko o sprawie Dano.

— Z czasem zrozumiesz.

— Wątpię. — Upija łyk whisky, starając się nie skrzywić, gdy płyn przepływa przez jej przelyk. — Powiedz mi, jaką odpowiedź zaznaczamy.

Rozejrzałem się dyskretnie po otoczeniu. To nie było kulturalne przyjęcie, choć na pierwszy rzut oka mogło się takie wydawać. Nieuprzątnięta kokaina na stoliku w rogu była na to najlepszym dowodem. Dużo alkoholu, do którego dostęp był nieograniczony. I kobiety. Część z nich z pewnością była zaproszona, ale część została sprowadzona w charakterze dziewczyn do towarzystwa. Rozpoznać luksusowe prostytutki nie było trudno. Nie wyróżniał ich ubiór czy wygląd, ale sam wyraz twarzy i mowa ciała. Liczyły, że z wyjątkiem obiecanego honorarium dostaną coś więcej od mężczyzn, z którymi rozmawiały.

— Potrafisz być niegrzeczna? — pytam przeciągle, lustrując wzrokiem Lauren.

— To pytanie retoryczne? Wiesz przecież, że potrafię się dostosować do każdej okoliczności. Powiedz mi tylko, co dokładnie mam robić. Wyznacz granicę, a ja wykonam swoje zadanie.

Mówi to tak gładko, jakby wcale nie przebywała w domu mordercy. Ta dziewczyna jest dla mnie jedną wielką tajemnicą, choć na początku byłem pewien, że wiem o niej wszystko. Na pozór otwarta księga okazała się być zamknięta i zabezpieczona szyfrem, którego nie znam. Nachodzi mnie myśl, że powinienem zakończyć sprawę jak najszybciej i to dla własnego dobra.

— Bądź towarzyska. To wystarczy.

— Jak ja uwielbiam te twoje szczegółowe instrukcje — odpiera kąśliwie.

Zanim jednak odpowiadam, Lauren dopija whisky i wstaje z miejsca. Przechodzi między ludźmi, sprawiając, że każdy z mężczyzn choć na chwilę zawiesza na niej spojrzenie. Jej płynny ruch bioder na moment hipnotyzuje nawet mnie. Obserwuję, jak siada przy barze, a po chwili obok niej pojawia się jakiś

mężczyzna. Nie muszę ich słyszeć, by wiedzieć, że okręca go sobie wokół palca. Nalewa jej whisky, ani na chwilę nie spuszczaając z niej wzroku. Kilka sekund później dołącza do nich kolejny facet, a Lauren zdaje się zachwycona swoją siłą przyciągania.

— Takie kobiety najłatwiej stracić. — Obok mnie siada Dano. — Na twoim miejscu pilnowałbym jej.

— Jestem spokojny — rzucam beznamiętnie.

— I dlatego zaciskasz szczękę? — pyta rozbawiony.

— To taki trik.

Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że to robię.

— Mieszkacie w Chicago?

— Nie. Lauren chciała spędzić tu święta. Miała ochotę poczuć prawdziwy świąteczny klimat.

— Skąd przyjechaliście?

— Z wielu miejsc. — Uśmiecham się. — Nigdzie nie zostajemy na długo. Lubimy podróżować. Stany Zjednoczone, Europa, a nawet Azja.

— Imponujące. Wybacz moją bezpośredniość, ale skąd macie na to pieniądze?

Wiem, na jaką odpowiedź liczy. Zanim jednak odpowiadam, wraca do nas Lauren, która w dobrym nastroju siada mi na kolanach.

— Przeszkodziłam w rozmowie?

— Wręcz przeciwnie. Rozmawialiśmy właśnie o waszym zajęciu — odpowiada jej Dano.

— Jordi jest ciekaw, czym się zajmujemy.

Kładę dłoń na jej udzie, sunąc wolno w górę. Czy mi się wydaje, czy ona drży?

— Mało kogo stać na podróże. Szczególnie tych, którzy uczciwie pracują — dodaje sugestywnie mężczyzna.

— Zgadza się. Dlatego z uczciwością nam nie po drodze — odpowiada Lauren, po czym obejmuje mnie w barkach. — Prawda, kochanie?

— Zdecydowanie.

— Cieszy mnie to. Rzadko kiedy bywam w Chicago, ale teraz pojawiła się okazja do zarobienia dużej gotówki. Potrzebuję ludzi, którzy mają charakter i nie boją się wyzwania.

— I tak po prostu nam o tym mówisz? — pytam zaskoczony. — Nie znamy się dobrze. Tak naprawdę w ogóle się nie znamy.

— Mam intuicję do ludzi. Wydajecie się skłonni do ryzyka. Powiedzcie, że się mylę.

— Nie mylisz się — odpieram poważnym tonem. — Nie mówisz także, o co dokładnie chodzi.

— Wszystko w swoim czasie. — Wstaje i przygląda nam się w zamyśleniu. — Dziś się bawimy. Na pracę zawsze znajdzie się czas.

Kiedy odchodzi, Lauren kładzie dłonie na mojej twarzy i uśmiecha się zalotnie.

— A więc mamy się bawić?

— Masz jakieś pomysły?

Kładę dłoń na jej tyłku i zaciskam na nim palce.

— Kilka by się znalazło.

Wiem, co robi, i nawet mi się to podoba. Tylko dlatego, że mam nad tym kontrolę. Dopóki tu jesteśmy, możemy robić wszystko, na co mamy ochotę. Ale gdy tylko przekroczymy próg tego domu, wrócimy do poprzedniego stanu, w którym Lauren nie będzie mogła się do mnie zbliżyć.

— Chodź, zabawimy się.

Przechodzimy na środek sali, gdzie tańczy kilkoro ludzi. Muzyka nie jest głośna, co ułatwia rozmowę, ale bez problemu można przy niej tańczyć. Obejmuję dziewczynę w biodrach, którymi kręci w cholernie podniecający sposób. Po chwili odwracam ją tyłem do siebie, na co w odpowiedzi ociera się pośladkami o mojego kutasa. Zaciskam zęby, choć niewiele to pomaga.

— Czy mi się wydaje, czy nie jesteś obojętny na moje ruchy? — pyta zadowolona z siebie, dociskając się jeszcze bardziej do mojego ciała.

Jednym płynnym ruchem odwracam ją ponownie przodem do siebie i obejmuję mocno w talii.

— Igrasz z ogniem.

— Znów wiele mówisz.

— Lauren, nie mieszaj pracy z życiem prywatnym.

— Jesteś nudny, kiedy za dużo myślisz.

Jej uwodzicielski ton i seksowne ruchy dają mi jasno do zrozumienia, że podjęła właśnie kolejną próbę uwiedzenia mnie i nie ma to związku z naszym planem. Nie

rozumiem, po co to robi. Jaki ma w tym cel? Dlaczego podjęła wyzwanie przekroczenia pewnej granicy, od której powinna trzymać się z dala?

Rozdział dziewiętnasty

Lauren

Nie jest obojętny na to, co robię, a mimo wszystko udaje, że nic się nie dzieje. Próbuje mi coś udowodnić, jednak w ogóle mu to nie wychodzi. Wciąż uważa, że nie jestem w stanie go uwieść? Że kobiety, o których mówił, mają coś, czego nie mam ja? Nie lubię, gdy ktoś próbuje za wszelką cenę wmówić mi, że czegoś nie potrafię. Szczególnie teraz, gdy czuję, że mogę wszystko. Kiedy udało mi się uciec z piekła, stałam się zupełnie inną osobą i zamierzam to udowodnić człowiekowi, który z jakiegoś powodu wciąż widzi we mnie błagającą o śmierć dziewczynkę z podbitym okiem. Nie jestem nią. Już nie.

— Nie lubię gier — szepcze do mojego ucha niezadowolony Cole.

— Całe twoje życie to gra.

— Być może, ale sam ją stworzyłem. Sam też ustalam zasady.

— A więc nowy gracz nie jest mile widziany?

Obraca mnie, po czym przyciąga z siłą, przez którą uderzam o jego ciało.

— Nie taki, który mnie drażni i myśli, że może więcej.

— Mogę więcej — mówię pewnie.

— Tak ci się tylko wydaje.

Puszcza mnie i choć w innych okolicznościach pewnie odszedłby jak najdalej, tu nie może tego zrobić. Łapie mnie za rękę, ciągnąc za sobą w stronę stolika, przy którym wcześniej siedzieliśmy. Kiedy zajmujemy miejsca, zauważam, że jest wyjątkowo spięty. Zawsze zdaje się taki być przez swoją postawę, ale teraz to nie jest złudzenie.

— Długo musimy tu zostać? — pytam znudzona.

— Sądząc po rozkręcającej się imprezie, wkrótce wszyscy zasną.

Ma rację. Ludzie nie stronią od używek. Ci po kokainie rozkręcają się coraz bardziej, ale reszta zdaje się zalana w trupa. Oczywiście z kilkoma wyjątkami, które — tak jak my — starają się nie stracić kontaktu ze światem. Wśród nich jest także Dano. Być może zbyt zajęty rozmowami, by skupić się na picciu. A może woli mieć trzeźwy umysł.

Po godzinie jest już naprawdę źle. W życiu nie widziałam bardziej otumanionych ludzi niż teraz. Cole w końcu postanawia ukrócić nasze męki i zabiera mnie do gospodarza, by się pożegnać.

— Mam nadzieję, że niedługo znów się spotkamy.

Na szczęście ten nie próbuje nas zatrzymać.

— Skoro masz co do nas plany, myślę, że już niedługo — odpowiada Cole tajemniczym głosem.

Kiedy opuszczamy dom tego człowieka, czuję ulgę.

— Nie wiedziałam, że przyjęcia u bogatych ludzi tak wyglądają — komentuję, gdy czekamy na taksówkę.

— Nie zawsze tak wyglądają. Czasami są wystawne i eleganckie. Wszystko zależy od okoliczności i doboru gości. Dziś chodziło o zebranie ludzi, którzy mogą dla niego pracować. Przynajmniej takie odniosłem wrażenie — odpowiada mi mężczyzna, jednocześnie wstukując wiadomość w telefonie.

— Piszesz do Carlosa?

— Streszczam mu całe spotkanie.

— Jestem ciekawa, co Dano chce nam zaproponować.

— Nic, co mogłoby się nam spodobać. Wierz mi.

— Wierzę.

Przed nami zatrzymuje się taksówka, na której widok od razu się uśmiecham. Wsiadam do środka z niemałą radością, bo powrót do hotelu oznacza koniec tego popieprzonego dnia. Choć z drugiej strony zastanawiam się, czy nie umilić go sobie, zanim położę się na łóżku. Ukradkiem zerkam na skupionego Cole'a, który właśnie koresponduje ze swoim zleceniodawcą. Chyba nawet nie zauważa, że mu się przyglądam. A może jedynie udaje, że tego nie widzi. Po głowie chodzą mi różne pomysły i chociaż wiem, że większość z nich powinna zostać od razu odrzucona, i tak się nad nimi zastanawiam. To chyba silniejsze ode mnie. Nie wiem, czy to potrzeba zwrócenia na siebie uwagi, czy udowodnienia swoich racji, ale ciężko mi z tego zrezygnować.

Do samego hotelu klóczę się sama ze sobą, jednocześnie robiąc zakłady, która część mojej osobowości wygra. Ta rozważna, której zależy na szybkim pożegnaniu się z dotychczasowym życiem i rozpoczęciu nowego rozdziału? A może ta odważna, która pragnie udowodnić wszystkim, że jest gotowa na każde wyzwanie i nie ma

dla niej planów, których nie potrafiłaby zrealizować? Im bliżej jestem apartamentu, tym większy mam mętlik w głowie.

W końcu dotarliśmy na miejsce. Cole od razu sięga po butelkę whisky, co po raz pierwszy uważam za naprawdę dobry pomysł.

— Ja też poproszę — mówię, rozsiadając się wygodnie na kanapie.

Mężczyzna zerka na mnie przelotnie, po czym wyciąga drugą szklankę i nalewa do niej alkoholu. Podaje mi ją i siada ze swoją naprzeciwko.

— Boisz się mnie? — pytam rozbawiona.

Pochyla się tak, że jego łokcie stykają się z kolanami. Zanim się odzywa, mija chwila wypełniona ciszą, w której to lustruje mnie z precyzją snajpera.

— Aż tak bardzo pragniesz mojej bliskości? — Unosi brwi, posyłając mi wyzywające spojrzenie.

Nie spodziewałam się, że odbije piłeczkę, więc kilka sekund zajmuje mi odnalezienie właściwej riposty.

— Lubię ją. Im jesteś bliżej, tym gorzej udajesz.

— Udaję? Coś ci powiem, Lauren... — Wstaje i podchodzi do mnie. Siada obok, następnie pochyla się tak blisko, że czuję na twarzy jego oddech. — Nawet bym w to wszedł. Zawsze to dodatkowa rozrywka. Zlecenie wymaga czasu, a gdy jesteśmy tutaj, moglibyśmy zająć się czymś znacznie przyjemniejszym od treningów na siłowni. Nie zamierzam jednak przekraczać tej granicy ze względu na ciebie.

— Na mnie? — pytam skołowana.

— Masz się ze mną rozstać i szybko zapomnieć o tym, co się wydarzyło.

— Ach, sugerujesz, że mogę się w tobie zakochać. — Nie jestem w stanie opanować śmiechu. — Pozwól, że teraz ja ci coś powiem. Wyprano mnie ze zbyt wielu uczuć, bym mogła poczuć coś więcej do kogokolwiek. Prędzej martwiłabym się o ciebie. Przecież to ty tchórzysz.

— Z jakiegoś nieznanego mi powodu próbujesz zrobić wszystko, bym zapomniał o swoich przekonaniach. Być może rzeczywiście jesteś moją lolitą.

Posyłam mu pytające spojrzenie, ale nie mówi nic więcej. Po kilku sekundach namysłu dochodzę do wniosku, że ciągnięcie tej rozmowy nie ma najmniejszego sensu. Ciśnie mi się na usta jeszcze kilka komentarzy, jednak zostawiam je dla siebie. Tak będzie lepiej. Jednego natomiast nie mogę sobie odpuścić.

— Jeśli ktoś z nas miałoby poczuć cokolwiek do drugiego, byłbyś to ty — rzucam z pewnością w głosie, po czym odchodzę.

Zamykam się w sypialni i od razu zaczynam zastanawiać się, co właściwie się wydarzyło. Słaba głowa do alkoholu nie pomaga w takich sytuacjach i mam tego najlepszy dowód. Chyba powinnam przestać go prowokować. Mój plan był głupi i dziecinny. Poza tym co przyszłoby mi z osiągnięcia celu? Nic.

Zrzucam buty i gdy sięgam do zamka sukienki, Cole z impetem wpada do sypialni. Prostuję się, patrząc na niego zaskoczona, ale nie doczekuję się jakiegokolwiek wyjaśnienia tego wtargnięcia. Zamiast tego podchodzi do mnie, łapie mocno moją twarz i odzywa się niskim tonem:

— Skoro oboje nie mamy skłonności do ludzkich uczuć, niczym nie ryzykujemy — stwierdza, wpatrując się w moje oczy.

Nie wiem, co mam odpowiedzieć. Przecież przed chwilą postanowiłam dać sobie spokój, choć jeszcze nie tak dawno temu wzięłam sobie za cel uwiedzenie go. Wygląda na to, że nie tylko Cole ma wahania nastrojów. Ja właśnie dostrzegłam u siebie podobne skłonności. Mężczyzna zdaje się czekać na odpowiedź, a ja nie potrafię mu jej udzielić. I tak jak zakładałam, odpowiada za mnie. Daje mi to do zrozumienia namiętym pocałunkiem, który sprawia, że zupełnie przestaję myśleć logicznie. Tym razem nie staram się tego zmienić. Poddaję się, bo przecież tego właśnie chciałam. Cole bardzo szybko przejmuje nade mną całkowitą kontrolę. Niemal zdiera ze mnie sukienkę, a chwilę później leżę już naga na łóżku. Zawisa nade mną i patrząc mi w oczy, rozpina swoją koszulę. Powoli odkrywa mięśnie na klatce piersiowej i brzuchu, dając mi czas na dokładne przyjrzenie się każdemu centymetrowi jego ciała. Muszę przyznać, że ten widok jest naprawdę miły dla oka. Po pozbyciu się koszuli zabiera się za pasek w spodniach. Trzymając go w ręku, patrzy najpierw na mnie, później na niego.

— Nawet o tym nie myśl — mówię ostrzegawczo, gdy dochodzi do mnie, jakie popieprzone myśli mogą mu właśnie chodzić po głowie.

— Wróćmy do tego — odpowiada, rzucając pasek na podłogę.

— Po moim trupie.

— W naszym przypadku to wyjątkowo ryzykowane stwierdzenie.

Z lekko uniesionym kącikiem ust rozpina spodnie, ale w pewnym momencie zatrzymuje się. Nie mówiąc zupełnie nic, wstaje ze mnie i wychodzi z sypialni.

Leżę zupełnie skołowana, mając nadzieję, że nie zrobił tego, co myślę. Nie mógł stchórzyć w takim momencie! Czekam kilka chwil, a gdy zaczynam już wierzyć, że miałam rację, mężczyzna wraca. W jego dłoni dostrzegam opakowanie prezerwatyw, rozumiem już to nagłe wyjście. Pozbywa się reszty swoich ubrań, sięga po prezerwatywę, którą szybko zakłada na imponującej wielkości penisa, po czym ponownie nade mną zawisa. Patrząc mi w oczy, wchodzi we mnie nieśpiesznie, dokładnie obserwując moje zachowanie. Im dłużej tak patrzy, tym zdecydowanie gorzej to znoszę. W końcu jednak przestaje i zaczyna poruszać się we mnie w coraz szybszym tempie. Pchnięcia jego bioder są silne, zdecydowane i władcze. Początkowy dyskomfort mija, a w mojej głowie zapanowuje zupełna pustka.

Cole łapie moje ręce i blokuje je nad głową, przychylając się do mnie jeszcze bliżej. Nasze twarze znajdują się w niewielkiej odległości od siebie, a głośne oddechy przerywają ciszę. Z każdą kolejną minutą czuję coraz większą przyjemność. Nagle dochodzi do mnie, że odczuwam ją po raz pierwszy. Narasta we mnie panika, przed oczami pojawiają się obrazy, o których chciałam zapomnieć, ale nie poddaję się im. Nie chcę uciec z płaczem. Zamykam oczy, odchylam głowę do tyłu i próbuję odnaleźć spokój. Skupiam się na mężczyźnie i tym, co robi z moim ciałem. Choć skrępowane ręce nie pozwalają mi czuć się swobodnie, nie protestuję. Tak długo było normalnie... Nie mogę tego przerwać.

Otwieram oczy, gdy czuję szarpnięcie. Patrzę zaskoczona na wpatrującego się we mnie Cole'a, który bez najmniejszego wysiłku zmienia nasze pozycje. Sadza mnie na sobie, zakłada ręce za głowę i samym spojrzeniem daje mi do zrozumienia, że wie, co się działo w moim umyśle. To niezwykle i trochę niepokojące, ale jestem mu wdzięczna. Po przejęciu przeze mnie pełnej kontroli wszystkie niechciane obrazy od razu uciekają w zapomnienie. Układam dłonie na klatce piersiowej mężczyzny i zaczynam poruszać biodrami, nadając sobie odpowiedni rytm. Dopiero teraz rozumiem, czym jest prawdziwa przyjemność, i bardzo mi się to podoba. Przez całe moje ciało przechodzą przyjemne dreszcze, a ja sama nabieram ochoty na więcej. Zaczynam poruszać się coraz szybciej, aż moje ciało nie daje sobie rady. Wtedy z pomocą przychodzi Cole, łapiąc mnie mocno w biodrach. Unosi mnie bez najmniejszego wysiłku. Utrzymuję rytm, który powoli doprowadza mnie do pierwszego w moim życiu orgazmu. Zamykam oczy i z trudem

utrzymuję się w pozycji, gdy moje drżące ciało odmawia posłuszeństwa. Wtedy Cole przewraca mnie na plecy i kilkoma ruchami kończy to, co jakimś cudem sama zaczęłam. Po chwili opada obok mnie. Słyszę jedynie nasze ciężkie oddechy i bicie mojego serca. Nie wiem, co powiedzieć ani nawet, co właściwie czuję.

— Udało ci się — dociera do mnie głos Cole'a.

Odwracam wolno głowę w jego stronę.

— Co masz na myśli?

— Nie sądziłem, że jesteś w stanie mnie uwieść.

— Och. — Uśmiecham się. — Zrobiłam to już dawno. Po prostu udawałam, że tego nie dostrzegasz.

— Być może.

Zaskakuje mnie. Nie mam jednak siły na kąśliwy komentarz. Jestem zbyt zmęczona i zbyt zajęta myślami o tym, co się stało. Na moment zamykam oczy, ale już ich nie otwieram. Nie jestem w stanie. Czuję ruch materaca. Cole opuścił łóżko. Po chwili zakrywa mnie kołdrą, ale już nie wraca. Może jeszcze wróci?

Rozdział dwudziesty

Cole

Leżę obok niej, zastanawiając się nad tym, co powinienem teraz zrobić. Już świta. Powinienem po prostu wyjść, by nie wiedziała nawet, czy spędziłem z nią tę noc. Powinienem. Zanim jednak podejmuję decyzję, Lauren otwiera oczy. Dostrzegając mnie obok siebie, robi zaskoczoną minę.

— Nie spodziewałam się ciebie — mówi zaspanym głosem.

— Lubię zaskakiwać.

— Która godzina?

— Szósta.

— A więc barbarzyńska pora na pobudkę.

Po tych słowach odwraca się na bok, twarzą do mnie, i zamyka oczy. Przez kilka kolejnych minut po prostu na nią patrzę. Niewiele myślę, bo tak naprawdę nie mam o czym. Mam jedynie nadzieję, że wczoraj mówiła prawdę i rzeczywiście nie jest skłonna do większych uczuć. Tak jest prościej.

Schodzę z łóżka i opuszczam sypialnię Lauren, po czym przebieram się w dres i wychodzę pobiegać. Im bliżej świąt, tym ciężiej przebić się przez tłumy na ulicy. Szybko daję sobie spokój. Próby ominięcia tłumów sprawiają, że mam ochotę kogoś zabić, i naprawdę jestem już tego bliski. Po powrocie do hotelu biorę prysznic i zamawiam śniadanie. Gdy jest już dostarczone, z sypialni wychodzi wciąż zaspana Lauren. Na jej twarzy nie mogę dostrzec żadnych oznak, że w jakikolwiek sposób myśli o tym, co wydarzyło się w nocy. Ciężko uwierzyć, że na świecie żyje kobieta, która tak samo jak ja jest wyprana z uczuć. Nie kochamy, bo nie wiemy, czym jest miłość. Nie przywiązujemy się, bo znamy smak odrzucenia. Nie myślimy o przyszłości, bo nie wiemy, czy dożyjemy jutra. Tacy właśnie jesteśmy. Dwoje wykluczonych z normalnego życia ludzi.

— Jakie mamy plany na dzisiaj? — pyta dziewczyna, nalewając sobie kawę.

— Zostajemy w domu. Za dwa dni ma odbyć się bankiet charytatywny, na który wybiera się Dano. Do tego czasu nie zaplanowałem już nic. Święta coraz bliżej, lepiej zostać w hotelu, niż przepychać się przez tłumy ludzi.

— Kiedy dokładnie wypada Boże Narodzenie?

— W poniedziałek. Został równo tydzień.

— Och. A niedawno zaczął się grudzień — komentuje zamyślona. — To dobrze, jeszcze kilka dni i będzie po wszystkim. Nienawidzę świąt.

— Nie ty jedna.

— Czasami zastanawiam się, jakby to było żyć w normalnej rodzinie i obchodzić Boże Narodzenie. Jeszcze niedawno obiecywałam sobie, że moje dzieci będą mieć prawdziwie rodzinne święta, ale przecież nie jestem zdolna do założenia rodziny. Nie powinnam mieć nawet psa.

— Tacy jak my żyją sami i wcale tego nie żałują.

— Nigdy nie myślałeś o dzieciach, żonie, spokojnym życiu w domku na przedmieściach?

— Nigdy — odpowiadam zgodnie z prawdą. — Ale myślałem o psie.

— O psie? — pyta zaskoczona.

— Przez chwilę. Szybko zrezygnowałem.

— Bardziej pasuje mi do ciebie jadowny wąż.

— Przemyślę twoją sugestię.

— Powinieneś zdecydowanie — rzuca rozbawiona.

Do południa spędzamy czas przed telewizorem. Nie lubię bezczynności, ale co roku o tej porze tak właśnie wyglądają moje dni. Chyba że udaje mi się zaszyć w miejscu, w którym nie występuje świąteczna gorączka. Nie mam jednak do tego szczęścia. Ludzie lubią zamówić sobie morderstwo wroga w prezencie gwiazdkowym. Teraz również tak właśnie jest. Co chwilę odrzucam kolejne zlecenie wymagające opuszczenia miasta. Dojście do Dano jest zbyt ważne, bym zdecydował się nawet na kilka godzin poza Chicago. Nigdy nie wiadomo, co się wydarzy, i właśnie dlatego siedzę tutaj, wpatrując się w telewizor i czekając na dzień, w którym wszystko wróci do normy.

— Nudzi mi się — mówi przeciągle Lauren.

— Możesz wyjść. Nie jesteś więźniem.

— Nie znam miasta.

— Nie będę twoim przewodnikiem.

— Jesteś dziś wyjątkowo marudny.

— Mam za sobą ciężką noc.

— Och, wybacz — rzuca oburzona.

Dopiero teraz uświadamiam sobie, co właściwie powiedziałem.

— Nie o to mi chodziło — odpieram zgodnie z prawdą. — Mówiłem o Dano.

— To niewiele zmienia. Ciężka noc to ciężka noc. — Wzrusza ramionami. — Zresztą nie musisz mi się tłumaczyć. Nie jestem w tym dobra. W sumie jak miałabym być?

Nie do końca wiem, jak mam jej na to odpowiedzieć. Czego ode mnie oczekuje? Nie wyznam, że przeżyłem najlepszą noc w swoim życiu, tylko dlatego, żeby ją pocieszyć. To nieprawda. Było dobrze. Po prostu dobrze i tyle. Tego także jej nie powiem, bo pewnie źle to zrozumie.

— Chyba naprawdę potrzebujesz świeżego powietrza. Ubieraj się.

Lauren z uśmiechem na twarzy wstaje i niemal biegnie do swojej sypialni, a ja dopiero teraz orientuję się, że mnie nabrała. Dałem się podejść jak dziecko. Niewiele myśląc, idę za nią. Bez pukania wchodzę do środka, gdy właśnie ściąga bluzkę. Mimo braku stanika niespecjalnie przejmuję się moją obecnością.

— Co? — Rzuca mi przelotne spojrzenie.

— Wrobiłaś mnie.

— Dałeś się. Jak dziecko — komentuje drwiąco.

Podchodzę do łóżka, siadam na jego brzegu i w zamyśleniu obserwuję ubierającą się dziewczynę. Chciałbym być zły, ale zamiast tego po raz kolejny jestem pod wrażeniem i, kurwa, nie podoba mi się to.

— Manipulujesz mną — rzucam pod nosem. — Jakim cudem wychodzi ci to z taką łatwością?

W samej koszulce i majtkach odwraca się do mnie, obdarzając mnie szerokim uśmiechem.

— Znam cię. — Podchodzi bliżej, zatrzymując się dopiero, gdy jej nogi znajdują się między moimi. — Jesteśmy zbyt do siebie podobni, by ukryć nasze słabości.

— Jesteś pewna? — Unoszę brew i mimowolnie kładę dłonie na jej nagich biodrach. Daję słowo, nie kontroluję tego.

— Yhym. Ty też to wiesz, ale wmawiasz sobie, że jest inaczej. Tak jest łatwiej. Lubisz, jak jest łatwo, prawda?

— Kto nie lubi?

— Ci, którzy mają z górki przez całe życie i marzą o czymś więcej.

Wstaję, tym samym znajdując się tuż przed nią.

— Powiniennem odwołać nasze wyjście.
— Ale tego nie zrobisz, prawda?
— Prawda. — Odchodzę, ale zatrzymuję się przed drzwiami. — Bądź gotowa za pięć minut.
— Gdzie pójdziemy?
— Na spacer. Dopóki nie zapragnę kogoś zabić. Później wracamy.
— Zaproponuj chociaż romantyczną kolację — mówi rozbawiona.
Zerkam na nią przez ramię, tłumiąc w sobie uśmiech.
— Nie przeginaj, lolita.
— Co to w ogóle znaczy?
Już jej nie odpowiadam. Sam nie wiem, dlaczego tak ją nazwałem. Carlos zbyt często ją tak nazywa i to pewnie przez to. Nie da się jednak ukryć, że to określenie w pewnym sensie do niej pasuje. Pytanie tylko, co to oznacza dla mnie.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Lauren

Ostatnie dwa dni były dość spokojne, choć atmosfera bywała niekiedy dość gęsta. Wystarczyło, by jedno z nas zdecydowało się na ten krok i znów skończylibyśmy w łóżku. Mimo to ani ja, ani Cole nie weszliśmy ponownie do tej gry. W gruncie rzeczy sama nie do końca wiem dlaczego, ale zdaję sobie sprawę, że tak jest lepiej. Po co komplikować i tak już skomplikowane relacje? On chyba uważa tak samo, aczkolwiek czasami oboje gubimy się w swoich myślach. Właśnie wtedy między nami robi się gorąco. Szybkie studzenie temperatury wychodzi nam coraz lepiej. Dziś jednak musimy zadbać o to, by utrzymać ją na jak najwyższym poziomie dla otoczenia.

Rano dowiedziałam się, że bankiet charytatywny, na który się wybieramy, organizowany jest po to, by zebrać pieniądze dla domów dziecka w Chicago, które mają zapewnić najmłodszym godziwe święta. Dziwnie się czuję z tą świadomością. Przez chwilę wspomnienia mojego poprzedniego życia uderzyły mnie z dużą mocą, ale udało mi się je zwalczyć. Mimo wszystko wciąż czuję się dość nieswojo.

Wpatruję się w swoje odbicie na kilka minut przed wyjściem, zastanawiając się, co przyniesie nam dzisiejszy wieczór. Przecież może wydarzyć się wszystko, i to jest najgorsze. Po latach niepewności chciałabym móc przewidzieć swoje życie na przynajmniej kilka godzin w przód. Ciekawe, czy kiedykolwiek tego zaznam. Potrzebuję stabilności i spokoju. Przynajmniej tak właśnie mi się wydaje.

Ubrana w czarną długą suknię, z mocnym makijażem i rozpuszczonymi włosami, wyglądam jak wcielenie diabła. Nie wiem, czy nie przesadziłam. Sądząc po minie Cole'a, który właśnie wszedł do mojej sypialni, dochodzę do wniosku, że bordowa szminka była lekką przesadą.

— Wyglądasz jak pieprzona Lilith — odzywa się głosem tak niskim, że na sam ten dźwięk przechodzą mnie dreszcze.

— To źle? — pytam nieco skołowana.

Wyjątkowo ciężko odczytać coś z jego twarzy.

— Kurewsko dobrze. — Podchodzi do mnie zdecydowanym krokiem i kładzie dłoń na mojej tali. — A to źle.

— Dlaczego? — Unoszę brew i posyłam mu pytające spojrzenie.

— Trudniej będzie mi się opanować.

— Och. A więc mamy problem.

— W rzeczy samej.

— I co zrobimy? — szepczę, przesuwając palcem po jego ramieniu.

— Ty mi powiedz.

Pochyliła się, delikatnie przesuwa ustami po moim uchu, zbliżając się coraz bardziej do mojej twarzy. Kiedy już myślę, że mnie pocałuje, prostuje się i przygląda mi się z niemalym zainteresowaniem. Teraz tak sobie myślę, że przed pójściem na całość nie broni nas zdrowy rozsądek. To tylko gra, która mimo złudzeniu ma bardzo proste zasady. Ten, kto ulegnie, przegrywa. Oboje za bardzo chcemy wygrać.

— Chyba czas już wyjść — rzucam niby od niechcenia.

— Tak — odchrząkuje Cole. — Już czas.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o kolejną rundę naszej zabawy. Opuuszczamy, przechodząc do relacji, jeśli można to tak nazwać, czysto biznesowej.

Przed hotelem czeka już na nas taksówka. Wsiadamy do środka, a Cole podaje kierowcy dokładny adres. Poprawiam się nieco na fotelu, a rozcięcie na sukience odsłania niemal całą moją nogę. W pierwszym odruchu chcę poprawić materiał, jednak szybko czuję na sobie spojrzenie mężczyzny. Właśnie dlatego zakładam nogę na nogę, odsłaniając jeszcze więcej. To, co robimy, jest dziecinne, ale z jakiegoś powodu nie możemy z tego zrezygnować.

Gdy jesteśmy na miejscu, Cole wychodzi z samochodu, okrąża go i otwiera mi drzwi. Podaje mi rękę, by pomóc mi wysiąść, a ja z trudem powstrzymuję się od uszczypliwego komentarza. Po jego minie wnioskuję, że to zauważył. Nie mogę się dziwić, spodziewał się, że to skomentuję.

— Zróbmy wszystko, by dziś sprawa nabrała tempa — odzywam się, gdy kroczymy ku wejściu.

— Co masz na myśli?

Zatrzymujemy się przed dwoma ochroniarzami. Cole pokazuje im nasze zaproszenie, które z pewnością załatwił Carlos. Po sprawdzeniu ich mężczyźni puszczają nas dalej.

— Nie wiem — wzdygam. — Chciałabym mieć to już z głowy.

— Moje towarzystwo zaczyna cię nudzić? — pyta przekornie.

— Raczej ta sytuacja. Nie wszystko ma związek z tobą.

Stajemy u szczytu schodów, na moment przyglądając się całej sali z góry. Biorę mężczyznę pod ramię i wtedy ruszamy dalej.

— Ta sprawa ma dość ścisły związek ze mną. Kończymy ją i wtedy nasze drogi się rozchodzą.

Może tak będzie najlepiej. Ta znajomość nie ma ani przyszłości, ani sensu.

— Ale przynajmniej będziemy mogli żyć. Wyślę ci pocztówkę z Miami.

Uśmiecha się w odpowiedzi, ale nic nie mówi, bo właśnie schodzimy ze schodów. Na początku jedynie kroczymy między ludźmi, ale szybko odnajdujemy tego, dla którego tu przyszliśmy. Dano stoi z trzema mężczyznami, jednak szybko nas zauważa. Rzuca do nich jeszcze dwa słowa, po czym rusza w naszym kierunku. Z uśmiechem na twarzy podaje mi swoją dłoń i całuje wierzch mojej, po czym wita się z Cole'em.

— Cóż za miła niespodzianka. Zgaduję, że zaciekały was przedmioty wystawione na licytację.

— Oczywiście — odpowiada od razu Cole.

Nie wiedziałam nawet, że odbędzie się tu jakakolwiek licytacja. Co prawda jest w tym sens, skoro przyjęcie jest charytatywne.

— Mam nadzieję, że nie zainteresował nas ten sam przedmiot.

— Zależy, co wpadło ci w oko.

— Pierścień z lat sześćdziesiątych. — Mierzy nas badawczym spojrzeniem.

— A więc możesz być spokojny. Nie dla niego się tu pojawiliśmy. Lauren zażyczyła sobie czegoś z licytacji w prezencie świątecznym, ale jeszcze na nic się nie zdecydowała.

Uśmiecham się jak skończona idiotka i to wystarczy, by Dano niczego nie podejrzewał.

— Jeśli mogę coś podpowiedzieć, diadem ze szmaragdem podkreśli zieleń twoich oczu — zwraca się do mnie Jordi.

— Będę mieć go na uwadze — odpieram z uśmiechem, po czym zerkam na Cole'a. — Mam ochotę na szampana.

— Oczywiście.

Odchodzi, a nie tego chciałam. Miałam zamiar na moment odpocząć od towarzystwa Dano, a nie zostawać z nim sam na sam. Szybko jednak dociera do mnie, że to nie jest zły pomysł. Mężczyzna przygląda mi się w sposób, który w innych okolicznościach sprawiłby, że uciekłabym jak najdalej. Teraz jednak właśnie takiego spojrzenia potrzebuję, by upewnić się, że jestem dla niego w jakiś sposób interesująca.

— Dlaczego właśnie pierścionek? — pytam z zainteresowaniem.

Wciąż pamiętam o minie słodkiej i rozpuszczonej dziewczyny. To irytujące. Zwykle musiałam udowodniać, że nie jestem głupia, a teraz próbuję ukryć to, że mam coś w głowie.

— Wiąże się z nim interesująca historia.

— Chętnie posłucham.

— A ja chętnie ci o niej opowiem, ale nie tutaj i nie dziś. — Zerka przez moje ramię na wracającego do nas Cole'a. Dopiero kiedy ten staje obok mnie i podaje mi kieliszek szampana, odzywa się ponownie. — Jeśli w licytacji dopisze mi szczęście, z przyjemnością zaproszę was do siebie, by zaproponować wam pewnego rodzaju współpracę.

— A więc życzę powodzenia. — Cole unosi kieliszek w geście toastu.

Przez kolejne minuty kręcimy się po sali, obserwując ludzi, którzy rozmawiają z Dano. Niewiele udaje nam się zaobserwować, jednak w końcu rozpoczyna się licytacja, na którą wszyscy czekali. Przechodzimy do innego pomieszczenia, odkrywając przedmioty, które mają zostać gwiazdami dzisiejszego wydarzenia. Ułożone za szkłem przyciągają wzrok niejednej osoby. Prowadzący licytację ogłasza, że wszyscy uczestnicy mają dokładnie pięć minut, by przyjrzeć się rzeczom, które za chwilę będzie można wylicytować. To naprawdę niewiele czasu, ale większość ludzi widziała je już wcześniej, więc tylko rzucają na nie okiem, po czym podchodzą do kobiety rozdającej tabliczki z numerami. Dzięki temu robi się znacznie luźniej, a ja mogę przyjrzeć się sektorowi z biżuterią, który najbardziej mnie intryguje. Szybko zauważam diadem, o którym mówił Dano. Wielkość szmaragdu jest imponująca i sprawia, że z trudem przechodzę dalej. Zatrzymuję się obok Cole'a, który wpatruje się w ogromny pierścień. Jest tak duży, że każde zdobienie widać wyraźnie mimo dzielącej nas odległości. Nie potrzeba lupy, by zobaczyć liście otaczające czerwony kamień. Zerkam za siebie, upewniając się, że

Jordi zajął już miejsce na jednym z krzeseł, po czym zwracam się szeptem do mężczyzny obok mnie.

— Jak myślisz, dlaczego mu na nim zależy?

— Tego nie wiem, ale z pewnością kryje się za tym coś więcej. Dano nie przyszedłby tutaj, by wspomóc organizację charytatywną. Ma ludzi za nic. Ten pierścień jest dla niego wiele wart.

— Może nie powinien go kupować?

— Wręcz przeciwnie. Musimy zadbać o to, by trafił w jego ręce.

— Dlaczego?

— Tylko tak dowiemy się więcej.

Kiwnięciem głowy wskazuje krzesła, a więc idę w tamtym kierunku. Na mój widok Jordi podnosi dłoń, każąc mi usiąść obok niego. Z przyklejonym uśmiechem podchodzę bliżej i siadam tuż obok. Po chwili dołącza do nas Cole, trzymając w ręku tabliczkę z numerem dziewiętnaście.

— Wybrałaś już sobie prezent? — pyta mnie Dano.

— Miałaś rację, ten diadem jest przepiękny. Co prawda mało praktyczny, ale wciąż wygląda imponująco.

— Powodzenia, przyjacielu — zwraca się do Cole'a. — Wielu po niego przyszło.

Zauważam, że Dano właśnie próbuje wybadać Cole'a. To, czy ma pieniądze i na ile go stać. Widać to po jego minie, a nawet tonie, w jakim wypowiedział te słowa.

Nikt nie mówi już nic więcej. Rozpoczyna się licytacja, a pierwszym przedmiotem okazuje się jakiś obraz. Zostaje sprzedany w ciągu dwudziestu sekund, bo tylko jedna osoba bierze udział w licytacji. Z kolejnymi przedmiotami jest bardzo podobnie. Czasami licytuje dwoje lub troje ludzi, ale szybko się poddają. Nic w tym dziwnego. Pokazywane dotychczas przedmioty nie są tak imponujące jak te, które jeszcze nie zostały przedstawione. Wszystko jednak się zmienia, gdy kobieta pomagająca w licytacji przynosi na niewielką scenę pierścień, na którym tak zależy Dano. Prostuje się połowa ludzi, a gdy aukcjoner rozpoczyna licytację, robi się wielkie zamieszanie. Ludzie przekrzykują się, rzucając coraz to większymi kwotami. Organizatorzy bankietu, którzy zajmują miejsca na tyle sceny, są równie podekscytowani. Słyszając padające sumy, nie potrafią ukryć szerokiego uśmiechu. Nie dziwię im się. Sama o mało nie spadam z krzesła, gdy z

ust Dano wychodzi „milion dolarów”. Wydawać by się mogło, że to już koniec, bo mało kto jest w stanie zapłacić więcej. Komuś jednak zależy równie mocno.

— Milion sto! — krzyczy mężczyzna w pierwszym rzędzie.

— Milion dwieście! — przebija go Jordi.

— Milion trzysta!

Aukcjoner nie jest nawet w stanie się odezwać, gdyż kolejne kwoty z ust mężczyzn padają dosłownie co sekundę. Wszyscy przyglądają im się zszokowani, ale także z wyrazem podziwu. Chyba nikt nie spodziewał się, że padną takie sumy. Być może nie zakładano nawet, że taką kwotę uda się uzbierać z całej licytacji.

— Dwa miliony! — przebija Dano.

Zapada cisza, którą przerywa aukcjoner.

— Dwa miliony po raz pierwszy... Dwa miliony po raz drugi... Czy ktoś da więcej? — Robi kilkusekundową pauzę, dając chyba czas na zastanowienie się drugiemu z licytujących mężczyzn. — Dwa miliony po raz trzeci! Pierścień trafia do pana z numerem jedenaście. Gratulujemy i dziękujemy za tak hojną kwotę, która z pewnością ucieszyła wszystkich organizatorów naszego dzisiejszego spotkania.

— Dwa miliony? — pytam zaskoczona, zanim wystawiony zostaje kolejny przedmiot.

— Jeśli czegoś chcę, zawsze to dostaję — odpiera Dano głosem, który ma w sobie coś z groźby.

Pół godziny później zostaje przyniesiony diadem. Odwracam głowę do Cole’a, posyłając mu szyderczy uśmiech. Zupełnie przypadkiem znalazł się w niewygodnej sytuacji. Licytacja zaczyna się od dwudziestu tysięcy, ale ta kwota rośnie wyjątkowo szybko. Nie mija minuta, a jest już sto tysięcy dolarów. Wtedy Cole pochyła się do mnie i szepcze mi do ucha:

— Wynagrodzisz mi to, mała. — Prostuje się i unosi swoją tabliczkę. — Sto pięćdziesiąt tysięcy!

Ktoś jednak go przebija, co z pewnością nie jest mu na rękę. To, że ma mnóstwo pieniędzy, jest oczywiste, ale wątpię, by uśmiechało mu się wydawanie ich na coś, co w ogóle mu się nie przyda. Musi jednak zachować pozory i ku mojemu zaskoczeniu właśnie to robi. Wygrywa licytację, wydając na diadem dokładnie trzysta tysięcy dolarów. Jego zaciśnięta szczęka jasno daje mi do zrozumienia, że

nie jest zadowolony. Szybko jednak jego mina zmienia wyraz, mężczyzna kładzie dłoń na moim udzie i zaciska na nim palce. Robi to tak mocno, że mimowolnie prostuję się i napinam wszystkie swoje mięśnie. Na szczęście szybko rozluźnia ucisk, ale czuję, że to dopiero początek odreagowywania przez niego niezadowolenia.

Rozdział dwudziesty drugi

Cole

Trzysta tysięcy dolarów. Na samą myśl o tym, na co mógłbym przeznaczyć te pieniądze, krew mnie, kurwa, zalewa. Z trudem wytrzymuję do końca licytacji, po której zmuszony jestem wypisać czek, którego wcale nie chcę wypisywać. Dostaję zapakowany diadem, z którym wracam do Lauren. Na jej szczęście jest w towarzystwie Dano, więc na razie nie mogę powiedzieć, jak bardzo wkurwiony na nią jestem.

— Wesołych świąt, kochanie — mówię głosem czułego kochanka, choć w środku cały się trzęsę.

— Dziękuję! — odpowiada zachwycona.

— Piękny prezent dla pięknej kobiety. Wart każdego wydanego dolara — komentuje Dano. — Bankiet się rozkręca, ale na mnie już pora. Lepiej schować to cudo w bezpiecznym miejscu. — Unosi pudełeczko z pierścieniem, po czym kiwa głową do trzech mężczyzn, którzy w kilka sekund pojawiają się obok niego. — Obiecałem opowiedzieć o jego historii i zamierzam dotrzymać słowa. Chciałbym zaprosić was na kolację. Może jutro?

— Chętnie przyjdziemy — odpowiadam od razu.

— Wspaniale! Zatem do zobaczenia.

Żegna się z nami i znika po chwili w towarzystwie swoich ochroniarzy. Patrzą na Lauren, która uśmiecha się do mnie z miną niewiniątka.

— Nie możesz mnie o to oskarżać. To nie moja wina. — Wzrusza ramionami.

— Mogłaś powiedzieć, że marzy ci się nowy obraz nad kominkiem — mówię z wyrzutem. — Zamiast trzystu tysięcy wydałbym tylko trzy.

— Skąd miałam wiedzieć? Nie mogłam tego przewidzieć i dobrze o tym wiesz!

Wiem, ale przecież nie odpuszczę sobie tej wymiany zdań. Lubię naszą grę, choć robi się destrukcyjna. Kto wie, dla kogo bardziej.

— Powinienem odebrać te pieniądze z twojego wynagrodzenia.

— Żartujesz?! Nie możesz mi tego zrobić! — syczy wściekła. — Zostanie mi coś jeszcze? A może planowałaś zapłacić mi mniej i każesz mi jeszcze się spłacać?! Dobrze wiesz, że...

Zupełnie odruchowo zamykam jej usta swoimi. Zrobiłem coś, na co miałem ochotę, i wcale tego nie żałuję. Poza tym Lauren nie protestuje. Nawet przez sekundę nie próbuje tego przerwać. W końcu robię to ja i przyznaję, że przychodzi mi to z trudem.

— Spokojnie, nie jestem takim sukinsynem — szepczę prosto w jej usta, po czym prostuję się i robię krok w tył. — Zostańmy jeszcze chwilę.

— Nie możemy już wyjść? Skoro Dano poszedł?

— Jeśli zostawił kogoś ze swoich ludzi, mógłby zacząć coś podejrzewać, gdyby dowiedział się, że wyszliśmy zaraz po nim. Poza tym chciałbym pogadać z facetem, z którym rozmawiał przed licytacją.

— A ja co mam robić?

— Zajmij się sobą. — Unoszę kącik ust. — Przecież to potrafisz.

Widzę, jak się wścieka, a w jej oczach maluje się obietnica zemsty. Z szerokim uśmiechem na twarzy zostawiam ją na środku sali i podchodzę do mężczyzny, który mnie interesuje. Stoi w towarzystwie pary, która odchodzi na parkiet w idealnym momencie.

— Interesująca licytacja — odzywam się, po czym podaję mu dłoń. — Cole Brown.

— Tom Miller. — Ścisną moją rękę. — Ma pan rację. Jeszcze nigdy nie uczestniczyłem w tak dużej licytacji. Chyba nikt się tego nie spodziewał. Przy okazji gratuluję wygranej. Chciałem wylicytować diadem dla żony, ale suma mnie przerosła.

— Moja dziewczyna zażyczyła sobie takiego prezentu, a kobiecie jest ciężko odmówić.

— Coś o tym wiem. Na szczęście kolczyki, które udało mi się wylicytować, także powinny zadowolić żonę. Czeka na mnie w Nowym Jorku, a mnie interesy trzymają tutaj.

To, jak wylewny jest w opowieściach, daje mi nadzieję, że dowiem się czegoś więcej.

— Trzeba jednak przyznać, że pierścień z rubinem wywołał największe zamieszanie.

— Och, bez dwóch zdań. — Uśmiecha się szeroko. — Jordi słynie z braku hamulców, jeśli chodzi o wydawanie pieniędzy. Ale to już pan chyba wie. Z tego, co

zauważyłem, znacie się dość dobrze.

— Powiedziałbym, że nasza relacja jest na etapie rozwoju — rzucam żartobliwie.

— A więc niech pan jej pilnuje. Warto mieć takich ludzi po swojej stronie. — Zerka za moje ramię, po czym znów patrzy na mnie. — Dziewczyny też radzę pilnować, bo ktoś ukradnie ją panu sprzed nosa.

Marszczę czoło i wolno odwracam się w kierunku, w którym patrzy Miller. Zaciskam szczękę na widok Lauren otoczonej przez trzech mężczyzn. Nawet stąd widzę jej kokietyjny uśmiech i doskonale wiem, że właśnie bada moją cierpliwość. Co kilka sekund zerka w moim kierunku, najprawdopodobniej upewniając się, czy ją widzę. Kiedy podaje dłoń jednemu z nich i odchodzi, by z nim zatańczyć, zmuszam się do sztucznego uśmiechu, po czym odwracam się do mężczyzny.

— Tak właśnie to działa — mówię, starając się zrobić wrażenie rozbawionego. — Gdzie się nie pojawimy, nie mogę zostawić jej na dłużej niż pół minuty, bo po chwili ktoś pojawia się obok niej.

— Wyjątkowa uroda rządzi się swoimi prawami — komentuje ze zrozumieniem. — Sam bym ją porwał, gdybym był dwadzieścia lat młodszy.

— A więc nie będę ryzykował, że ktoś to naprawdę zrobi. — Podaję mu dłoń, którą od razu ściska. — Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś porozmawiamy.

— Ja również.

Idę prosto do tańczącej z obcym facetem Lauren. Z każdym krokiem wściekam się jeszcze bardziej. Widząc, jak ją obmacuje, a ona mu na to pozwala, ledwo opanowuję gniew. Gdy staję obok, dziewczyna od razu się zatrzymuje. Przeprasza mężczyznę, z którym tańczyła, i odwraca się do mnie.

— Idziemy — cedzę przez zaciśnięte zęby.

Ruszam od razu w stronę schodów. Dogania mnie w ich połowie, a ja dopiero wtedy zauważam, że ma puste dłonie.

— Gdzie ten pieprzony diadem?

— Cholera!

Odwraca się i zbiega po schodach. Pokonuje całą salę, by dotrzeć do stolików. Na jednym z nich stoi pudełko, które szybko zabiera, po czym wraca do mnie.

— Wydałem na to kupę kasy. Postaraj się tego nie zgubić.

— Jesteś zły? — pyta rozbawiona. — Czy przemawia przez ciebie zazdrość?

Wychodzimy z budynku. Unoszę rękę, by przywołać taksówkę, a gdy zauważam kierujący się ku nam samochód, odwracam głowę w stronę dziewczyny.

— Wolałbym, żeby Dano nie dowiedział się, jak wygląda nasz... związek.

— To ty mnie zostawiłeś i kazałeś zająć się sobą!

Taksówka zatrzymuje się obok nas. Łapię za klamkę, ale zanim otwieram drzwi, unoszę wzrok na dziewczynę.

— Obydwoje dobrze wiemy, co tobą kierowało.

— Och! Oświeć mnie!

Nie odpowiadam, otwieram drzwi i puszczam ją pierwszą. Kiedy zajmuję miejsce, podaję kierowcy adres hotelu i wyciągam telefon, by wysłać wiadomość do Carlosa.

Ja: Wisisz mi trzysta tysięcy. Nie ponoszę kosztów związanych z twoim zleceniem.

Carlos: Jutro pieniądze będą u Ciebie. Powiedz lepiej, jak poszło.

Ja: Jesteśmy zaproszeni na kolację. Jutro w jego domu. Wylicytował pierścień za dwa miliony.

Carlos: Dwa miliony?! Co to za pierścień? Jak wygląda?

Ja: Duży, rubin otoczony złotymi liśćmi.

Carlos nie odpisuje, więc chowam komórkę i zerkam przelotnie na Lauren, która obserwuje widok z okna. Kilka minut później jesteśmy już pod hotelem. Wchodzimy do środka, pokonujemy całą drogę w ciszy, a gdy tylko zamykam drzwi apartamentu, mój telefon zaczyna dzwonić. Bez zerkania na wyświetlacz odbieram połączenie.

— Twoja wprawa w obserwowaniu ludzi przeraża mnie coraz bardziej — odzywam się pierwszy.

— Twoja lolita jest obok ciebie?

— Tak.

— Włącz mnie na głośnomówiący.

— Lauren! — wołam za dziewczyną, która jest już obok drzwi do swojej sypialni. — Carlos chce z nami porozmawiać.

Włączam tryb głośnomówiący, po czym kładę telefon na stoliku kawowym. Razem z dziewczyną siadamy na kanapie, czekając, aż Carlos się odezwie.

— Miło mi cię poznać, Lauren. Cole jest dobrym zabójcą, ale w opisach jest kurewsko wkurwiający. Widziałaś pierścień wylicytowany przez Dano?

— Tak — odpiera Lauren nieco niepewnie.

— Czy możesz powiedzieć, jak wyglądał, nie ograniczając się do jednego zdania?

— Mogę go narysować.

— Naprawdę? — Unoszę brwi.

— Tak. Potrzebuję tylko kartki i kredek, albo chociaż ołówek. To będzie chyba lepsze od słownego opisu?

— Jeśli potrafisz rysować, będzie dużo lepsze — odzywa się Carlos. — Cole, załatw jej, czego potrzebuje.

Po tych słowach rozłącza się, a ja od razu wychodzę z apartamentu. Zjeżdżam windą na dół i idę prosto do recepcji, gdzie proszę o potrzebne przybory. Na nasze szczęście nie jest to niewykonalna prośba. Pewnie dlatego, że jedna noc w tym miejscu kosztuje więcej, niż wynosi pensja przeciętnego człowieka. Prośba o kartkę i kredki wydaje się błahą potrzebą.

Po kilku minutach wracam do apartamentu. Podaję Lauren przedmioty, o które prosiła, i staję tuż za nią, obserwując, jak zaczyna rysować. Nie znam się na sztuce, ale tylko ślepiec nie dostrzegłby jej talentu. Nie mija dwadzieścia minut, a na białej kartce widnieje rysunek pierścionka, który wygląda niemal jak prawdziwy. Od razu robię zdjęcie i wysyłam je do Carlosa, który oddzwania w ciągu kilku sekund. Odbieram, ponownie włączam tryb głośnomówiący, po czym siadam obok Lauren.

— Wiesz, kto przekazał go na licytację? — pyta wzburzony mężczyzna.

— Nie mam pojęcia.

— Niektóre przedmioty były podpisane nazwiskami darczyńców, ale przy pierścionku go nie widziałam — wtrąca dziewczyna.

— Wiesz, co to za pierścionek? — pytam zaintrygowany swojego zleceniodawcę.

— Dawno zaginiony talizman — mówi tajemniczym głosem. — W latach osiemdziesiątych był jednym z największych skarbów włoskiej mafii. Zabrali go razem z kilkoma innymi świecidełkami, nie zdając sobie sprawy z tego, jak bardzo jest cenny. Dowiedzieli się o tym jednak niedługo później i chronili go jak oka w

głowie, mając nadzieję, że kiedyś będzie ich kartą przetargową. Należał do żony potężnego przywódcy jednej z najgroźniejszych rodzin w Japonii.

— Czyli to klejnot należący do mafii. Jakim cudem trafił na aukcję?

— Zaginął jakieś pięćdziesiąt lat temu. Nikt nie wie, co się z nim stało. Wojna między Włochami i Japonią pochłonęła wiele ofiar, w tym także przedmiotów, które albo zostały zniszczone, albo przepadły bez śladu. Dano z pewnością dostał cynk, gdzie można go znaleźć.

— Nie chce chyba go zatrzymać.

— Z pewnością. Jest bezużyteczny, jeśli trzyma się go w swoim sejfie. Za to staje się potężną bronią, gdy chce się go wykorzystać.

— Możemy robić zakłady, do kogo się odezwie — wzdycham. — Po to mu jesteśmy.

— Wiem, że nie powinnam się wtrącać, ale wydaje mi się, że ta sprawa dotyczy także i mnie. Czy moglibyście mówić jaśniej, bym miała jakiegokolwiek pojęcie o tym, na co właściwie się piszę? — zapytała wzburzona Lauren.

— Twoja lolita ma charakter — zaśmiał się Carlos. — Już wyjaśniam, kochanie. Dano zdobył pierścień, który wart jest znacznie więcej, niż mogłoby się wydawać. Nie chodzi nawet o pieniądze, a o władzę, jaką może zyskać, używając go przeciw jednej z rodzin. Dla tej japońskiej ma najwyższą wartość sentymentalną. Dla włoskiej jest najważniejszym symbolem zwycięstwa. Dano z pewnością zwróci się do którejś z tych rodzin i zaproponuje wymianę.

— Nic z tego nie rozumiem. To tylko pierścionek — odzywa się zdezorientowana Lauren.

— Cole, wyjaśnij swojej uroczej towarzyszce, co ten zwykły pierścionek oznacza w niektórych kręgach. Ja muszę coś sprawdzić.

Rozłącza się, a ja odwracam głowę w stronę wpatrującej się we mnie dziewczyny. Rozsiadam się wygodniej na kanapie, wypuszczając przy tym głośno powietrze. Wiem, że nie tak łatwo będzie jej to wytłumaczyć. Nic dziwnego, większość ludzi zareagowałaby tak samo jak ona.

— Nie będę opowiadał ci o latach wojny między dwiema rodzinami. Jak często bywa, poszło o kobietę.

— Chętnie posłucham.

— Nie mamy na to czasu. W dużym skrócie, miała połączyć obie rodziny, ale zrobiła wszystko, by do tego nie doszło. Rozpoczęła wielką wojnę między potęgami mafii, która trwa do dziś, choć sposoby walki stały się bardziej... humanitarne. Sam pierścień był prezentem zaręczynowym. Japoński kawaler podarował go swojej włoskiej narzeczonej. Przekazywany był przez wiele pokoleń, o czym świadczy jego wyjątkowo niewspółczesny wygląd. Po zerwanych zaręczynach pierścień został odebrany, a narzeczonea brutalnie zabita. Włosi wzięli odwet, ukradli pierścień, odzyskując tym samym honor rodziny i zabierając go Japończykom.

— Czyli pieprzone męskie ego — rzuca pod nosem.

— Honor, moja droga — odpowiadam poważnym tonem. — To, co się wydarzyło, ciąży na każdym pokoleniu obu tych rodzin. Żadna z nich nie może nazwać się lepszą ani silniejszą, dopóki nie odzyska zaginionego symbolu władzy.

— Powiedzmy, że rozumiem. Nie ich, ale łapię, o co chodzi. A więc Dano chce zyskać przychylność jednej z tych rodzin. I o tym chce z nami porozmawiać?

— To bardzo prawdopodobne.

— Jakim cudem ten pierścień znalazł się na licytacji?

— Ktoś mógł oddać go zupełnie nieświadomie. Mogło być też tak, że dowiedział się, co trzyma pod swoim dachem, i postanowił się tego pozbyć. Skoro pojawił się na licytacji, obstawiam drugą możliwość. Brak nazwiska darczyńcy jest również potwierdzeniem tej teorii.

— Przynajmniej dzieci będą miały bajkowe święta.

— Bajkowe święta? — pytam rozbawiony. — Dostaną po niewielkim prezencie i kilka świątecznych potraw na stole.

— Ale przecież sam pierścień kosztował dwa miliony.

— A ty wierzysz, że wszystkie te pieniądze zostaną przekazane?

— Ale...

— Nikt nie powiedział głośno, że cały zysk z licytacji zostanie przeznaczony na domy dziecka. Była mowa o zysku, ale bez określania procentu, w jakim zostanie wykorzystany. Nikt nie będzie miał pretensji, bo jakieś pieniądze z pewnością dostaną i będą woleli milczeć, by dostać je także za rok. Na bankiecie nie było żadnego przedstawiciela domu dziecka. A lista gości była ściśle określona. Mam ciągnąć.

— Nie — szepcze. — Mówią, że świat nie jest czarno-biały. To bzdura.
— Są też odcienie szarości, widoczne tylko dla wybrańców.
— Wybrańców — rzuca drwiąco. — Największych kanałii chodzących po tej ziemi.

— Być może. — Wstaję z kanapy i ruszam w stronę drzwi do swojej sypialni. — Idź spać. Jutrzejszy wieczór zapowiada się równie rozrywkowo. Lepiej, żebyś była wypoczęta.

Wchodzę do siebie i od razu zaczynam się rozbierać. W mojej głowie pojawia się wiele myśli związanych z całą sprawą Dano. Wolałabym się w to nie mieszać. Znów żałuję, że podjęłam ryzyko i przyjąłam propozycję od Carlosa. Mam coraz większą pewność, że to nie ma prawa się udać.

Rozdział dwudziesty trzeci

Lauren

Kolejny dzień przynosi kolejne rozterki, na które wcale nie mam ochoty, ale one przecież nie wybierają właściwego momentu. I choć staram się nie zwracać na nie uwagi, nie dają za wygraną. Jeszcze przed wyjściem z sypialni zastanawiam się, jaką grę dziś przeprowadzimy. I wcale nie mam na myśli wieczoru, bo to, że będziemy udawać specyficzną parę, jest przecież pewne. Myślę o tym, jak będzie wyglądał nasz cały dzień. Czy będziemy kusić się i odrzucać naprzemiennie, czy może udawać, że się nie znamy? Przecież nie możemy być po prostu sobą. To gorzka prawda, do której szybko przywykłam.

Gdy tylko otwieram drzwi, dochodzi do mnie zapach jedzenia i świeżej kawy. Dostrzegam Cole'a siedzącego przy stole. Właśnie nakłada sobie jedzenie i tylko na sekundę unosi wzrok, żeby na mnie spojrzeć. Podchodzę bliżej, zajmuję miejsce naprzeciwko niego i sięgam po dzbanek z kawą.

— Zarazasz optymizmem — rzucam kąśliwie, zauważając kwaśną minę mężczyzny.

— Carlos zadzwonił o świcie.

— Coś się stało?

— Jeśli mamy dużego pecha, a z pewnością go mamy, Dano wyśle nas wprost w paszczę lwa.

— Co masz na myśli?

Od razu się prostuję i zupełnie tracę apetyt.

— Pierścień był i zawsze będzie najważniejszym symbolem władzy, ale nie on jeden jest poszukiwany. Oprócz niego są także kolczyki i kolia, które razem z pierścieniem tworzą komplet.

— Gdzie one są?

— Kolia u Japończyków, kolczyki u Włochów.

— Sugerujesz, że będziemy musieli odebrać jednym przedmiot, który jest u nich? — pytam drżącym głosem.

— To bardzo możliwe. Dano nie wie, kim jesteśmy. Nie chce wysłać do tej roboty swoich ludzi, bo jest to misja samobójcza. Pewnie zakłada, że uwierzemy w

jego wersję i zrobimy, co nam każe, za co dostaniemy w zamian kupę kasy.

— A co zrobimy? Masz jakiś plan na taką ewentualność?

Z trudnością przełykam ślinę. Może i nie znam dobrze tego świata, ale wiem jedno — finał nie będzie pomyślny. Pozostaje mi już tylko mieć nadzieję, że Cole jednak się myli.

— Mam. Nawet kilka. Wszystko zależy od tego, co dokładnie powie nam Dano. Być może się mylę, ale brakujące elementy biżuterii mogą być dla nas problemem.

— Nie rozumiem jednego. Po co mu to? Nie boi się, że po dostarczeniu pierścienia jednej ze stron zostanie zabity? Przecież ma w posiadaniu coś, czego pragną potężni ludzie.

— Zarówno jedna, jak i druga strona słynie z honoru. Może wydawać ci się to dziwne, ale nawet w tym świecie są ludzie, dla których słowo ma największą wartość.

Opieram się o krzesło i wpatruję badawczo w mężczyznę. Widać, że jest spięty, ale mam jednak wrażenie, że podchodzi do wszystkiego zaskakująco spokojnie. Sama trzęsę się w środku na myśl o tym, że będę musiała stanąć twarzą w twarz z mafią. To wydaje się zupełnie nierealne, ale wszystko, co się dzieje ostatnio wokół mnie, samo z siebie takie jest, a jednak dzieje się naprawdę. W tym momencie jestem w stanie uwierzyć we wszystko. W magię, w Marsjan i istnienie wampirów.

— Straciłam apetyt — rzucam pod nosem, po czym łapię filiżankę kawy.

— Jedz. Przed nami ciężki dzień.

— Co ty nie powiesz? — pryham.

— Dziś nic złego się nie wydarzy, mogę cię zapewnić.

— Dziś nie. A jutro? Za dwa, może trzy dni?

— Lauren, jedz — cedzi przez zaciśnięte zęby, dając mi jasno do zrozumienia, że to koniec rozmowy.

Mimo dużej niechęci wmuszam w siebie dwa tosty, po czym dopijam kawę i wracam do sypialni. Cole nie jest dziś rozmowny, a jego ponury humor udziela mi się zbyt mocno, bym mogła dłużej przebywać w jego obecności i nie zwariować. Szukając dla siebie zajęcia, przypominam sobie o kilku czystych kartkach i kredkach, które wczoraj przyniósł. Wracam do salonu, by je znaleźć. Na szczęście mężczyzny tu nie ma. Pewnie poszedł do siebie, a dzięki temu salon znów wydaje się dość przyjemnym miejscem. Odnajduję wszystko, co potrzebne, w komodzie i

korzystając z tego, że jestem sama, siadam na kanapie, po czym biorę jedną z czystych kartek. Przyglądam jej się w głębokim zamyśleniu, zastanawiając się, co w ogóle mogłabym narysować. Z jakiegoś nieznanego mi powodu przed moimi oczami pojawia się twarz Cole'a, a po niej dzień, w którym się poznaliśmy. Stał przede mną, celując pistoletem prosto w moją głowę. Nawet nie zarejestrowałam momentu, w którym zaczęłam to szkicować. Dopiero teraz to sobie uświadamiam i choć mam wątpliwości co do wyboru modelu, nie zatrzymuję się. Od dziecka kochałam rysować. Tylko wtedy czułam, że moje problemy odchodzą na bok. Zatracałam się w tym i jedynie to wtedy się liczyło. Szybko przypominam sobie to uczucie, choć dawno nie miałam okazji usiąść z ołówkiem w dłoni. To lepsze od niejednej terapii. Oczyszcza mój umysł i dzięki temu łatwiej mi pozbierać myśli, a sam lęk staje się znacznie mniejszy.

Po niecałej godzinie mój szkic jest skończony. Przyglądam mu się uważnie, uświadamiając sobie, że nigdy wcześniej nie narysowałam niczego tak bardzo realistycznego. Często szkicowałam twarze przypadkowych ludzi, lecz takim rysunkom zawsze brakowało duszy, tym razem jednak tak nie było. Te oczy o morderczym wyrazie są dokładnie takie jak tamtej nocy. Wspomnienia zdają się być terazniejszością, co jest dla mnie czymś zupełnie nowym.

— Uważaj, bo jeszcze się zakochasz.

Serce staje mi na dźwięk głosu Cole'a. Odwracam się gwałtownie do tyłu i daję słowo: gdybym mogła zabić spojrzeniem, byłby już martwy.

— Musiałeś się zakradać?!

— Wybacz — rzuca z rozbawieniem.

— Widzę, że ci przykro — mówię wściekła i odwracam się tyłem do niego. — Wracając do tego, co powiedziałaś... szybciej pokochałabym odkurzacza.

— Ranisz moje uczucia — odpiera z teatralnym przejęciem.

Jego humor zmienia się jak w kalejdoskopie. Jakby miał gdzieś ukryty przycisk, który po naciśnięciu wszystko zmienia. Jeszcze przed chwilą był zamyślony, a jego ponura mina była wręcz depresyjna. Teraz znów najwidoczniej świetnie się bawi.

— Skąd ta zmiana nastroju?

Siada obok mnie i obejmuje mnie mocno w ramionach.

— Zobaczyłem zapatrzoną we mnie dziewczynę, która jest mną tak oczarowana, że rysuje moje portrety.

Powstrzymując śmiech, uwalniam się z jego objęć.

— Naprawdę jest z tobą źle.

— Nigdy nie powiedziałem, że jest dobrze.

Wstaje i podchodzi do barku, z którego wyciąga szklankę i butelkę whisky. Ja natomiast odkładam jego portret i sięgam po kolejną czystą kartkę, by tym razem naszkicować coś, co szkicuję najczęściej — nic nieznaczące bohomy. Niektórzy uznaliby to za abstrakcję lub ekspresjonizm, ja jednak nazywam to moimi niekształtnymi myślami przelanymi na kartkę białego papieru. Nie wiem, co oznaczają, choć zdaję sobie sprawę, że nic dobrego. Zwykle wystarczały mi tylko ołówek lub czarna kredka, bo kolory nie pasowały mi do tego, co przedstawiał rysunek. Teraz też tak jest. Nie myśląc o tym, co dokładnie robię, rysuję kolejne kreski, aż całość zaczyna przybierać jakiś kształt. Wtedy się zatrzymuję i przez chwilę przyglądam temu, co już powstało. Nawet obecność Cole'a nie jest w stanie mnie rozproszyć, choć zdecydowanie wolę rysować w samotności. Choćby w ciemnym pomieszczeniu, w którym z wyjątkiem małej lampki nie pali się żadne światło. Przyzwyczaiałam się właśnie do takich warunków, ale wcale za nimi nie tęsknię. Mam nadzieję, że nigdy nie będę musiała do nich wracać.

Do samego obiadu zajmuję się tylko rysowaniem. Kończę dopiero, gdy ktoś z obsługi hotelowej przynosi posiłek. Odkładam czarną kredkę i kartkę, po czym idę do sypialni, by umyć ręce. Cały posiłek spędzamy w milczeniu, zbyt skupieni na własnych myślach, by móc zająć się rozmową. Wszystko jednak zmienia się, gdy nadchodzi wieczór. Godzina jasno daje do zrozumienia, że najwyższy czas na przygotowanie się do wyjścia. Na samą myśl o tym coś ściska mnie w gardle, ale przewyciężam to uczucie.

Po kąpieli robię sobie mocny makijaż, tak charakterystyczny dla postaci, którą muszę odegrać. Do tego zakładam krótką sukienkę z długimi rękawami, w kolorze butelkowej zieleni, a na stopy wsuwam czarne szpilki. Przez moment przyglądam się sobie w lustrze i ponownie czuję, że patrzę na kogoś innego. Jak to możliwe, że w tym wydaniu czuję się jak ktoś inny, a jednocześnie mam wrażenie, że to prawdziwa ja?

Cole'a spotykam w salonie, czeka już na mnie i wydaje się niecierpliwić. Na moment zawiesza oko na moim ciele, co nawet udaje mi się zauważyć, po czym szybko podchodzi do drzwi wyjściowych. Otwiera je, gestem ręki każąc mi iść przodem, więc tak właśnie robię. W ciszy idziemy do windy, gdzie także milczymy. Dopiero w taksówce Cole postanawia się odezwać.

— Widziałem twoje rysunki. Robią wrażenie.

— Nie spodziewałam się, że usłyszę od ciebie komplement — mówię nieco sarkastycznie.

W odpowiedzi unosi kącik ust, ale najwyraźniej daruje sobie dalszą rozmowę. Ja także nie mam na nią ochoty, wiedząc, dokąd właśnie zmierzamy i jak bardzo mogę mieć przejebane.

Na miejscu zmuszam się do uśmiechu, ale tym razem jest to wyjątkowo trudne. Dwóch goryli Dano prowadzi nas do jego domu, kierujemy się prosto do jadalni, w której czeka już gospodarz. Podchodzi do nas, witając się jak zwykle z klasą, niczym prawdziwy dżentelmen. Po chwili siadamy przy uginającym się od jedzenia stole. Nasza rozmowa jest zaskakująco nijaka. Nie schodzimy na temat pierścienia, poruszamy zwykle tematy, takie jak nadchodzące święta, pogoda czy sytuacja polityczna w kraju. Co prawda nie odzywam się zbyt często, ale z coraz większą trudnością utrzymuję uśmiech na twarzy. Im dłużej trwa rozmowa o niczym, tym większym strzępkim nerwów się staję.

— Lauren, wybacz, że dopiero teraz to mówię, ale wyglądasz zjawiskowo — zwraca się do mnie Jordi, a ton jego głosu wywołuje nieprzyjemne ciarki na moim ciele.

— Dziękuję — odpieram nieco zawstydzona.

— Z pewnością słyszysz to każdego dnia, lecz komplementowanie takiej urody to nasz obowiązek. Chyba się ze mną zgodzisz, Cole?

— Oczywiście — mówi to tak gładko, że niemal sama mu wierzę.

— Skoro kolacja już za nami, chciałbym zaprosić was do swojego gabinetu. Chyba pora przedstawić propozycję.

— Bardzo chętnie ją poznamy — odpowiada Cole.

Wstajemy ze swoich miejsc i kierujemy się prosto do pomieszczenia, do którego prowadzi nas Dano. Jego gabinet jest zaskakująco duży, przestronny i pełen światła. Nie tego się spodziewałam. Zakładałam, że będą panowały w nim

ciemność i przytłaczający klimat. Razem z Cole'em siadamy na kanapie, a mężczyzna zajmuje fotel naprzeciwko nas. Łączy ze sobą dłonie i zanim się odzywa, przygląda nam się badawczo. Mam wrażenie, że zastanawia się jeszcze nad swoją decyzją. W końcu jednak się odzywa, a na dźwięk jego głosu mimowolnie się prostuję.

— Musicie wiedzieć, że pierścień, który udało mi się wczoraj wylicytować, jest dopiero początkiem.

— Początkiem? — pyta zaskoczony Cole.

— Owszem. Do kompletu potrzebuję kolia i kolczyków, a żeby je zdobyć, konieczna jest pomoc wielu ludzi.

Już teraz wiem, że Cole i Carlos bardzo się pomylili. On wcale nie chce wchodzić we współpracę z mafią. On chce ją okraść. Staram się udawać, że nic nie rozumiem, że go słucham i czekam na wyjaśnienia, ale z trudnością oddycham.

— Powiedz mi, do czego jesteście ci potrzebni — mówi spokojnie Cole.

— Już wyjaśniam. Potrzebuję kogoś do odwrócenia uwagi. Zdajecie się być idealni. Broń, którą masz zawsze przy sobie, jest tego najlepszym dowodem. Hotel, w którym się zatrzymaliście, świadczy o waszej zaradności, a uroda Lauren jest wisienką na torcie.

— Chyba wciąż nie rozumiem.

— Będziecie moją dywersją. Szczegóły wyjaśnię wam, gdy przyjdzie na to pora, ale już teraz musicie wiedzieć, że pragnę zabrać was na wycieczkę do Włoch. Zaraz po świętach.

— Jak słusznie zauważyłeś, jesteśmy zaradni, a więc nie wchodzimy w nic, czego nie jesteśmy pewni.

— Spokojnie, dowiecie się wszystkiego, gdy sam będę miał pewność, jaką rolę odegracie w moim planie.

— Dobrze.

Nie wierzę, że Cole tak po prostu się zgadza. Lepiej, żeby miał wytłumaczenie swojego nierozsądnego zachowania. Mam ochotę zacząć krzyczeć, ale powstrzymuję się od jakiegokolwiek reakcji.

Rozdział dwudziesty czwarty

Cole

Nic nie idzie według mojego planu. Dano jest powściągliwy, gdy mowa o szczegółach. Odnoszę wrażenie, że sam nie wie, co właściwie chce robić. Nie ufa nam, więc waży każde słowo, nim wypowie je na głos. Im dłużej z nim rozmawiam, tym większą mam pewność, że działa spontanicznie i chyba nie do końca mu to wychodzi. Podobno wizja władzy absolutnej odbiera ludziom rozum. Ten facet jest tego najlepszym przykładem. Nie rozumiem, skąd chęć igrania ze śmiercią, ale nie zamierzam brać w tym udziału. Teraz jednak udaję zainteresowanego jego propozycją, by dowiedzieć się, jakie plany siedzą w jego głowie.

— Dostaniecie proste zadanie. Ryzyko będzie niewielkie — zapewnia po raz kolejny, widząc na naszych twarzach zwątpienie.

— Wydaje mi się, że przeszacowałeś nasze możliwości, Jordi — odpowiadam poważnym tonem. — Czy błędnie zakładam, że chcesz okraść wpływowych ludzi?

— Właśnie dlatego was wybrałem. Wiedziałem, że intuicja mnie nie zawiedzie. Wiecie, co chodzi mi po głowie, mimo że nie usłyszeliście tego z moich ust. Tak, to są ludzie wpływowi i niebezpieczni jak diabli. Dwie zwaśnione rodziny należy w końcu zniszczyć i oczyścić ziemię splamioną ich marnymi istnieniami. Ale bez obaw, wam nic nie grozi.

Wysłała nas na misję samobójczą i zdaje sobie z tego sprawę. Szuka inteligentnych idiotów, ale intuicja jednak go zawiodła. Chce kogoś sprytnego, kto sprostą jego wymaganiom, a jednocześnie kogoś, kto nie zauważy podstępny. Muszę przyznać, że potrafi grać. Gdybym go nie znał i nie wiedział, do czego jest zdolny, uwierzyłbym w jego zapewnienia.

— Musimy to przemyśleć.

— Oczywiście. Skontaktuję się z wami dzień po świętach.

Wstajemy i żegnamy się, kończąc naszą rozmowę. Idąc do wyjścia, czuję, jak Lauren walczy ze sobą, i wiem, że gdy tylko zostaniemy sami, wybuchnie. Opuszczamy posesję Dano. Wyciągam z kieszeni telefon, by wezwać taksówkę, ale wtedy odzywa się Lauren.

— Możemy się przejść? Hotel nie jest tak daleko.

— Tylko pięć kilometrów stąd — rzucam pod nosem z niezadowoleniem.
— Katowałeś mnie na siłowni, więc możesz przejść ze mną te pięć kilometrów.
— Mogę. Nie chcę, ale mogę.
— Powiesz mi, co się dzieje? Niby byłam obecna, ale niczego nie zrozumiałam.
— Misja samobójcza. — Znów wyciągam telefon. — Muszę powiadomić Carlosa, że rezygnujemy ze zlecenia.

— Jak to? Nie możemy.

Zatrzymuję się, by spojrzeć jej w oczy.

— Nie zostawię cię tak. Nie potrzebujesz tego zlecenia, by dostać pieniądze.

— Nie potrzebuję twoich pieniędzy — mówi oburzona.

— W twojej sytuacji lepiej nie unosić się honorem. Poza tym, jeśli się zgodzimy, kasa nie będzie ci potrzebna. Umrzesz, Lauren. To bardziej niż pewne.

— Dano mówił, że nic nam nie grozi. Nie wie o czymś czy kłamał?

— Kłamał. — Ruszam dalej, a dziewczyna od razu mnie dogania. — Jesteśmy mu potrzebni jako przynęta. Nie chce poświęcić swoich ludzi. Nie dlatego, że się o nich troszczy, ale boi się, że ktoś mógłby ich rozpoznać i powiązać go z nim. Nic dziwnego, że do tej pory nikt go nie zabił. Naprawdę nieźle sobie radzi. — Wybieram numer Carlosa i przykładam telefon do ucha. — Mamy problem — mówię, gdy tylko odbiera. — Nie możemy zgodzić się na jego propozycję. Myliliśmy się co do intencji. On nie chce oddać nikomu pierścienia. Chce zdobyć cały zestaw dla siebie, a nas wykorzystać do przynęty na Włochach.

— Co ty pieprzysz?! Nie może być takim idiotą.

— Też tak myślałem, ale zaproponował nam wycieczkę do Włoch. Nie wspomniał tylko, że to jednostronna podróż.

— W takiej sytuacji masz rację, nie możecie ryzykować. Kiedy chce jechać?

— Po świętach.

— A więc nie macie czasu, by zdobyć jego zaufanie w inny sposób. Załatwię wam lot na jutro. Wybierz miejsce.

Przez chwilę się zastanawiam, ale wystarczy jedno spojrzenie na Lauren, by wiedzieć, gdzie chcę się udać.

— Miami.

— Mam tam dom. Zostańcie w nim kilka dni, na wypadek gdyby Dano was szukał. Będę go obserwował.

Rozłączam się i chowam telefon do kieszeni.

— Gotowa na kolejną podróż?

— Miami? Dobrze usłyszałam?

— Sprawdzisz, czy to miejsce dla ciebie, a gdy będziemy mieć pewność, że jesteśmy bezpieczni, nasze drogi się rozejdą. Dostaniesz pieniądze, by stanąć na nogi, i zaczniesz nowe życie.

— Brzmi... dobrze.

— Nie wyglądasz na zadowoloną.

— Sama nie wiem. Chyba przyzwyczaiałam się do twojego towarzystwa.

— Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że się zakochałaś? — pytam rozbawiony.

— Nie jest ze mną tak źle. — Posyła mi szeroki uśmiech. — Ale nie spodziewałam się, że to stanie się tak szybko. Carlos pewnie nie jest zadowolony?

— Wie, że nie mamy innego wyjścia. Brnąć w to dalej, stracimy życie, ale nie odbierzemy go Dano.

— A jeśli zagramy według jego zasad?

— Co masz na myśli?

— Gdyby tak Włosi lub Japończycy dowiedzieli się, gdzie znajduje się pierścień? Dano zginąłby z ich rąk.

Znów się zatrzymuję i spoglądam na dziewczynę z podziwem, bo tylko tak jestem w stanie na nią patrzeć.

— Wiesz, że wpadłaś na coś piekielnie złego?

— To chyba dobrze — odpiera nieśmiało, wzruszając ramionami.

Ponownie wyciągam telefon, by poinformować Carlosa o tym pomysle.

— Co jest?

— Lauren ma niezły plan.

— Lolita ma plan? Zamieniam się w słuch.

— Jeśli poinformujemy jedną ze stron o tym, gdzie znajduje się pierścień, sami po niego przyjdą i zrównają wszystko z ziemią.

— Ożeniłbym się z tą dziewczyną, gdybym był trzydzieści lat młodszy — komentuje, a w jego głosie wyczuwam dawno niesłyszany podziw. — Ma rację. To też ryzyko, ale nie większe od przyjęcia propozycji Dano.

— Którzy są chętniejsi na negocjacje?

— Nie mam pojęcia, Cole. Jeśli wierzyć plotkom, Włosi są bardziej skorzy do rozmów.

— A więc jednak nie polecimy do Miami.

— Jesteście pewni, że chcecie ryzykować?

Spoglądam na stojącą naprzeciwko mnie Lauren. W jej oczach dostrzegam determinację, którą widziałem na samym początku naszej znajomości. Nie bała się, choć zdawała sobie sprawę z ryzyka.

— Tak. Załatw nam lot. Najlepiej jeszcze na dziś.

Usłyszałem charakterystyczny odgłos klikania w klawiaturę. Trwał nie więcej niż pięć sekund, po czym Carlos znów się odezwał.

— Cztery godziny. Zdążycie?

— Bez problemu. — Rozłączam się i od razu ręką przywołuję jadącą w naszym kierunku taksówkę. — Nie mamy czasu na spacer. Niedługo musimy być na lotnisku.

— Tak szybko?

— Jeśli Dano zauważy nasze zniknięcie, może próbować uciec. Program Carlosa jest dobry, ale nie idealny. Opiera się na widokach z kamer, a ich nie ma wszędzie.

Samochód zatrzymuje się przed nami. Przerywamy rozmowę, odkładając ją w czasie. Znów czuję adrenalinę i mam wrażenie, że to dziewczyna, która siedzi obok mnie, jest tego przyczyną. Gdyby nie ona, nie byłoby mnie w tym miejscu. Obudziła we mnie dawno zapomniane emocje, a ja do teraz nie zdawałem sobie sprawy, że mi ich brakowało.

Po powrocie do hotelu wbiegamy do swoich sypialni, by jak najszybciej się spakować.

— Zabierz tylko najpotrzebniejsze rzeczy! — krzyczę przez otwarte drzwi.

— A te ubrania? Kupiłeś mi je! Mamy je tak zostawić? Kosztowały kupę kasy.

— Tylko najpotrzebniejsze rzeczy, Lauren. Jeśli tak ci na nich zależy, załatwię, by trafiły do ciebie po wszystkim, ale teraz ich nie potrzebujesz. Pośpiesz się.

Kwadrans później spotykamy się w salonie, gotowi do wyjścia. Co prawda do lotu zostało jeszcze trochę czasu, ale wolę być na lotnisku szybciej i mieć czas na zastanowienie się, jak rozegrać zbliżające się spotkanie.

— Mam pytanie — odzywa się Lauren, gdy idziemy do windy. — Skoro pierścień należał do Japończyków, dlaczego lecimy do Włoch? Czy nie uczciwiej byłoby wybrać Japonię?

— Według powszechnie panujących zasad? Owszem. Według zasad, na których opiera się świat obu tych rodzin? Nie. Nieważne, do kogo coś należało. Ważne, kto da ci więcej. A przede wszystkim musimy wybrać mniejsze ryzyko. Carlos twierdzi, że większą szansę na powodzenie mamy właśnie u Włochów, więc tam też się udajemy.

— Jak długo potrwa lot?

— Jakies dziesięć godzin. Na miejscu będziemy przed południem. Zdążymy się przygotować i wieczorem spróbujemy dostać się do twierdzy.

— Brzmi logicznie.

Rozdział dwudziesty piąty

Lauren

Spędziliśmy na lotnisku sporo czasu, nie zamieniając ze sobą ani słowa. Cole w oczekiwaniu na lot obmyślał w szalonym skupieniu plan, a ja nie chciałam mu przeszkadzać. Dopiero teraz, gdy zajmujemy swoje miejsca w niewielkim samolocie, postanawiam się odezwać.

— Masz już cały plan?

— Chyba tak — odpiera wciąż nieobecny. — Carlos wysłał mi wszystkie informacje, które mogą nam się przydać. — Opiera się o fotel i odwraca głowę w moją stronę. — Teraz rodem Civellich dowodzi Giovanni. Ma pięćdziesiąt lat, dwóch dorosłych synów i duże ambicje. Po śmierci ojca znacząco powiększył swoje zasięgi. Obecnie już nie tylko Wenecja jest pod jego całkowitym wpływem.

— Czy to coś dla nas oznacza?

— Tylko tyle, że dobrze wybraliśmy.

— Co mam robić?

Przygląda mi się uważnie, a ja cierpliwie czekam na swoje zadanie. W końcu przywykłam do odgrywania ról, które mi przydzielał.

— Musi mieć pewność, że jesteśmy tacy jak on. A więc wciąż jesteś moją dziewczyną. — Unosi kącik ust i puszcza mi oczko. — Mam nadzieję, że nie wyszłaś jeszcze z roli.

— Och, skądże. Czuję, że urodziłam się dla niej — odpowiadam z sarkazmem.

Niedługo później zmęczenie przejmuje nade mną kontrolę. Mimo podróży samolotem nie jestem w stanie dłużej walczyć z ciężkimi powiekami. Za to Cole wygląda, jakby obudził się dopiero po długim śnie. Nie widać po nim najmniejszych oznak zmęczenia, czego mu zazdroszczę. Czy to jakaś cecha płatnych zabójców? Nie muszą spać, niczym wampiry ze *Zmierzchu*?

Budzę się dopiero, gdy samolot przygotowuje się do lądowania. Od razu zerkam przez okno, by zobaczyć piękną Wenecję. Nigdy nie spodziewałam się, że kiedykolwiek będę mogła podziwiać ją na własne oczy. Zresztą nie myślałam nawet, że odwiedzę jakiegokolwiek inne miasto w Stanach Zjednoczonych, a co dopiero o podróży do Europy. Podoba mi się moje nowe życie, choć niesie ze sobą

ryzyko. Śmiem twierdzić, że nie mniejsze niż poprzednie. Paradoksalnie dopiero po poznaniu Cole'a nie doznałam żadnego upokorzenia.

Po opuszczeniu lotniska jedziemy prosto do hotelu, w którym pokój wynajął nam Carlos. Żałuję, że nie mogę zwiedzić tego miejsca, poczuć się jak turystka, która chce poznać jak najwięcej atrakcji Wenecji. Całą drogę w taksówce przyglądam się widokowi zza okna i jestem absolutnie oczarowana obrazami, jakie cieszą moje oczy. Gdy samochód dociera na miejsce, opuszczam go z bólem serca. W hotelowej recepcji dostajemy klucze do apartamentu, Cole prosi o przyniesienie obiadu, po czym udajemy się do windy.

— Pięknie tutaj — komentuję z niemałym zachwytem, przyglądając się widokowi z okna naszego apartamentu. — Może jednak tu zamieszkać?

— Nie radzę. Po naszym spotkaniu z Civello lepiej, byś nie wpadła na niego przypadkiem na ulicy.

— Szkoda. A więc związek z tobą ma także swoje minusy.

Podchodzi i staje tuż za mną. Dłonie układa na moich biodrach, a brodę na ramieniu. Jego usta delikatnie muskają płatek mojego ucha.

— A więc do tej pory widziałaś tylko plusy? — szepcze, sunąc dłońmi po moim ciele.

To miejsce źle na mnie działa, bo z trudem opieram się dotykowi mężczyzny. Wzdycham i odwracam się przodem do niego, choć on nie cofa się nawet o krok. Ja natomiast nie mogę tego zrobić, gdyż za mną jest już tylko okno. Unoszę głowę, mierzając Cole'a spokojnym spojrzeniem. Nie daję po sobie poznać, że jego dłonie wywołały przyjemne dreszcze na moim ciele.

— Powiedzmy, że je ignorowałam.

— Yhym — mruczy, sunąc dłonią po moim policzku. — Dlaczego ci nie wierzę?

W myślach liczę do trzech, dając sobie chwilę na uspokojenie. Nie mam ochoty na nasze gierki, za to Cole czuje się wyjątkowo na siłach.

— Cole — odzywam się ostrzegawczym tonem, ale on zdaje się tego nie słyszeć.

Zanim się orientuję, jego usta stykają się z moimi, a ja nawet z tym nie walczę. Przecież mogę go odepchnąć, jednak zamiast tego zaczynam kolejną rundę, która nie powinna mieć miejsca. Co jednak poradzę na to, że moje ciało w ogóle się ze mną nie zgadza? Nawet nie zauważam, kiedy moje dłonie lądują na jego policzkach. Mężczyzna chwyta moje biodra i przyciąga mnie do siebie. Od razu

czuję jego twardego penisa, wbijającego się w mój brzuch. Z powodu sprzecznych myśli kotłujących się w mojej głowie zaczyna mi się w niej kręcić. Nie kontroluję tego, co się ze mną dzieje. I gdy robi się już naprawdę gorąco, a nasze języki łączą się ze sobą w namiętym pocałunku, ktoś puka do drzwi, skutecznie studząc temperaturę. Cole odrywa się ode mnie, po czym idzie otworzyć, a ja, wykorzystując chwilę, w której na mnie nie patrzy, biorę kilka głębokich wdechów. Cała drzę i cholernie źle się z tym czuję. Wolę, gdy jesteśmy sobie obojętni.

Okazuje się, że tym gościem jest pracownik hotelowej restauracji, który dostarcza nam zamówiony przez Cole'a obiad. Zupełnie o tym zapomniałam. Gdy znów zostajemy sami, napięcie między nami ponownie wzrasta i choć siadamy do stołu, nasze spojrzenia co chwilę spotykają się ze sobą. Próbuję skupić się na posiłku, choć jest to chyba niewykonalne. Cisza, która panuje między nami, także nie polepsza sytuacji. Mężczyzna zdaje się dobrze bawić, obserwując moje zmieszanie. Chciałabym się odezwać, by odciągnąć swoją uwagę od niego, ale nic nie przychodzi mi do głowy.

— Chyba czas zebrać się do wyjścia — odzywam się, gdy kończę posiłek.

— Pomogę ci.

Sięgam po swoją torbę, którą zostawiłam tuż obok drzwi, i rozglądam się w poszukiwaniu kolejnych. Zdaję sobie wreszcie sprawę, że jest tylko jedna sypialnia, i z tego powodu marszczę brwi.

— Nie ma drugiej sypialni?

— Nie. Czy to jakiś problem?

Po jego minię widzę, że dobrze się bawi.

— Żaden — rzucam beznamiętnie, kierując się prosto do sypialni.

Do środka wchodzimy oboje, co ani trochę mi się nie podoba, ale staram się o tym nie myśleć. Widok ogromnego łóżka wcale nie pomaga. Rzucam na nie torbę i otwieram ją od razu w poszukiwaniu odpowiednich ubrań

— Załóż czarne spodnie — sugeruje Cole, znów stając tuż za mną.

— Spodnie? — pytam zaskoczona.

— Tym razem nie musisz zwracać na siebie uwagi napalonego emeryta. Musisz sprawiać wrażenie silnej i odważnej kobiety.

— Wrażenie? Czuję się urażona.

Słyszę, jak śmieje się cicho.

— Nie twierdzę, że taka nie jesteś. Musisz jednak dosadnie to podkreślić.

By zwiększyć dystans między nami, łapię za komplet czarnej bielizny i idę do łazienki.

— Wezmę prysznic.

Dopiero gdy się zamykam, mogę na chwilę odetchnąć z ulgą. Naprawdę staram się nie reagować na jego bliskość, bo brnięcie w to dalej byłoby teraz cholernie głupie. Przecież za kilka dni nasze drogi na zawsze się rozejdą, a ja zaczynam się przywiązywać do jego obecności. Za nic w świecie nie mogę dopuścić do tego, by to zauważył. A tym bardziej do tego, by poczuć jeszcze więcej.

Kiedy wchodzę pod prysznic, orientuję się, że z wyjątkiem bielizny nie zabrałam ze sobą nic więcej. Zamykam oczy, unoszę głowę i skupiam się na wodzie spływającej po mojej twarzy. Zbyt wiele się dzieje, bym mogła zrozumieć, co tak naprawdę czuję. Jeszcze miesiąc temu bałam się zamknąć oczy, a teraz jestem zupełnie inną kobietą. Czy to jednak wystarczy, by zacząć nowe życie? Nie mam już na to sił...

Rozdział dwudziesty szósty

Cole

Na widok Lauren, wychodzącej z łazienki w samej bieliźnie, czuję, jak mój puls przyspiesza. Kilka minut temu postanowiłem dać jej spokój i nie pogłębiać tego, co zacząłem. Teraz jednak myślę zupełnie inaczej. Zaciskam szczękę, obserwując, jak dziewczyna zbliża się do mnie. Staje obok, sięga do torby, z której wyciąga czarne spodnie. Robiąc wszystko, by na mnie nie spojrzeć, zaczyna się ubierać. Po chwili sięga po czarną koszulkę na ramiączkach, którą zakłada w pośpiechu. Dopiero gdy jest ubrana, decyduje się obdarzyć mnie spojrzeniem.

— Zrobię makijaż i będę gotowa — mówi beznamiętnie, po czym znów ucieka wzrokiem.

Nie jestem w stanie powstrzymać uśmiechu, widząc, jak walczy sama ze sobą. Lubię naszą zabawę, choć wygląda na to, że dziś Lauren nie ma na nią ochoty. Opieram plecy o zagłówek łóżka, nieustannie przyglądając się dziewczynie, która właśnie zabiera się za makijaż. Od czasu do czasu zerka na mnie w odbiciu lustra, jednak szybko przerywa nasz kontakt, jakby speszona moim spojrzeniem. Nie ukrywam, że czerpię z tego jakąś satysfakcję.

Niecałą godzinę później opuszczamy hotel. Kazałem obsłudze wynająć dla mnie odpowiednie auto i tak oto czeka na nas czarny mercedes z przyciemnianymi szybami. Otwieram drzwi od strony pasażera i wpuszczam Lauren do środka, a sam siadam za kierownicą. Zanim ruszam, wpisuję dokładny adres w nawigacji, po czym odwracam się na moment w kierunku dziewczyny.

— Gotowa?

Na moje pytanie prostuje się i przybiera minę, o jaką mi chodziło. Pewność siebie maluje się na jej twarzy, a ja jestem pewien, że wszystko pójdzie po naszej myśli.

— Jak bardzo mam cię dziś kochać? — pyta z drwiącym uśmiechem.

— Na zabój, moja droga. Na zabój.

Po tych słowach odpalam silnik i ruszam w kierunku wyznaczonym przez nawigację. Od celu dzieli nas dwadzieścia minut drogi i chyba dopiero teraz dochodzi do mnie, gdzie właściwie podążamy. Z jednej strony jestem pewien

powodzenia naszej misji, ale z drugiej wiem, że w tym świecie pewność potrafi być zgubna. Sięgam do kieszeni marynarki, w której schowałem rysunek pierścienia zrobiony przez Lauren, i podaję go jej.

— Może być nam potrzebny.

W odpowiedzi kiwa głową, a następnie unosi się lekko i chowa kartkę do tylnej kieszeni spodni.

— A więc dziś bawimy się w mafie?

— Można tak powiedzieć. Nie każda mafia jest potęgą. Nie każdy przywódca ma pod sobą tysiące ludzi. Czasami spryt jest ważniejszy od liczby żołnierzy. Właśnie to musimy udowodnić podczas rozmowy i przekonać Giovanniego, że można nam zaufać.

— A jeśli uzna, że nie jesteśmy godni zaufania?

— Wtedy udamy się do Japonii.

— Zakładasz, że przeżyjemy?

— Nie ma powodu, by nas zabijać. Nie planujemy go obrazić, a zaproponować współpracę.

Na miejscu zatrzymuję się przed bramą, a obok samochodu pojawia się już banda ludzi Civello. Opuszczam szybę i odzywam się spokojnym tonem:

— Przekażcie szefowi, że mamy dla niego ciekawe informacje. Z pewnością chętnie nas wysłucha.

— Na jaki temat? — cedzi jeden z ochroniarzy.

— Pierścienia z rubinem, którego poszukujecie od lat.

Jeden z mężczyzn od razu rusza w stronę domu. Reszta wymienia się porozumiewawczymi spojrzeniami. Moje słowa wyraźnie wzbudziły ich ciekawość, ale nie można nie dostrzec także braku wiary. Przelotnie spoglądam na Lauren, która siedzi spokojnie na fotelu, jakby właśnie przebywała w salonie przed telewizorem, a nie przed domem kurewsko niebezpiecznego człowieka.

Mężczyzna, który poszedł poinformować o naszym przybyciu, wraca i kiwa głową do kolegów. Tamci schodzą nam z drogi, a brama zaczyna się otwierać. Wjeżdżam na podjazd, prowadząc samochód prosto przed główne wejście do domu. U szczytu schodów czeka już na nas Don Civello wraz ze swoimi synami.

— A więc jeden krok za nami — rzuca pod nosem Lauren.

Wychodzimy z samochodu i zatrzymujemy się tuż przed maską.

— Podobno macie dla nas informacje, których chętnie wysłuchamy — mówi Giovanni. — Nie wiem jednak, kim jesteście i czy wpuszczenie was do mojego domu nie będzie błędem.

— Jesteśmy dla pana wymarzonym prezentem na gwiazdkę — odpieram z delikatnym uśmiechem.

Mężczyzna zastanawia się przez chwilę.

— Jeśli tak, chętnie was wysłucham. Zapraszam.

Do środka wchodzimy w obstawie jego ludzi. Don Civello w ciszy kroczy przez ogromny salon, na którego końcu znajdują się drzwi do jego gabinetu. Tam wchodzimy już w mniejszym gronie. Z wyjątkiem jego i synów jest tylko dwóch ochroniarzy, którzy stają za nami i dokładnie patrzą nam na ręce. Gospodarz siada przed masywnym biurkiem i gestem dłoni każe nam zająć miejsce naprzeciwko niego. Tak też robimy.

— Pierścień — zaczyna zamyślony. — Jeśli go macie lub wiecie, gdzie go znajdziemy, z przyjemnością nagrodzę was hojnie za pomoc.

— Wiemy, gdzie się znajduje. Co więcej, wiemy, kto go ma i co chciał z nim zrobić.

— Zamieniam się w słuch.

— Najpierw ustalmy, jak wynagrodzisz nas za tę informację.

— Czego chcecie? — pyta twardo.

— Dwa miliony dolarów.

— Dwa miliony? — Unosi brwi w geście zaskoczenia.

— Właśnie taką sumę zapłacił mężczyzna, który kupił ten pierścień i planował użyć go przeciwko wam.

— Nie wiem nawet, czy rozmawiamy o tym samym pierścieniu.

— Kochanie — zwracam się do Lauren.

Dziewczyna sięga do kieszeni spodni i wyciąga z niej złożoną kartkę. Rozkłada ją, po czym przesuwa po biurku swój rysunek.

— Chyba tego szukacie — mówi pewnym głosem. — Sama go narysowałam, w dniu, w którym zobaczyłam go po raz pierwszy.

Wszyscy wydają się wzburzeni. Właśnie dochodzi do nich, że to, czego tak długo szukali, mają pod nosem.

— Dobrze. Dwa miliony dolarów to i tak niewielka cena. — Unosi wzrok na jednego z żołnierzy. — Przygotujcie pieniądze. — Wraca spojrzeniem do nas, po czym skupia się na mnie. — Lepiej, żeby trop nie okazał się mylny. Nie znajdziecie miejsca, żeby się przede mną schować.

— Nie szukamy wrogów.

— Kim jest człowiek, który go kupił?

— Jordi Dano. Obecnie przebywa w swoim domu w Chicago. Planował wtargnąć na wasz teren, ukraść kolejny element kompletu i ruszyć do Japonii. Marzy mu się cały zestaw.

— Skąd o tym wiecie?

— Zaproponował nam współpracę.

Giovanni zaciska szczękę.

— Sukinsyn będzie umierał w męczarniach.

— Na to właśnie liczymy. Ostrzegam jednak, że jego ochrona może konkurować z twoją. Zalecam ostrożność.

— Czy jest coś, o czym jeszcze powinienem wiedzieć?

— Nie. Wiesz już wszystko. Nie znam dokładnej lokalizacji pierścienia, ale wątpię, by Dano trzymał go poza domem. To dla niego zbyt cenny przedmiot.

— Jak widać — rzuca pod nosem Giovanni, a następnie odwraca się w stronę jednego z synów. — Zbierz ludzi, przygotuj plan działania. Ten kutas ma być martwy w ciągu dwudziestu czterech godzin. — Wstaje i wyciąga dłoń w moim kierunku. — Proszę nie opuszczać Wenecji.

— Zatrzymaliśmy się w hotelu Metropole Venezia — odpieram pewnie, ściskając jego dłoń.

Zdobycie jego zaufania poszło szybciej, niż zakładałem. Obyło się bez problemów.

Cała wizyta w domu Civello kończy się szybko. Wychodzimy z niego z walizką pieniędzy i tak po prostu wracamy do hotelu. Poszło zbyt łatwo, co budzi we mnie niepokój, jak przystało na urodzonego pesymistę. Już po kilku przejechanych metrach zauważam śledzący nas samochód, ale wygląda na to, że chcą się upewnić, czy podałem właściwą nazwę hotelu, w którym się zatrzymaliśmy. Przynajmniej taką mam nadzieję. Na wszelki wypadek wybieram numer Carlosa, włączam głośnomówiący i podaję telefon Lauren.

— Wszystko w porządku? — pyta mężczyzna, gdy tylko odbiera połączenie.

— Tego nie wiem. Civello zgodził się zapłacić nam dwa miliony w zamian za informację.

— I zapłacił?

— Zapłacił, ale wysłał kogoś za nami.

— Sprawdzają cię. Pracuję właśnie nad programem, dzięki któremu mógłbym sterować elektroniką z każdego miejsca na świecie. Szkoda, że jest to przed fazą testów. Moglibyśmy sprawić, że wasz ogon szybko zniknąłby z drogi.

— Masz na oku Dano?

— Obserwuję go nieustannie od kilku godzin. Niczego się nie spodziewa.

— Włosi chcą zaatakować jak najszybciej.

— I na to liczę.

— Co teraz? — wtrąca Lauren. — Wracamy do hotelu i czekamy?

— Witaj, skarbie — odpowiada jej Carlos. — Tak będzie najrozsądniej. Nagłe opuszczenie hotelu może zostać odebrane jako ucieczka, a z tego nie będziecie mieli zbytnio jak się wytłumaczyć. — Robi przerwę, a w głośniku słychać tylko dźwięk stukania w klawiaturę. — Civello ma niezłe zabezpieczenia, nie ma szans, bym mógł włamać się do jego kamer, a w pobliżu nie ma niczego innego — cedzi wyraźnie podenerwowany. — Jak daleko od hotelu jesteście?

— Jeszcze dwa kilometry i będziemy na miejscu — odpowiadam skupiony.

— Przetawię się na ich kamery. — Znów słyszę tylko stukanie w klawiaturę.

— Mam. Będę obserwował główne wejście. W razie problemów zdążę was ostrzec.

— Problemów? — pyta zdenerwowana Lauren.

— Witaj w naszym świecie, kochanie.

Po tych słowach Carlos się rozłącza, co z pewnością robi z premedytacją. Teraz to ja będę musiał wyjaśniać, jakie problemy mogą nas spotkać.

— O czym on mówił? Myślałam, że już po wszystkim.

— Nic nie powinno się wydarzyć. Podaliśmy Civello dane, on nam zapłacił. Ten, kto nas śledzi, został najprawdopodobniej wysłany tylko po to, by sprawdzić, czy nie skłamałem co do naszej lokalizacji. Nie możemy jednak zapominać, że weszliśmy we współpracę z potężną mafią. To samo w sobie niesie jakieś ryzyko.

Dojeżdżamy na miejsce. Zauważam w lusterku wstecznym, że śledzący nas samochód zwalnia. Nie widzę go po zaparkowaniu auta, więc wygląda na to, że

tym razem nie pomyliłem się w ocenie sytuacji. Wchodzimy do środka, zmierzając prosto do naszego apartamentu. W środku stawiam walizkę obok nóg Lauren, która rzuca mi pytające spojrzenie.

— To wystarczy, byś mogła zacząć normalne życie.

— Dajesz mi dwa miliony? — pyta z szeroko otwartymi oczami.

— Zapracowałaś na nie. Kupisz za to niezły apartament przy plaży.

— Niewiele zrobiłam.

Choć decyduję się na to niechętnie, bo nie podoba mi się to, co chcę powiedzieć, postanawiam wykonać ten ruch. Podchodzę do niej, łapię jej brodę, by mieć pewność, że ani na moment nie odwróci wzroku, gdy będę do niej mówił.

— Gdyby nie ty, nie przyjąłbym tego zlecenia. A gdybym go nie przyjął, nie byłoby tych pieniędzy. Więc jeśli ktoś na nie zasłużył, to tylko ty, Lauren.

Patrzy na mnie swoimi wielkimi oczami, ale nie odzywa się ani słowem. Czekam cierpliwie, choć mam ochotę zrobić coś zupełnie innego. I w końcu, gdy dociera do mnie, że nie usłyszę od niej odpowiedzi, przestaję się hamować. Całuję ją, mimo że wiem, jak bardzo jest to nieodpowiedzialne. Liczę, że mnie odepchnie i zakończy to, co sam bezmyślnie zacząłem, ale ona robi coś zupełnie innego. Oddaje pocałunek, pogłębiając go jeszcze bardziej. Czuję jej dłoń na swoim karku, a to działa na mnie jak zapalnik.

— Teraz już mnie nie zatrzymasz — szepczę prosto w jej usta między kolejnymi pocałunkami.

Nie odrywając się od siebie, przechodzimy prosto do sypialni, a tam nie tracimy już czasu. Zrzucamy z siebie ubrania, nie zwracając uwagi zupełnie na nic. Nie myślimy, co z pewnością jest jednym wielkim błędem, ale jesteśmy tylko ludźmi, a ludzie mają wiele słabości. Jedną z nich jest pożądanie, które jest silniejsze niż racjonalne myślenie. Zupełny nokaut dla umysłu.

Całkiem nadzy i pozbawieni wszelkich hamulców lądujemy na łóżku. Widok nagiej i bezbronnej Lauren wywołuje we mnie fale gorąca i pragnienie bycia przy niej jak najbliżej. I tak też właśnie robię. W pośpiechu zakładam prezerwatywę, po czym zawisam nad kobietą. Bez zabawy w grę wstępną wchodzę w nią jednym szybkim pchnięciem. Moje biodra uderzają o jej pośladki, dłonie zaciskają się na uniesionych udach, a kutas bez wytchnienia wypełnia jej ciasną cipkę. Tym razem jest inaczej. Jakbym miał pod sobą zupełnie inną kobietę. Nie wiem, skąd to

uczucie, ale jest tak silne, że nie potrafię go zignorować. W jej oczach widzę coś, co jest mi dane oglądać po raz pierwszy, i cholernie mi się to podoba. Właśnie teraz, kiedy pieprzę ją bez opamiętania, dociera do mnie, że to już nie ta sama dziewczyna, która uczyła się walki o siebie. Ta, na którą teraz patrzę, poradzi sobie w każdej sytuacji. Gdyby tylko wiedziała, jaki wpływ ma na mnie...

Wychodzę z niej i jednym płynnym ruchem odwracam ją na brzuch. W odpowiedzi wypina pośladki w moim kierunku, a ja nie jestem w stanie powstrzymać się od zaciśnięcia na nich palców. Gdy ponownie w nią wchodzę, dociera do mnie słodki jęk rozkoszy, który wydobywa się z ust dziewczyny. Napieram na nią jeszcze mocniej, wprowadzając biodra w ruch, który doprowadza nas oboje do granic. Właśnie na tym się skupiam. Z jednej strony chciałbym przedłużyć wszystko, jak tylko się da, ale z drugiej chcę poczuć, jak jej cipka zaciska się na moim kutasie. Drugie pragnienie przeważa nad pierwszym. Myślę o tym, że na całą noc delectowania się jej ciałem przyjdzie jeszcze czas. Być może to duży błąd.

Kiedy Lauren zaczyna szczytować, sam nie jestem w stanie powstrzymać się już dłużej. Jej ciało zupełnie się spina, a głośny krzyk ucieka z jej ust. Zastygam na moment, a gdy wracam do siebie, opadam na łóżku, tuż obok dziewczyny. Ta odwraca głowę w moją stronę, posyłając mi niepewne spojrzenie. Gdy jestem już pewien, że powie coś, czego wcale nie chcę słyszeć, ona się uśmiecha.

— A więc już wiemy, komu zależy bardziej.

— To nie tak — odpowiadam rozbawiony.

— Oczywiście, Cole. — Unosi się i pochyla nade mną. — Ale spokojnie, nikomu nie powiem, że masz słabość.

— Do ciebie?

— Zaprzeczysz?

— Nie — mówię pewnie, czym widocznie ją zaskakuję. — Mógłbym, ale obydwoje dobrze wiemy, że moja słabość do ciebie jest równa twojej do mnie.

— Skąd ta pewność?

— Wystarczy spojrzeć ci w oczy.

Zupełnie zmieszana oddala się ode mnie.

— Dobranoc, Cole.

Rozdział dwudziesty siódmy

Lauren

Budzę się o świcie, czując, że coś mnie przygniata. Dopiero po chwili orientuję się, że tym czymś jest ciężka ręka Cole'a, ułożona na moim brzuchu. Bardzo ostrożnie odwracam głowę w stronę mężczyzny. Rozmyślam o tym, co wydarzyło się zeszłej nocy i dlaczego nie czuję się z tym źle. Tak długo tłumaczyłam sobie, że nasza relacja jest grą, która pewnego dnia się zakończy, i nie powinnam zbyt mocno się w nią angażować. I co z tego? Nie mam wyrzutów sumienia, nie jestem nawet zła na siebie, że do tego dopuściłam. Coś z tyłu głowy jednak nie daje mi spokoju. Myśl, że za chwilę zostanę sama. Bez mężczyzny, przy którym czuję się bezpieczna. A co, jeśli wszystko do mnie wróci? Jeśli moja przeszłość będzie wracała do mnie w koszmarach we śnie i na jawie?

— Dzień dobry — mruczy Cole, zanim otwiera oczy.

— Dzień dobry — odpowiadam roztrzęsiona.

Próbuję wyjść z łóżka, zanim mnie zobaczy, ale on łapie moją rękę i przyciąga do siebie. Po chwili zmusza mnie, bym spojrzała na niego, i od razu marszczy czoło.

— Co się stało?

— Nic. Za dużo myślałam.

— O czym?

Widzę, że tej rozmowy nie odpuści. Ale co mi szkodzi, skoro za chwilę nasze drogi się rozejdą?

— O tym, że niedługo będę musiała radzić sobie sama, a przyzwyczyłam się do tego, że jesteś obok. Czy mogę już iść? Muszę skorzystać z łazienki.

Puszcza mnie i kiwa ledwo zauważalnie głową, co raczej nie wróży końca rozmowy. Jedynie przerwę, której chyba oboje potrzebujemy. Przeciagam wizytę w łazience tak długo, jak tylko mogę. Biorę nawet prysznic i robię makijaż, by jak najdłużej tu zostać. W końcu jednak dociera do mnie, że zachowuję się jak dziecko, które boi się konsekwencji swoich czynów. Zamknięte w bezpiecznym miejscu, czekające na cud, który pomoże mu zapobiec nieprzyjemnej konwersacji. Nic takiego jednak się nie wydarzy.

Po kilku głębokich wdechach i przemyśleniu swoich odpowiedzi pociągam za klamkę i wracam do sypialni. Cole wciąż leży na łóżku. Na mój widok unosi kołdrę, pod którą wchodzi niechętnie. Siadam na łóżku, opieram się plecami o zagłówek i patrzę przed siebie, czekając, aż mężczyzna się odezwie.

— Więc mówisz, że będziesz tęsknić — zaczyna nieco rozbawionym tonem.

Uśmiecham się ledwo zauważalnie, ale nie mam siły na niego spojrzeć.

— Można tak powiedzieć.

— Wcale nie musimy...

Przerywa, bo zaczyna dzwonić jego telefon. Sięga do spodni leżących na podłodze i wyciąga komórkę. Po odebraniu połączenia od razu przełącza na głośnomówiący, a z głośnika wydobywa się krzyk Carlosa.

— Za godzinę macie samolot! Pakujcie się szybko i spierdalajcie!

Od razu zeskakujemy z łóżka. Nie musimy znać szczegółów, by się ruszyć.

— Co się stało? — pyta Cole, pośpiesznie pakując swoją torbę.

— Włosi zaatakowali Dano, ale ten skurwysyn spierdolił! Jedzie po was. Macie czas, by uciec.

— Kurwa! Co z pierścieniem?!

— Tego nie wiem. Jeśli uciekł razem z nim, problem będzie znacznie większy. Obserwuję kamery wokół hotelu, ale nie widzę niczego podejrzanego.

— Co teraz? — pytam przerażona.

— Przyleciecie do mnie.

Na te słowa Cole prostuje się, na chwilę przerywając pakowanie.

— Jesteś pewien?

— Nie mamy wyjścia.

— To zbyt ryzykowne. Lauren ma tylko jeden lewy dokument, na nazwisko, którym przedstawiła się Dano. Zdobycie takich danych z lotniska nie jest dla niego problemem.

— Już to załatwiłem. Do Portland lecą Phoebe Seles i Victor Geller.

— A dokumenty? — pytam zaskoczona.

— Nie potrzebujecie ich.

Zerkam pytająco na Cole'a, a on w odpowiedzi kiwa głową, dając mi do zrozumienia, że wszystko jest w porządku. Chyba nie znam jeszcze możliwości jego zleceniodawcy.

— Dobrze. Jestem gotowa — informuję, zakładając torbę na ramię.

Znów zostawiam wiele rzeczy.

— Powinniście opuścić już hotel. Wasza taksówka właśnie podjechała.

— Odezwę się — mówi Cole, po czym się rozłącza.

Kilka chwil później wybiegamy z hotelu i pędzimy prosto do czekającej na nas taksówki. Co chwilę patrzę za siebie, ze strachu, że Włosi nie zdobyli pierścienia i będą chcieli nas dorwać. Z trudnością utrzymuję nerwy na wodzy, ale czuję, że nie potrwa to długo. Mam wrażenie, że głowa zaraz mi eksploduje.

Na lotnisku pojawiajemy się w ostatniej chwili. Nawet gdy samolot jest już w powietrzu, nie czuję się bezpiecznie. Boję się, że Dano jakimś cudem dowiedział się, gdzie się udajemy, i czeka już na nas w Portland. Mój strach napędza moje czarne myśli, przez które nie jestem w stanie skupić się na niczym innym. Cała drzę i nie mogę tego powstrzymać. Cole łapie mnie nagle za złączone ręce, a ja unoszę głowę i patrzę na niego ze łzami w oczach. Jedna z nich spływa wolno po moim policzku. Wtedy mężczyzna ociera ją kciukiem i znów chwyta moje dłonie.

— Nic ci nie grozi, Lauren.

— Jesteś tego pewien? — pytam drżącym głosem.

— Ze mną jesteś bezpieczna.

Mówi to tak pewnie, że naprawdę mu wierzę. Opadam głową na jego ramię i wtulam się w niego mocno. Teraz nie myślę o tym, czy powinnam to zrobić. Po prostu tego właśnie potrzebuję. Zamykam oczy, próbując się uspokoić. Cole ma rację, z nim jestem bezpieczna.

Mija wiele godzin, zanim samolot ląduje. W tym czasie zdążyłam się uspokoić i zdenerwować na nowo. Teraz, kiedy opuszczamy lotnisko, z trudnością stawiam każdy krok. Nagle każda osoba, którą dostrzegam, zdaje się podejrzana. Cole łapie mnie mocno za rękę i prowadzi prosto do czekającego na nas samochodu. Kierowca wychodzi z niego pośpiesznie i otwiera nam tylne drzwi. Sprawia wrażenie wystraszonego, co wzbudza moją ciekawość, ale zdaje się, że to na widok Cole'a.

W trakcie jazdy nie odzywamy się ani słowem. Robię to dopiero, gdy auto skręca w leśną ścieżkę.

— Las? — pytam zdezorientowana.

— Carlos zabezpieczył się z każdej strony. Trafić do jego kryjówki nie jest łatwo, a nawet jeśli to zrobisz, nie dostaniesz się do środka bez jego zgody. Dlatego

to miejsce jest najbezpieczniejsze na ziemi.

— A więc mogę czuć się bezpieczna — stwierdzam przez zaciśnięte gardło.

— Jeśli dotarliśmy tutaj, nic złego nie może się już stać.

— To dobrze.

Odwracam głowę w stronę szyby, obserwując mijane drzewa i zastanawiając się, co stanie się jutro. Ucieczka to tylko chwilowe rozwiązanie. Dopóki Dano żyje, nie będziemy przecież mogli żyć spokojnie.

Kiedy samochód się zatrzymuje, a kierowca otwiera nam drzwi, wychodzę na zewnątrz. Rozglądam się dookoła w poszukiwaniu jakiegokolwiek budynku, ale nie widzę zupełnie nic.

— Dalej idziemy pieszo? — pytam zdezorientowana.

Cole uśmiecha się pod nosem, po czym robi kilka kroków i kuca obok przewróconego konaru. Dołącza do niego mężczyzna, który prowadził samochód, i nagle dzieje się coś, co przypomina mi scenę z filmu. Unoszą ogromną, masywną klapę idealnie zamaskowaną leśną ściółką. Prostują się i patrzą na mnie wyczekująco, chyba nie rozumiejąc mojego zaskoczenia.

— Pani przodem — mówi Cole, wskazując ręką na otwór w ziemi.

Idę wolno w ich stronę, a kiedy stoję obok, zerkam w dół. Zauważam jedynie schody i nie do końca rozumiem, co się właściwie dzieje. Mimo wszystko schodzę po nich. Ostatni udaje się tam kierowca, za którym klapa zamyka się sama. Ten wpisuje jakiś numer na panelu tuż obok niej. Zakładam, że ją zamyka, ale w tym momencie jestem zbyt zdezorientowana, by cokolwiek rozumieć. Po zejściu ze schodów rozglądam się dookoła, jestem pod wrażeniem ogromnej przestrzeni, której absolutnie się nie spodziewałam. I nagle zauważam starszego mężczyznę kroczącego w naszym kierunku.

— Jak miło, że mnie odwiedziliście! Nie to, że mieliście jakiś wybór, ale zawsze.

— Puszczaj mi oczko i wyciąga do mnie rękę. — Bardzo mi miło cię poznać. — Całuje wierzch mojej dłoni, po czym zwraca się do Cole'a. — To już dwa lata.

Mężczyźni ściskają się, co jest dla mnie wyjątkowo dziwnym widokiem. Cole okazuje uczucia? To zupełna nowość.

— Teraz już rozumiem, skąd pewność, że nikt nas nie znajdzie — rzucam pod nosem.

— Możesz być pewna, że nie ma bezpieczniejszego miejsca — odpiera Carlos.

— I przebywasz tu cały czas?

— Dokładnie.

— To chyba trochę przytłaczające. Brak świeżego powietrza, mieszkanie w podziemiach.

— Jest tu niezła wentylacja, leśne powietrze mam bez ograniczeń — rzuca rozbawiony. — Poza tym często chodzę po lesie. Nawet w nim nic wam nie grozi.

— Ach — szepczę.

— Wiesz coś? — wtrąca Cole.

— Nie. Chodźcie.

Idziemy za nim, aż trafiamy do dużego pomieszczenia wypełnionego monitorami. Nie jestem w stanie nawet ich zliczyć. Zajmują całą ścianę, a pod nimi znajduje się duże biurko z kilkoma klawiaturami. Patrząc na to z szeroko otwartymi oczami, zastanawiam się, jak jeden człowiek jest w stanie nad tym zapanować.

— Dalej bez śladu? — pyta Cole.

— Tak, ale mam dobrą wiadomość. Włosi przejęli pierścień, a więc nie grozi wam nic z ich rąk. Co prawda wciąż ich obserwuję, jednak wygląda na to, że nie mają zamiaru was odszukać.

— Dano z pewnością ma inny plan.

— On także musi się ukryć. Włosi go dopadną. A jeśli Japończycy dowiedzą się o tym, co zrobił, a się dowiedzą, także będą chcieli go odnaleźć.

— Czyli jesteśmy bezpieczni? — pytam zdezorientowana.

— Tak bym tego nie ujął — odpowiada Carlos. — Dano skupia się na ukryciu, to pewne. Zależy mu jednak na zemście za zdradę. Nie widzę go na kamerach, więc się ukrywa, ale czy przy okazji nie próbuje wpaść na wasz trop?

— Zostaniemy tutaj — informuje Cole. — Dopóki żyje, nie odpuści.

— Będziemy siedzieć w podziemiach i czekać, aż ktoś go zabije lub umrze ze starości? — pytam nieco wytrącona z równowagi.

Nie podoba mi się to. Musi być lepsze rozwiązanie. Wątpię, by Dano umarł w ciągu najbliższego tygodnia. A wizja siedzenia tutaj cholera wie jak długo w ogóle mi się nie podoba.

— Wiem po sobie, że ukrywać można się latami — mówi posępnie Carlos. — Ale Cole ma rację. Nie powinniście opuszczać tego miejsca. To zbyt duże ryzyko.

— A jeśli go znajdziesz?

— Wtedy rozważymy inne opcje.

— Inne opcje — powtarzam pod nosem. — Dobrze, chyba nie mamy innego wyjścia.

— Wasz pokój jest już gotowy.

Cole kiwa głową, po czym łapie mnie za rękę i ciągnie w nieznanym kierunku. Carlos urządził tu sobie rzeczywiście niezłą bazę. Jest naprawdę imponujących rozmiarów. Nawet sypialnia, do której zaprowadza mnie mężczyzna, okazuje się duża i przestronna. Problemem jest tylko brak okien, przez co mimo wszystko czuję się jak w ciasnej klatce. Biorę kilka wdechów, starając się już o tym nie myśleć, po czym odkładam torbę na podłozie i siadam na brzegu łóżka. Obserwuję Cole'a, który ze stoickim spokojem wyklada swoją broń, jakby właśnie przygotowywał się do walki. Nie odzywam się, po prostu patrzę i tylko na tym się skupiam. W końcu jednak mężczyzna zerka na mnie, posyłając mi pytające spojrzenie.

— Jak spędzimy tu czas? — odzywam się niepewnie.

— Nauczę cię strzelać.

— Już to przerabialiśmy. Nie nadaję się do tego.

— Spróbujemy jeszcze raz. Skoro i tak musimy tu siedzieć, zajmijmy się czymś pożytecznym.

— Pożytecznym? — pryham. — Nie potrzebuję tego.

— Potrzebujesz bardziej, niż ci się wydaje.

— Co masz na myśli?

Odkłada broń i podchodzi do mnie. Najpierw przygląda mi się z góry, a po chwili wzdycha i siada obok. Już to, jak na mnie patrzy, budzi mój niepokój.

— Po wszystkim wrócimy do Hebronu.

— Co?! — Wstaję gwałtownie. — Nie ma mowy! Nie wrócę do tego piekła, Cole!

— Wrócisz i zemścisz się na każdym z nich.

— Nie. — Kręcę głową. — Nie zmusisz mnie do tego. Na samą myśl, że mogłabym znów zobaczyć Thomasa, robi mi się, kurwa, niedobrze.

— Zabijesz go — mówi wolno, ani na moment nie spuszczaając ze mnie wzroku.

— Nie.

— Zrobisz to, Lauren.

— Nie rozumiesz, że nie chcę?

— Chcesz. Jedyne, o czym marzysz, to zabić tego skurwysyna.

— Mylisz się.

— Czyżby?

Jego hipnotyzujący wzrok sprawia, że zaczynam o tym myśleć, choć wcale tego nie chcę. Najpierw przed oczami staje mi obraz zadowolonego Thomasa, na widok którego chcę się rozplakać i z trudem powstrzymuję łzy. Ale po chwili wyobrażam sobie, jak mierzę do niego z pistoletu, i nagle dzieje się ze mną coś dziwnego. Mogłabym rzec, że niepokojącego. Jakaś część mnie pragnie najbardziej brutalnej zemsty za zniszczenie mi życia. Nie wiem teraz, na ile jest dominująca, bo zbyt wiele się wydarzyło, bym nagle mogła myśleć tylko o tym. O przyszłości, która może nie nadejść. O wyjściu z tego miejsca, choć nie wiem, kiedy to się wydarzy.

Rozdział dwudziesty ósmy

Cole

Długo nic się nie działo. Mijały dni, a my popadaliśmy w pieprzoną monotonię. Wstawaliśmy rano i obserwowaliśmy widoki z kamer. Uczyłem Lauren strzelać, a kiedy się ściemniało, zabierałem ją na spacer po lesie, bo tylko niekończąca się przestrzeń była w stanie ją uspokoić. Nie spodziewałem się, że tak źle będzie to znosiła, ale im dłużej to trwało, tym większą miałem pewność, że musimy coś zmienić. Opuszczenie schronienia nie było jednak mądrym pomysłem. Nawet jeśli Dano się ukrywał, miał pod sobą setkę ludzi, gotowych na spełnienie każdego jego rozkazu. A więc wciąż byliśmy w niebezpieczeństwie. Dzięki programowi Carlosa mogliśmy śledzić poczynania Włochów, jednak wyglądało na to, że oni również nie trafili na żaden trop. Z każdym kolejnym dniem sytuacja stawała się coraz bardziej nie do wytrzymania.

Obserwuję Carlosa w jego żywiole. Siedzi na fotelu, przyglądając się widokowi z kamer. Nie mam pojęcia, jak jest w stanie nad tym wszystkim zapanować. I mimo że oglądam go w pracy już nie pierwszy raz, wciąż nie rozumiem, jak daje sobie z tym radę. Sam mam problem, by skupić się na dwóch widokach.

— Przeszedłeś na mnie popatrzeć? — pyta, nie odwracając się w moją stronę.

Podchodzę bliżej, łapię za krzesło stojące z boku i zabieram je bliżej mężczyzny, po czym siadam na nim.

— Dalej bez zmian?

— Gdybym tylko coś wiedział, od razu bym cię o tym poinformował.

— A więc czekamy.

— Masz mi to za złe?

Odwraca głowę w moją stronę.

— Nie. Dlaczego?

— Zostałeś tu zamknięty, bo zleciłem ci zadanie, którego wcale nie chciałeś przyjmować.

— Każdy odpowiada za swoje decyzje. Sam mnie tego nauczyłeś.

— Jeszcze pamiętasz? — Uśmiecha się ponuro.

— Pamiętam każdą twoją lekcję.

— A więc dobrze cię wyszkoliłem.

— Najlepiej.

— Jednak gdyby nie moje zlecenie, nie poznałbyś swojej lolity.

— Lauren to tylko...

— Nie kończ. Mężczyźni nie wypada kłamać.

Zaciskam szczękę i choć mam ochotę od razu zaprzeczyć, nie robię tego.

— Pójdę jej poszukać, źle znosi zamknięcie.

Wstaję i ruszam do wyjścia, ale Carlos mnie zatrzymuje.

— Cole?

— Tak? — Zerkam na niego przez ramię.

— Ona wie?

— Nie.

— Powinna.

— Niedługo nasze drogi się rozejdą. Wie o mnie tyle, ile musi wiedzieć. Reszta nie jest istotna.

— Prawda pomoże ci iść dalej. Obydwaj dobrze wiemy, że jej brak cię blokuje. Dopiero gdy zaakceptujesz przeszłość, będziesz mógł patrzeć w przyszłość.

— Siedząc tu, skończyłeś studia z psychologii?

— Czasami dla rozrywki obserwuję przypadkowych ludzi. Nie mam pojęcia, kim są, jak mają na imię, ale wiem, że są nieszczęśliwi tylko dlatego, że próbują ze wszystkich sił ukryć to, kim są naprawdę. Ty też taki jesteś.

— Doskonale wiem, co robię.

— Wiesz? — Śmieje się krótko. — Gdybym zapytał cię, co właściwie robisz, potrafiłbyś mi na to odpowiedzieć?

Nie odzywam się już. Carlos zna odpowiedź, a ja nie mam ochoty przyznawać się do błędu. Wychodzę i ruszam na poszukiwanie Lauren, którą znajduję w kuchni w towarzystwie Huntera. Ten od razu wstaje z miejsca i w ciągu kilku sekund opuszcza pomieszczenie. To jedyny człowiek Carlosa, któremu on ufa na tyle, by miał dostęp do jego kryjówki, ale wygląda na to, że jego lęk przed złem się nie zmienił.

— Dzień dobry — wita mnie dziewczyna, uśmiechając się promiennie.

— Skąd ten dobry nastrój?

— Porozmawiałam trochę z Hunterem. Gdy nie ma cię w pobliżu, potrafi mówić.

— Płatny zabójca zabił rodzinę Huntera na jego oczach. Znalazł go Carlos, który pojawił się zbyt późno. Dostał to samo zlecenie, ale miał zabić tylko ojca Huntera. Ten, kto wybił ich wszystkich, nie miał najmniejszych skrupułów. Zostawił tylko jego. Ośmioletniego, przerażonego chłopca, który musiał oglądać śmierć swoich bliskich.

— Boże. — W jej oczach stają łzy. — To jest straszne.

— Zabił go. Carlos mu w tym pomógł.

— Ale niewiele to zmieniło, co?

— Zmieniło więcej, niż może ci się wydawać.

— Wracamy do tematu mojej zemsty? Już ci mówiłam, nie chcę teraz o tym myśleć.

— Niezupełnie. — Siadam przed wyspą naprzeciwko Lauren. — Ja też mam swoją przeszłość.

Sam nie wierzę, że w ogóle zaczynam ten temat. Carlos i jego pieprzone rady...

— O niej akurat nie chcesz mi opowiadać. Wiem tylko tyle, że pochodzisz z domu dziecka.

— Byłem mały, chudy i bałem się wszystkiego. Odebrano mnie mojej zapijacznej matce, gdy miałem trzy lata. Nie pamiętam jej, ale to nieistotne. Za to dokładnie pamiętam, jak znęcano się nade mną, gdy tylko skończyłem sześć lat. Na początku były tylko wyzwiska i popychania. Później nie mieli już zahamowań. Byli starsi i silniejsi. Bicie, zamykanie w piwnicy na całą noc. Niejednokrotnie ledwo uchodziłem z życiem. Czasami modliłem się o śmierć. Miałem dziewięć lat, gdy trójka chłopaków skopała mnie, gdy wracałem ze szkoły. Ściemniało się, a ja nie miałem siły, by wstać z chodnika. Mało kto tamtędy przechodził, a ci, którzy tam byli, mijali mnie jak śmiecia, którego ktoś nie wyrzucił do kosza. I wtedy pojawił się Carlos.

— Carlos? — pyta zaskoczona.

— On mnie wychował. — Uśmiecham się ponuro na wspomnienia. — Zabiłem ich wszystkich. Każdego, pojedynczo, by wiedzieli, co ich czeka. I wiedzieli. Ostatni zdążył się schować, ale byłem zdeterminowany i znalazłem go bez problemu w ciągu trzech dni. Cierpiał najbardziej, bo najbardziej na to zasłużył. Przepraszał,

plakał i błagał o litość, a ja z uśmiechem na twarzy zadawałem mu kolejne rany nożem. Ani przez sekundę nie poczułem się źle. Nie miałem wyrzutów sumienia. Cieszyłem się tym widokiem i pragnąłem, by trwał jak najdłużej.

— Nie wiem, co powiedzieć.

— Nic nie musisz mówić. Powiedziałem ci to, bo zasługujesz na prawdę. Nie jestem jak Carlos. Nie zabrałem cię wtedy ze sobą, byś w przyszłości mogła się zemścić. Zresztą wiesz najlepiej, że nie miałem ochoty, byś w ogóle do mnie dołączyła. Ale stało się inaczej, bo nikt nie może zaplanować własnego życia. — Wstaję z miejsca i zerkam na roztrzęsioną dziewczynę. — Idę na strzelnicę. Jeśli nie chcesz się zemścić, nie musisz przychodzić. Ale gdybyś jednak chciała zaznać spokoju, wiesz, gdzie mnie szukać.

Kiwa głową, a więc wychodzę, kierując się prosto na strzelnicę. Jeśli się nie pojawi, nie będę już naciskał. Być może nie każdy człowiek potrzebuje zemsty.

Lauren jednak się zjawia, co prawda po kwadransie, ale wygląda na zdecydowaną. Ściągam słuchawki z uszu na szyję i obserwuję, jak dziewczyna podchodzi do mnie wolnym krokiem. Bez słowa bierze broń z mojej dłoni, po czym sięga także po słuchawki, które zakłada od razu na uszy. Staje na wprost tarczy w kształcie człowieka i prostuje ręce. Pistolet trzyma zaskakująco stabilnie, po raz pierwszy widzę w jej postawie pewność. Odbezpiecza broń i oddaje trzy szybkie strzały. Po chwili odwraca się w moją stronę.

— To będzie takie proste? Podejdę i go zastrzelę?

— Zrobisz, co zechcesz.

— Ale będziesz tam ze mną?

— Nie opuszczę cię na krok.

— W takim razie chcę czegoś więcej.

— To znaczy?

— Chcę, żeby cierpiał. Nie zdążę nacieszyć się pożegnaniem największego koszmaru swojego życia, jeśli po prostu go zastrzelę. Chcę, żeby się bał. Żeby cierpiał, tak jak ja musiałam.

— To żaden problem.

— Problem jednak istnieje — stwierdza ponuro. — Nie zrobimy niczego, dopóki Dano gdzieś tam jest i może nas namierzyć.

— Szczęście się do was uśmiechnęło. — W progu staje Carlos. — Znalazłem sukinsyna. Nie uwierzycie, gdzie się ukrył.

— Gdzie? — pytam zaciekawiony.

— W klasztorze.

— Co? — odzywa się Lauren. — Kto go tam wpuścił?

— Nie wiem. Może im zapłacił, a może trafił na zakonników, którzy nie odmawiają pomocy potrzebującym. Pewnie wykorzystał fakt, że rodzina Civellich, mimo że zabija, jest jednocześnie bardzo wierząca.

— I to miałyby ich zatrzymać?

— Może nie, ale Dano łapie się wszystkich możliwości.

— To musi być szybka śmierć. Nie mam ochoty na kolejne uganianie się za nim. Po raz pierwszy nie otacza go uzbrojona po uszy ochrona — mówię uniesionym głosem. — Daj mi adres. Załatwię to błyskawicznie.

— Ostritz, w Niemczech. Klasztor świętego Marienthala. Lepiej, żeby zginął tylko jeden człowiek.

— Tak też będzie.

— Kiedy ruszamy? — pyta podekscytowana Lauren.

— Jak najszybciej.

Od razu unoszę wzrok na Carlosa. Z pewnością już wszystko załatwił.

— Samolot macie za cztery godziny. Hunter zawiezie was na lotnisko. Przed wami bardzo długi lot, więc zalecam chwilę odpoczynku.

Kiwam głową w geście zgody, bo mężczyzna rzeczywiście ma rację. Kilkanaście godzin w powietrzu nie zapowiada niczego dobrego.

Jemy wspólnie obiad, rozmawiając o strategiach, które mogą przydać nam się na miejscu. Mam nadzieję, że wszystko pójdzie gładko, ale nie mogę być tego pewien. Zakładam wiele możliwości, by nikt i nic nie mogło mnie zaskoczyć. Po posiłku pakujemy swoje rzeczy. Na szczęście nie ma ich wiele, więc wszystko trwa dosłownie pięć minut. Wracamy do czekającego na nas Carlosa, gotowego, by się pożegnać. Ściska Lauren, a kiedy ją puszcza, dziewczyna podchodzi od razu do Huntera czekającego tuż przed schodami. Zbliżam się do mężczyzny i podaję mu dłoń, a on, gdy tylko ją chwyta, przyciąga mnie do siebie. Wiem, że nie będzie to niemy uścisk.

— Każdy czasami potrzebuje kogoś, kto go wysłucha. Pogódź się, że nie jesteś inny, i nie daj jej odejść, bo będziesz tego żałował, a twój charakter nie pozwoli ci się przyznać do błędu.

— Przemyślę twoją propozycję — odpieram lekceważąco i klepię go w ramię, po czym podchodzę do Lauren. — Idziemy?

— Najwyższa pora, do lotu zostały już tylko dwie godziny — odpowiada dziewczyna.

Wspinamy się na górę, razem z Hunterem unosimy klapę i wszyscy wychodzimy na zewnątrz. Wsiadamy do samochodu i ruszamy w kolejną podróż, której zakończenie jest niepewne.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Lauren

Mam dość latania. Szkoda tylko, że za chwilę będę zmuszona ponownie wsiąść do samolotu. Rozważam nawet pozostanie w Niemczech, ale ten kraj nie rozkochał mnie w sobie tak jak Włochy. Zresztą czeka mnie jeszcze ważne zadanie, którego nie mogę sobie odpuścić.

Zatrzymujemy się w małym przytulnym hotelu, by nieco zregenerować siły. Jest jeszcze bardzo wcześnie, a my padamy z nóg. Chcemy mieć wszystko za sobą, ale zarazem zdajemy sobie sprawę, że zmęczenie może być naszym przekleństwem. Postanawiamy coś zjeść i przespać się kilka godzin. Według Cole'a najlepiej zaatakować późną porą, więc tak też postanawiamy zrobić.

Po szybkim posiłku kładziemy się do łóżka i zamykamy oczy. Jestem cholernie zmęczona, ale adrenalina nie pozwala mi zasnąć. Ciekawe, czy Cole też tak ma. A może już śpi? Sam kiedyś mówił, że już jej nie odczuwa. Cały lot mężczyzna był zaskakująco spokojny, jakby nałykał się jakichś środków otępiających umysł. Oczywiście, zwykle właśnie taki jest, ale tym razem odniosłam wrażenie, że coś się zmieniło. Może to tylko złudzenie.

Budzę się, gdy za oknem zachodzi już słońce. Unoszę się leniwie i przecieram zmęczone oczy. Cole'a nie ma już w łóżku, ale słyszę szum wody. Także powinnam wziąć prysznic i się dobudzić. Przede mną ciężki wieczór. Zwlekam się z łóżka, a wtedy dochodzi do mnie zapach świeżej kawy. Od razu podążam w kierunku niewielkiego aneksu kuchennego i łapię za dzbanek. Wypełniam cały kubek czarnym, jeszcze parującym, płynem i niezwłocznie biorę duży łyk. Szum wody ustaje, a kilka chwil później w progu pojawia się Cole, owinięty luźno ręcznikiem w biodrach.

— Wychodzimy za godzinę — informuje mnie posepnie, po czym podchodzi do mnie i sięga po dzbanek z kawą. — Jeśli wolisz zostać...

— Nie! — wtrącam, zanim kończy zdanie. — Idę z tobą.

— Dobrze. A więc się przygotuj.

Dopijam kawę i zamykam się w łazience, by jak najszybciej wziąć prysznic i przygotować się do wyjścia. Nie tyle fizycznie, ile psychicznie. Śmierć Dano nie

tylko pozwoli nam żyć jak dawniej, ale także sprawi, że będę mogła dokonać swojej własnej zemsty. Wciąż nie wiem, czy jestem na nią gotowa, ale Cole ma rację. Tylko tak uwolnię się od przeszłości.

Opuszczamy hotel, gdy na zewnątrz zapada zmrok. Dopiero w wynajętym przez Cole'a samochodzie dociera do mnie, że przegapiliśmy Boże Narodzenie. Nie chodzi o to, że chciałam świętować, ale do tej pory przynajmniej zdawałam sobie sprawę z tego, jaki mamy dzień. Co roku siedziałam w swoim pokoju, wpatrując się w okno, gdy moja rodzina zastępcza dobrze bawiła się poza domem. Wszystkie dzieci po prostu spędzały ten dzień jak każdy inny, marząc, że kiedyś przeżyją prawdziwe święta.

— Lauren! — Cole szturcha mnie w ramię.

— Przepraszam, zamyśliłam się.

— Nieźle odpłynęłaś. O czym myślałaś?

— Że w Boże Narodzenie nie wiedziałam nawet, że to właśnie ten dzień.

— No tak — wzdycha. — Sylwester także już się odbył.

Kręcę głową z niedowierzaniem. U Carlosa dni zlewały się w jeden dzień.

— Który dzisiaj jest?

— Piąty stycznia.

— Szkoda — rzucam pod nosem.

— Może w tym roku sama ubierzesz choinkę.

— Tak. I będę mieć już troje dzieci, jednoroźca i latający dywan — odpieram z sarkazmem, na co mężczyzna wybucha śmiechem. — To nie jest śmieszne, Cole!

— Trochę jest. Marzenia są po to, aby je spełniać. Tak przynajmniej mówią. A choinka i kilka bombek nie wydają się wygórowanym marzeniem.

— A ty? O czym marzy zabójca na zlecenie?

Odwraca ode mnie głowę, skupiając się już tylko na drodze.

— Ja? O spokoju. I zanim powiesz mi, że wystarczy rzucić robotę, to wiedz, że to nie takie proste. Uzależniłem się od niej.

— Cóż... Zawsze możesz przyjmować mniej zleceń. Wiesz, robić sobie urlop od czasu do czasu. Zakładam, że za jedno zlecenie zarabiasz tyle, ile zwykły człowiek przez rok, więc chyba możesz sobie na to pozwolić.

— Być może — odpiera zamyślony.

Trudno mi sobie wyobrazić, jak Cole spędza normalny dzień. Właśnie dlatego nie dziwię się, że sam nie może w to uwierzyć. Zawsze przecież jednak można spróbować.

Zatrzymujemy się ulicę przed klasztorem. Cole wyciąga z torby tablet, na którym odpala plan całego klasztoru. Nie ma tu szczególnych zabezpieczeń, bo kto byłby na tyle głupi, żeby włamywać się do takiego miejsca. Przez chwilę studiujemy wszystko, choć mężczyzna zna to już bez wątpienia na pamięć. Przeglądał to już w samolocie i zrobił pewnie ponownie, gdy jeszcze spałam. Kilka minut później ruszamy dalej. Już na samym początku staję przed wyzwaniem, które w pierwszej chwili mnie przeraża. Przeskoczenie przez masywny płot zdaje się być nie na moje siły, jednak z pomocą Cole'a udaje mi się dokonać niemożliwego. Na całe szczęście nie upadam i niczego sobie nie łamię i gdyby okoliczności były inne, już teraz skakałabym z radości. Zamiast tego idę tuż za mężczyzną. Skradamy się na tyły klasztoru i znajdujemy drzwi ewakuacyjne. Cole szybko radzi sobie z zamkiem w drzwiach. Wchodzimy do środka, stawiamy wolno każdy krok, a ja mam wrażenie, że słyszę jedynie bicie swojego serca. Idę tuż za mężczyzną, starając się o nic nie zaczepić, i nawet mi się to udaje. Gdy wchodzimy na pierwsze piętro, mój puls jeszcze bardziej przyśpiesza. O ile wierzyć przypuszczeniom Carlosa, pokój Dano znajduje się na samym końcu. Kto by sądził, że będę zakradać się nocą do klasztoru, by zabić człowieka. Myślę o tym całą drogę i dochodzę do wniosku, że mimo wszystko to najlepsze, co mnie spotkało. Może to głupie, ale nie mogę przecież zapomnieć o tym, że tylko dlatego wciąż żyję.

— Gotowa? — szepcze do mnie Cole, gdy zatrzymujemy się obok drzwi.

W odpowiedzi kiwam głową i choć czuję się w ogóle niegotowa, wiem, że dam sobie radę. Zresztą to przecież Cole ma zabić Dano, nie ja. Dłonią sprawdzam, czy pistolet, który dostałam, jest na swoim miejscu, a gdy wyczuwam go pod palcami, zaczynam modlić się o to, bym nie musiała go używać. Kiepsko strzelam. Może teraz nieco lepiej, ale wciąż wiele mi brakuje.

Cole ciągnie za klamkę, drzwi otwierają się z cichym skrzypnięciem. Wdycham powietrze i z niemalym przerażeniem idę za mężczyzną, który z pistoletem w dłoni wchodzi do środka. Gdy tylko przekraczam próg, czuję silne szarpnięcie i zanim się orientuję, w czym rzecz, jestem już zupełnie zablokowana.

— Dzień dobry, spodziewałem się was.

Słyszając głos Dano za sobą, mam ochotę już tylko płakać. Cole odwraca się i mierzy w niego, ale niewiele może teraz zrobić, gdyż Jordi osłania się moim ciałem.

— Puść ją — cedzi przez zaciśnięte zęby.

Dano w odpowiedzi śmieje się teatralnie, po czym zamyka drzwi nogą.

— Tak, ja ją puszczę, a ty mnie zabijesz. Masz mnie za idiotę? Przez was muszę się ukrywać. Zapłacicie mi za to. Przez znajomość z wami straciłem już zbyt wiele, ale życia wam nie oddam.

— Zostaw dziewczynę, załatwimy to sami.

— Chyba sobie, kurwa, żartujesz. Mam już swoje lata, chłopcze. Nie będę stawał do walki z silnym i młodym facetem, bo to z góry skazane na porażkę. Za to mogę zabić twoją dziewczynę. — Przykłada mi lufę do skroni. — Albo ty możesz ją zabić. Przy odrobinie szczęścia jednym strzałem zabijesz nas oboje.

Łzy napływają mi do oczu, ale to nie czas na słabość. Jeszcze nigdy nie byłem tak blisko śmierci. Nawet wtedy gdy po raz pierwszy spotkałam Cole'a. Patrzę na mężczyznę, który szuka wyjścia z sytuacji, a kiedy nasze spojrzenia się krzyżują, dociera do mnie, że jest coś, co mogłabym zrobić. To ryzykowne, ale przynajmniej on przeżyje. Daję mu niemy sygnał i widzę, że chyba rozumie, co planuję. Dostrzegam na jego twarzy zadowolenie, ale nie może powiedzieć tego na głos. Gdybym tylko nie miała przyłożonego pistoletu do skroni. Cole czyta mi chyba w myślach, bo wykonuje gwałtowny ruch, sprawiając, że to w niego zaczyna mierzyć Dano. Mam sekundę na zastanowienie się i kolejną na ruch. I choć jestem cholernie przerażona, robię to, czego nauczył mnie Cole. Mimo że jestem spanikowana, udaje mi się kopnąć Dano w krocze i uderzyć go łokciem. W tym samym momencie odrzucam głowę do tyłu, by uderzyć go w twarz, i mimo obaw wszystko to mi się udaje. W chwili, gdy mnie puszcza, po pomieszczeniu roznosi się odgłos wystrzału. Jednak to nie ja zostaję ranna. Cole pada na ziemię, ale jest przytomny. Chcę do niego podejść, jednak powstrzymuje mnie głosem pełnym bólu.

— Zabij go.

Łapię za broń, która wypadła mężczyźnie z dłoni prosto pod moje nogi, i odwracam się w stronę Dano, który unosi swój pistolet. Nie myśląc dłużej, oddaję strzał i zamykam oczy. Otwieram je po kilku sekundach i pierwszym, co widzę, jest dziura w głowie Dano. Szybko przypominam sobie o rannym Cole'u. Podbiegam do

niego, ale on jest już nieprzytomny. Panikuję jeszcze bardziej. Wyciągam telefon z jego kieszeni, zamykam drzwi na klucz i dzwonię do Carlosa.

— Już po wszystkim?

— Carlos — szepczę przez łyżę.

— Lauren? Co się stało? Co z Cole'em?

— Dano go postrzelił. Zabiłam go, ale Cole leży nieprzytomny. Trafił go w brzuch. Jesteśmy zamknięci w pokoju w klasztorze. — Wciągam głośno powietrze, słysząc, że ktoś próbuje wejść do środka. — Carlos, ktoś tu chce się dostać — dodaję szeptem.

— Kurwa! Jesteście na pierwszym piętrze?

— Tak.

— W sumie nie ma to znaczenia. Nie uniesiesz Cole'a. Poczekaj, zaraz coś wymyślę.

— Stąd nie ma wyjścia — mówię z przerażeniem.

— Chyba nie znasz moich możliwości, dziecko — mówi tak pewny siebie, że zaczynam mu wierzyć. — Nic nie rób, ja się wszystkim zajmę.

Rozłącza się, a ja kucam przed Cole'em i lokalizuję ranę. Nie wygląda dobrze. Cholera, wygląda strasznie. Rozglądam się po pomieszczeniu, by znaleźć coś, co mogłabym użyć do zatamowania krwi. W końcu zauważam koszulę rzuconą na oparcie krzesła. Łapię ją, po czym zaczynam uciskać ranę mężczyzny. Oddycha, ale mam wrażenie, że z każdą sekundą jego oddech traci na sile. Krzyki i dobijanie się do drzwi sprawiają, że zaczynam wariować. Sięgam po broń, by być przygotowana na każdą możliwość, jednak sama już nie wiem, czy nie lepiej byłoby strzelić sobie w łeb.

Nagle słyszę krzyk „chuj!”. Ktoś wyważył drzwi. W progu staje trzech uzbrojonych policjantów i wiem już, że to koniec.

— Odłóż broń! — krzyczy jeden z nich.

Jeszcze przez chwilę rozważam strzał w głowę, ale w końcu daję za wygraną i odkładam pistolet na ziemię. Kolejny policjant schyla się po niego, po czym patrzy na Cole'a.

— On musi trafić do szpitala, proszę — mówię błagalnie, jednak nikt mi nie odpowiada.

Mężczyzna, który zabrał mi pistolet, podnosi mnie z podłogi i ciągnie w stronę wyjścia. Próbuję walczyć, ale jest zbyt silny. Na korytarzu mijamy zakonników, którzy chyba się modlą, ale nie jestem tego pewna. Całą drogę do radiowozu jedynie płaczę i oglądam się za siebie, jednak wciąż nie widzę Cole'a.

— Co z postrzelonym mężczyzną? — pytam, gdy funkcjonariusz odpala samochód. Nic mi jednak nie odpowiada. — Ogłuchłeś, do jasnej cholery!

Wyciąga telefon i wybiera jakiś numer. Mam ochotę rzucić się na niego i naprawdę niewiele brakuje, bo nawet nie unieruchomił mi rąk kajdankami. Kiedy już jestem zdecydowana na kolejny bezmyślny krok, słyszę głos Carlosa.

— Lauren, spokojnie. Wszystko jest w porządku.

— Carlos? Co się tu dzieje?

— Michael odwiezie cię w bezpieczne miejsce.

— A Cole?

— Zajmiemy się nim.

— Chcę być przy nim, nie w żadnym bezpiecznym miejscu!

— Uspokój się.

Rozłącza się, tak po prostu.

— Zawieź mnie tam, gdzie zabieracie Cole'a — mówię do mężczyzny, który zapewne nie ma nic wspólnego z policją.

— Przykro mi, ale teraz to niemożliwe. Jeśli przeżyje, z pewnością się z tobą skontaktuje.

— Jeśli przeżyje?!

— Zawiozę cię na lotnisko. Wszystko jest już przygotowane. Dostaniesz nowe dokumenty tożsamości i telefon. Carlos ma twój numer i gdy tylko będzie coś wiedział, z pewnością da ci znać.

— Powiesz mi chociaż, gdzie mam lecieć?

— Do Miami. Ktoś odbierze cię z lotniska i zawiezie do nowego domu.

— Świetnie!

Opieram się o fotel i z trudem powstrzymuję kolejne łzy. Mam już dość. Chcę być z Cole'em, a oni mi na to nie pozwalają. Sama niewiele mogę zrobić, bo nie wiem nawet, gdzie go zabrali, a Carlos nie chce mi pomóc. A jeśli Cole nie żyje? Na samą myśl o tym robi mi się słabo, a ból w sercu jest nie do zniesienia.

Rozdział trzydziesty

Cole

Znam dokładnie miejsce, w którym się budzę. Wszystko wokół mnie wiruje, ale już teraz wiem, że obok nie ma Lauren. Próbuję się podnieść, ale ból wygrywa.

— Nie rzucaj się, ledwo cię odratowaliśmy — odzywa się Carlos.

Podchodzi do mnie i przygląda mi się badawczo.

— Co z Lauren?

Niewiele pamiętam, ale gdy tylko pomyślę o tym, że ten sukinsyn mógł ją zabić, przestaję odczuwać ból. Choć gdyby ją zabił, i ja bym już nie żył.

— Ukryliśmy ją, ale jest bardziej waleczna, niż nam się wydawało.

— Co masz na myśli?

— Szuka cię. Dzwoni do mnie dziesięć razy dziennie. Chce cię zobaczyć i nie przyjmuje odmowy. Obiecałem jej, że gdy tylko się wybudzisz, sam się do niej odezwiesz. Chcesz zadzwonić teraz?

— Może byłoby lepiej, gdybyś poinformował ją o mojej śmierci — odpieram niepewnie.

— Dla ciebie? Dla niej? Dla kogokolwiek? Trzymałem ją z dala, wiedząc, że właśnie na taki pomysł wpadniesz. I jeśli chodzi o mnie, mogę powiedzieć jej wszystko, co tylko zechcesz, ale wierz mi, to zły pomysł. Poza tym, o ile się nie mylę, obiecałeś jej coś.

— Tak — szepczę. — Jak długo byłem nieprzytomny?

— Jutro minie tydzień. Samo przetransportowanie cię do Portland wiązało się z dużym ryzykiem, ale nie mieliśmy wyjścia. Przeżyłeś, choć straciłeś dużo krwi. Może to znak?

— Znak? — Chcę się zaśmiać, ale ból znów się odzywa. — Daj spokój, Carlos. Przeżyłem, bo nawet w piekle nie są na mnie gotowi.

— Co mam zrobić z twoją lolitą? Dochodzi południe, więc za chwilę znowu zadzwoni.

Zamykam na moment oczy, wyobrażając sobie wszystkie scenariusze, i jest ich naprawdę wiele. Najprościej byłoby poinformować ją o mojej śmierci. Zaczęłaby

życie od początku, ale ja nie dotrzymałbym danego jej słowa. Jest jeszcze coś — nie mogę pogodzić się z myślą, że już więcej miałbym jej nie zobaczyć.

— Zostaw telefon. Odbiorę, kiedy zadzwoni.

Carlos kiwa głową w geście zgody i kładzie swoją komórkę na brzegu łóżka.

— Miłość to nic złego, nawet w naszym zawodzie.

— Bywa też bolesna, sam o tym wiesz najlepiej.

— Ryzyko. Nigdy nie przewidzisz, co cię spotka. Ale ta mała z jakiegoś powodu nie jest w stanie żyć bez ciebie. Nie możesz być aż tak ślepy.

— Nie wiem, kiedy do tego doszło — wzdycham.

— Takich rzeczy nigdy się nie wie. Może nam się wydawać, że znamy moment, w którym poczuliśmy coś więcej do tej drugiej osoby, ale czy tak właśnie było? Tacy ślepcy jak ty długo się oszukują, nim spojrzą prawdzie w oczy. Jak więc masz przypomnieć sobie moment, w którym zacząłeś patrzeć na nią inaczej?

Nie odpowiadam, bo nie potrafię udzielić właściwej odpowiedzi. Carlos po chwili opuszcza mój pokój, dając mi czas do namysłu. Nie wiem, kiedy Lauren zadzwoni, ale jestem pewien, że gdy to się stanie, wiele się zmieni. Niezależnie od decyzji, jaką podejmę.

W końcu telefon się odzywa. Odbieram połączenie, jednak zanim udaje mi się dojść do słowa, odzywa się dziewczyna.

— Carlos, przysięgam, że jeśli znów każesz mi czekać, wynajmę samolot i do ciebie przylecę! Choćbym miała błądzić dniami po tym pieprzonym lesie, w końcu cię znajdę i powiem prosto w twarz, jak bardzo mnie wkurwiasz!

— Mnie też miło cię słyszeć, Lauren.

— Cole?! Obudziłeś się?!

— Twoja wiara w odnalezienie kryjówki Carlosa jest słodka.

— Jak się czujesz?!

Uśmiecham się, słysząc jej podniesiony głos.

— Dobrze, choć skoro moja sypialnia zamieniła się w szpitalną salę, chyba jeszcze nie doszedłem do siebie.

— Chcę przyjechać. I nie mów, że nie mogę, bo przysięgam...

— Bardzo chętnie się z tobą zobaczę, Lauren.

— Naprawdę?

— Skąd to zaskoczenie?

— Nie wiem. Zaczynałam powoli myśleć, że już się nie spotkamy — odpiera przygnębiona. — Kupiłeś mi dom w Miami. Kiedy? Dlaczego to zrobiłeś?

— Poprosiłem o to Carlosa przed wylotem do Niemiec. Wołałem cię zabezpieczyć, na wypadek gdyby coś się stało.

— Jestem niezłe zabezpieczona. Oddałeś mi wszystkie pieniądze od Włochów, pamiętasz?

— Pamiętam — odpieram rozbawiony.

— Skoro możemy się zobaczyć, chyba pora, żebym się spakowała.

— Carlos wszystko załatwi.

— Cole?

— Tak?

— Tęskniłam za tobą.

Przez chwilę milczę, ale wiem, że to nie może trwać w nieskończoność.

— Do zobaczenia, Lauren.

Rozłączam się, odkładam telefon i patrzę przed siebie, zastanawiając się, czy dobrze wybrałem. Nie muszę długo czekać na powrót Carlosa, który skutecznie rozwiewa moje rozterki.

— Rozumiem, że mam załatwić lot dla twojej lology?

— Mam nadzieję, że tego nie pożałuję.

— Człowiek z natury żałuje każdej decyzji, gdy tylko ją podejmie, wmawiając sobie, że gdyby wybrał inaczej, byłoby lepiej.

— Czytasz poradniki psychologiczne, gdy nie masz co robić?

— Mam już swoje lata.

— Swoją drogą Dano nie żyje. Dlaczego wciąż jesteśmy w lesie?

— Pokochałem to miejsce. Umrę tutaj. — Zabiera telefon i chowa go do kieszeni. — Sprowadzę Lauren. Jeśli dobrze pójdzie, tej nocy nie zaśniesz sam. Teraz jednak czas na twoje leki, po których pewnie odpłyniesz.

— Kurs na pielęgniarską też skończyłeś? — pytam, gdy mężczyzna robi coś przy kroplówce, do której jestem podłączony.

— Ściągnąłem tu kilku lekarzy, którzy pokazali mi, co robić. Gdy tylko twój stan się ustabilizował, stwierdziłem, że potrafię zająć się tobą sam.

— Twoja wszechstronność jest godna podziwu.

— Staram się — mówi z uśmiechem.

Gdy Carlos zmierza w kierunku drzwi, czuję, jak lek zaczyna działać. Dosłownie w sekundę staję się cholernie śpiący. Nie walczę z tym uczuciem.

Kiedy uchylam powieki, widzę uśmiechającą się do mnie kobietę. Jak długo musiałem spać, skoro Carlos zdążył ją tu sprowadzić? Sam lot trwa przecież siedem godzin.

— Dzień dobry, śpiochu — odzywa się rozbawiona Lauren. — Zaczynałam się bać, że wpadłeś w kolejną śpiączkę.

— Która godzina? — pytam zdezorientowany.

— Niedługo południe.

— Spałem dobie?

— Carlos mówi, że to normalne. Leki, które przyjmujesz, tak działają. Poza tym organizm jest wykończony i musi się zregenerować. Przebudziłeś się kilka razy, ale nie trwało to dłużej niż pięć sekund.

— Nie pamiętam tego.

— Tak myślałam. Ale jest też dobra wiadomość. Wczoraj przyjąłeś ostatnią dawkę tego specyfiku. Niedawno był tu lekarz i obejrzał twoją ranę. Powiedział, że wszystko ładnie się goi i niedługo będziesz mógł już normalnie funkcjonować.

— Wiele się wydarzyło, gdy spałem.

— Nic nie straciłeś.

W progu staje Carlos.

— Z wyjątkiem pokazu, w którym twoja dziewczyna nawrzeszczała na mnie, gdy tylko się pojawiła. O tym pewnie ci nie mówiła.

Uśmiecham się, widząc, jak Lauren mruży oczy i wymierza w Carlosa groźne spojrzenie.

— Nie nagrałeś tego?

— Mam tu podgląd ze wszystkich kamer świata, a zapomniałem zamontować choć jednej u siebie. Mój błąd.

— To nie jest śmieszne! — oburza się dziewczyna.

— Jest — mówię, narażając się na jej gniewne spojrzenie. — Jak minął ci lot?

— Porozmawiamy, gdy wydobrzejesz. — Grozi mi palcem, po czym odwraca się do Carlosa. — Pójdę coś zjeść, Hunter obiecał mi naleśniki. Podobno są świetne.

— Nie pożałujesz — odpowiada jej mężczyzna.

Kiedy Lauren wychodzi, Carlos staje obok mojego łóżka. Patrzy na mnie z szerokim uśmiechem, co zaczyna mnie intrygować.

— Jest niesamowita. Wpadła tu jak burza. Nawet Hunter nie był w stanie jej powstrzymać. Zmieniła się. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem ją na ekranie, myślałem, że postradałeś zmysły.

— Sam jestem zaskoczony.

— Nie wątpię. Swoją drogą Hunter także jest nią oczarowany.

— Chcesz przez to powiedzieć, że mam konkurenta? — Marszczę czoło.

— Absolutnie. Traktuje ją jak młodszą siostrę, ale wiesz, że nawet do ciebie nie jest w stanie przekonać się po tylu latach. Jest drugą osobą, którą polubił.

— Są do siebie podobni.

— Jestem z ciebie dumny, Cole. Podjąłeś najtrudniejszą decyzję w swoim życiu i nie spieprzyłeś tego.

To rzeczywiście była trudna decyzja, ale czy na pewno niczego nie spieprzę? Tego niestety nie jestem pewien.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Lauren

Tygodnie mijały, a Cole powoli dochodził do siebie. Po pewnym czasie przyzwyczaiałam się nawet do mieszkania w kryjówce Carlosa, choć na początku nie było to łatwe. Teraz jednak czuję się tu jak u siebie w domu, mimo to cieszę się, że w końcu możemy wyjść. Cole jest już w pełni sprawny. Co prawda ten stan trwa od dobrych dwóch tygodni, ale na opuszczenie Portland trzeba było odpowiedniego czasu. Tym razem to nie on musiał być gotowy. Wszystko zależało ode mnie. Na samą myśl o powrocie do Hebronu robiło mi się słabo, ale udało mi się pokonać to uczucie. Wcale nie było łatwo, jednak z pomocą trzech wspaniałych mężczyzn jakos mi się udało.

— Jesteś pewna?

Cole pyta mnie o to średnio pięć razy dziennie, odkąd poinformowałam go, że jestem gotowa na zemstę. Dziś jednak przebija samego siebie.

— Tak. Bardziej pewna już nie będę. Chcę mieć to za sobą i wrócić do Miami. Muszę w końcu zacząć żyć, Cole.

— A więc czas na nas.

Już się nie boję. Od dawna trenuję każdego dnia, co dało mi dużo pewności siebie. Wiem, że nic mi nie grozi, a jedyny problem siedzi w mojej głowie. Trudno przewidzieć, jak zareaguję, gdy zobaczę twarz mojego największego koszmaru. Czy wszystko do mnie wróci? A może to tylko doda mi siły? Jedno jest jednak pewne — nie wycofam się.

Pozegnałam się z Carlosem i zostawiłam go razem z Cole'em. Muszą chyba porozmawiać. Hunter czeka już na nas tuż przed schodami. Na mój widok uśmiecha się przyjacielsko.

— Mam nadzieję, że niedługo znów się zobaczymy — mówi, gdy staję przed nim.

— Ja także. Co prawda muszę załatwić kilka spraw i odpocząć od tego miejsca, ale gdy tylko się z tym uporam, chętnie was odwiedzę.

— Obyś szybko się z nimi uporała. — Zaciska usta, rozglądając się przez chwilę nerwowo dookoła. — Uważaj na siebie, Lauren.

— Zawsze uważam. — Puszczam mu oczko.

Cole dołącza do nas, na co Hunter wyraźnie się spina. Nie jest już tak, jak było kiedyś, bo odkąd zmuszeni byliśmy zamieszkać razem, wiele uległo zmianie. Wciąż jednak można wyczuć napięcie towarzyszące im za każdym razem, gdy są blisko siebie.

— Pora na nas — rzuca Cole, po czym rusza jako pierwszy.

Idę za nim, od razu zaciągając się leśnym powietrzem, które wypełnia moje płuca. Uwielbiam ten zapach. Będzie mi go brakować. Mam wrażenie, że na zawsze żegnam się z tym miejscem i jego mieszkańcami. Oby to nie była prawda.

Całą drogę na lotnisko nie odzywamy się ani słowem, towarzyszy nam jedynie muzyka z radia, w którą wsłuchuję się intensywnie, by zagłuszyć myśli. W końcu jednak docieramy na miejsce, a moją głowę próbuje zawładnąć panika. Nie poddaję się. Jestem ponad to. Muszę być. Biorę kilka głębokich wdechów i żegnam się z Hunterem. Przytulam go mocno, po czym wracam do Cole'a.

Nie mija wiele czasu, gdy siedzimy już na swoich miejscach w samolocie. Tym razem lot nie będzie trwał tak długo jak zazwyczaj. Za cztery godziny będę w mieście, którego nienawidzę. Nie sądziłam, że jeszcze kiedyś do niego wrócę. Jak widać, niczego nie można być pewnym.

— Kiedy ponownie wsiądziesz do samolotu, poczujesz się zupełnie inaczej — mówi Cole, najpewniej zauważając moje rozterki.

— Lepiej? Gorzej?

— Inaczej.

— Co to znaczy?

— Sama zobaczysz.

— Denerwuję się — przyznaję nieśmiało.

— Cały czas będę przy tobie.

— Wiem. Nie boję się, że coś mi się stanie. Po prostu nie wiem, jak zareaguję, gdy go spotkam. Gdy znów spojrzę mu w twarz.

— Pamiętaj wtedy, że tym razem to ty jesteś górą.

— A jeśli ucieknie?

— Przestrzelę mu nogę. Daleko nie ucieknie. — Puszczam do mnie oczko, uśmiechając się szeroko.

Jego dobry nastrój udziela się nawet mnie, co w tych okolicznościach jest naprawdę zaskakujące.

— Cole... Dziękuję. Gdyby nie ty...

— Dałabyś sobie radę?

— Żartujesz? — pytam rozbawiona. — Spotkałeś mnie w dniu, w którym czekałam na śmierć. Miałam nadzieję, że umrę z zimna, a później, że mnie zastrzelisz. Naprawdę uważasz, że gdybym nie trafiła wtedy na ciebie, dałabym sobie radę?

Widzę, że się zastanawia, i nawet mnie to bawi. Rzadko kiedy mogę zaobserwować jego minę, gdy nie wie, co powiedzieć.

— Wydaje mi się, że ostatecznie zawalczyłabyś o siebie.

— Wątpię.

Opuszczam głowę, ale Cole od razu łapie moją brodę i zmusza mnie, bym na niego spojrzała.

— Nigdy tego nie rób. Jesteś kobietą, która potrafi obezwładnić mężczyznę i jakimś cudem nauczyła się strzelać. Nigdy nie opuszczaj głowy — mówi dosadnie.

— Masz rację. W końcu pokonałam nawet ciebie — rzucam kąśliwie.

— Hej! To się nie liczy. Nie spodziewałem się takiego ataku.

— Skoro się nie spodziewałeś, liczy się jeszcze bardziej. — Posyłam mu szeroki uśmiech, na co odpowiada tym samym.

— Niech ci będzie.

To, jak szybko minął mi ten lot, jest nie do pomyślenia. Mam wrażenie, że dopiero co zajęłam swoje miejsce, a teraz jestem już w Dallas i wsiadam do samochodu, który ma zawieźć mnie na spotkanie z koszmarem mojej przeszłości. Na zewnątrz zapada zmrok, idealna pora, by dokonać zemsty. Thomas w tym czasie zwykle żeruje na zewnątrz. Gdy mieszkałam z nim jeszcze pod jednym dachem, nauczyłam się jego ścieżek, by zawsze być przygotowana i nigdy nie chodzić tam, gdzie mogłabym przypadkiem na niego wpaść. Jednym z takich miejsc jest klub sportowy, w którym często bywał ze swoimi kumplami. Wątpię, by cokolwiek się zmieniło, dlatego właśnie ten adres podaję na początku. Mam nadzieję, że tam będzie i wszystko szybko zakończymy.

Kierowca wynajęty przez Cole'a z pewnością wie o jego... profesji. Zresztą prowadzi nowego mercedesa, więc nie jest raczej zwykłym kierowcą. Powoli

zaczynam zauważać cechy ludzi ze środowiska, w którym sama żyję od niedawna. Wyróżniają się, dopiero teraz to dostrzegam.

— Jeśli jest w środku, musimy jakoś go wyciągnąć — odzywa się Cole, gdy dojeżdżamy na miejsce.

— To nie będzie konieczne, o ile nie ma z nim nikogo z domu — odpowiadam, od razu ciągnąc za klamkę.

Wychodzę z samochodu i powoli zmierzam w stronę budynku. Cole szybko mnie dogania i łapie za ramię.

— Co robisz?

— Wiem, gdzie zawsze siedzą, z jednego z okien jest idealny wgląd na całe pomieszczenie.

Ruszam dalej, a mężczyzna dotrzymuje mi kroku. Dochodzimy do okna, o którym mówiłam. Zaglądam ukradkiem do środka i dostrzegam Thomasa.

— Ten w czerwonej koszulce i czapce z daszkiem — mówię przez zaciśnięte gardło, opierając się o ścianę.

Jego twarz przywołuje najgorsze wspomnienia, które szybko udaje mi się wyrzucić z pamięci.

— A reszta?

Znów zaglądam do środka, starając się unikać widoku Thomasa.

— Nie. Znam wszystkich, z pewnością nie są nowymi mieszkańcami domu zastępczego.

— A więc będzie wracał sam.

— Najprawdopodobniej.

Cole łapie mnie za rękę i odciąga od budynku. Nietrudno dostrzec, że ten widok wytrącił mnie z równowagi, ale nie jest źle. Im bliżej samochodu jestem, tym lepiej się czuję.

— W porządku? — Z samochodu wychodzi kierowca.

— Tak, Bill.

Dwoma słowami Cole sprawia, że mężczyzna wraca za kierownicę.

— To ktoś w postaci twojego pracownika? — pytam szeptem.

— Niezupełnie. Mając dostęp do bazy zleceń, mam też dostęp do kontaktów do ludzi takich jak on. Chętnie pomagają, bo za lekką robotę dostają kupę kasy, a sami nie brudzą sobie rąk. Są przydatni.

— Lekka robota? — pytam zamyślona. — Może i ja spróbuję dostać się do takiej bazy.

— Zapomnij. — Kładzie dłoń z tyłu mojej głowy i przyciąga mnie do siebie. — Ty jesteś zbyt cenna, by robić cokolwiek, co ma związek z moją pracą.

— Cenna? — Unoszę głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. — Dla kogo?

— Dla mnie — mówi po chwili namysłu.

— Ktoś miał się nie zakochiwać.

Śmieje się krótko, choć szybko poważnieje.

— Czy to nie działa w dwie strony?

Nagle patrzy na mnie tak przenikliwym wzrokiem, że na moment zapominam, jak się oddycha. Zdaje się nie tylko czytać wszystkie moje myśli, ale także zmuszać mnie do powiedzenia mu całej prawdy, wyjawienia wszystkich sekretów. Z trudem przełykam ślinę, zanim udaje mi się odpowiedzieć.

— Tak.

— Wracajmy do samochodu. Lepiej, żeby nikt nas nie zauważył.

Kiwam głową w geście zgody i wracam na swoje miejsce. Cole dołącza do mnie, po czym w ciszy skupiamy się na drzwiach do klubu. To trwa zbyt długo. Dochodzi dziewiąta wieczorem, a on wciąż tam siedzi. Naprawdę marzę o tym, by mieć to wszystko już za sobą.

— Za cztery godziny mamy lot do Miami, ten kutas mógłby się pośpieszyć — odzywa się nerwowo Cole, zerkając na swój zegarek.

— Może jest coś, co mogłoby go stamtąd wykurzyć? — Bill odwraca się do nas.

— Nie mam pojęcia. Nic nie przychodzi mi do głowy. Poza tym, jeśli nawet stąd wyjdzie, nie jest powiedziane, że nie pójdzie w inne miejsce.

Kiedy kończę mówić, drzwi się otwierają. Ze środka wychodzi Thomas w towarzystwie dwóch kolegów. Rozmawiają o czymś i cholera wie, ile to jeszcze potrwa. Mimo przyciemnionych szyb nie mogę pozbyć się lęku przed tym, że mnie zauważy. Mimowolnie chowam się za ramieniem Cole'a, a on przyciąga mnie do siebie.

— Jeszcze chwila i będziesz miała to za sobą — szepcze, głaszcząc moje plecy.

— Wiem.

Parę minut później Thomas żegna się z kolegami i idzie w kierunku domu państwa Romerów. A więc zaraz to się stanie...

Czekamy kilka chwil, po czym ruszamy w kierunku domu. Po drodze mijamy Thomasa, który nie zdaje sobie sprawy, że jego godzina nadeszła. Na samą tę myśl wzrasta we mnie adrenalina. Chyba nawet się uśmiecham, choć może to tylko grymas spowodowany emocjami, jakie we mnie siedzą. Zatrzymujemy się pośrodku niczego. Po lewej stronie jest kilka drzew, a po prawej — jedynie stary opuszczony budynek. Rudera, w której kiedyś... Na samo wspomnienie chce mi się płakać, ale nie poddaję się. Wychodzę z auta, opieram się o maskę i czekam. Kilukrotnie sprawdzam broń, jakby miała mi wyparować. I kiedy po raz dziesiąty upewniam się, że mam ją przy sobie, z zakrętu wychodzi Thomas. Na początku mnie nie zauważa, ale gdy tylko unosi głowę, zatrzymuje się i mruży oczy.

— Mała Lauren? — pyta rozbawiony. — Kurwa, prawie bym cię nie poznał. Mamy pewne zaległości, suko.

Rusza do mnie pewnym krokiem, ale to już nie robi na mnie wrażenia. Uśmiecham się, co wprowadza go w osłupienie, które maluje się na jego twarzy. Zwalnia, choć nie przestaje iść w moją stronę. Gdy jest już blisko, z samochodu wychodzi Cole. Thomas staje, patrzy na niego, po czym spogląda na mnie i przekręca głowę.

— Puszczasz się z bogatym alfonsem?

Nie wiem, co się ze mną dzieje, ale wybucham śmiechem.

— Jeszcze jedno takie zdanie i nie zdążę cię zabić, bo on to robi.

Na te słowa marszczy czoło, po czym chyba dochodzi od niego, co dokładnie powiedziałam, bo zaczyna się cofać. Słyszę dźwięk odbezpieczanego pistoletu i już wiem, że Cole mierzy właśnie w jego nogę. Zerkam przez ramię, upewniając się w tym, że mam rację.

— Celuj w kolano. Podobno najbardziej boli — odzywam się pewnym głosem.

— Jak sobie życzysz, skarbie.

— Co tu się, do chuja, dzieje?! — Tom zaczyna panikować.

— Taki odważny — odpieram rozbawiona. — Jak ja mogłam bać się tchórza?

— Chętnie o tym porozmawiam, ale nie na środku ulicy — odzywa się Cole.

— Ach, tak. — Odbijam się od maski i odwracam w stronę przedniej szyby, by dać znać Billowi, że ma nam pomóc. — Wiem, że miał być bagażnik, ale ta rudera jest lepsza — mówię, gdy mężczyzna wychodzi.

Obaj ruszają w stronę Thomasa, który już nawet nie próbuje uciekać. Czy to paralizujący strach, czy nadzieja, że skończy się na kilku siniakach? Jestem w stanie wybaczyć każdemu, kto mnie skrzywdził, ale nie jemu.

Wszystko idzie sprawnie. To był jednak ostatni moment, w którym nie musiałam nic robić. Cole i Bill rzucają Thomasa na środek rudery i odchodzą o kilka kroków. Staję przed chłopakiem, choć zachowuję bezpieczną odległość. Wolę nie ryzykować, że się na mnie rzuci, bo chciałabym wyjść stąd bez szwanku. Patrzę na niego i sama nie wiem, od czego powinnam zacząć. Mam tyle pomysłów. Żeby jednak zrealizować wszystkie, musiałabym wskrzesić go przynajmniej pięć razy.

— Mówiłeś, że mamy zaległości — zaczynam zamyślona swoją przemowę. — Rzeczywiście. Trudno byłoby się z tym nie zgodzić. — Powoli obchodzę go dookoła. — Bardzo długo myślałam o tym, jak je nadrobić. Wiesz, nocą, gdy uciekłam, pragnęłam umrzeć. To była twoja wina. Ale wiele się zmieniło. Ktoś stąd nie wyjdzie żywy. Jak myślisz, kto to będzie?

Zaczyna szlochać, co wywołuje we mnie rozbawienie. Jak mogłam bać się kogoś takiego?

— Przepraszam, ja nie chciałem.

— Nie chciałeś?! Nie ośmieszaj się, kurwa, jeszcze bardziej! — Odwracam się do Cole'a i wyciągam rękę w jego kierunku. — Daj mi nóż.

Kiedy ostrze jest już w mojej dłoni, zastanawiam się, co powinnam z nim zrobić. Oczyma wyobraźni widzę, jak wbijam je w jego ciało raz za razem, ale to nie takiej zemsty potrzebuję. Kucam więc obok niego i przez chwilę patrzę mu prosto w oczy. Boi się. Po raz pierwszy to on się boi. Z uśmiechem na twarzy biorę zamach i wbijam nóż w jego udo, po czym szybko wyciągam ostrze i wstaję. Thomas krzyczy z bólu, a ja delectuję się tym dźwiękiem.

— Lepiej, żeby nikt go nie usłyszał — sugeruje podenerwowany Bill.

— Racja — mówi Cole, po czym sięga do kieszeni, z której wyciąga kawałek materiału i umieszcza go w ustach chłopka. — Teraz już nikt go nie usłyszy. — Zerka na mnie. — Chyba że chciałaś z nim o czymś porozmawiać?

— Nie. Nie obchodzi mnie jego nieszczerze przeprosiny. Cokolwiek by powiedział, to i tak nic nie zmieni — mówię wolno, wpatrując się w przerażonego Thomasa.

— A więc kończmy to.

Nie chcę tego kończyć. Nie tak szybko. Sytuacja jest jednak na tyle ryzykowna, że nie mogę przeciągać tego w czasie. Wzdycham, niechętnie oddając nóż Cole'owi, i sięgam po pistolet. Odbezpieczam go, celuję prosto w chłopaka, który najprawdopodobniej popuścił ze strachu.

— Po raz pierwszy będę używać pistoletu z tłumikiem — mówię, przyglądając się broni, jakby właśnie to było najważniejsze. — Ciekawe, czy jest głośny.

Po tych słowach od razu oddaję strzał, celując prosto w krocze Thomasa. Mimo materiału, który ma w ustach, jego krzyk jest przerażająco głośny. Panikuję. Boję się, że ktoś właśnie przechodzi ulicą i to usłyszy. Nie mogę pójść siedzieć za tego sukinsyna. I choć żałuję, że wszystko nie może trwać dłużej, oddaję kolejny strzał. Tym razem kula trafia prosto w głowę Thomasa i kończy jego męki. Wcale na to nie zasłużył.

— Szkoda. Liczyłam na dłuższą rozrywkę — mówię zawiedziona, chowając pistolet z tyłu spodni.

— Sama wybrałaś to miejsce. W lesie mogłabyś bawić się nieco dłużej — komentuje Cole.

Czy naprawdę patrzy na mnie z dumą, czy umysł płata mi figle?

— Tak — wzdycham. — Z tym budynkiem łączą mnie pewne wspomnienia. — Podchodzę do niego i wtulam się w jego tors. — Zabierz mnie stąd.

— Jak sobie życzysz.

Ostrożnie opuszczamy budynek. Na szczęście wokół jest zupełnie pusto. Wsiadamy do samochodu, a Bill wiezie nas prosto na lotnisko. Już niedługo będę w domu.

Rozdział trzydziesty drugi

Cole

Dała sobie radę. Mało tego, poradziła sobie lepiej, niż zakładałem. Obawiałem się, że zaczniesz mieć wątpliwości albo że cała sprawa ją przerośnie. Myliłem się. Jest silniejsza, niż mogłem sobie wyobrazić.

— Miałaś rację. Jest inaczej — odzywa się, gdy jesteśmy już w samolocie.

— Lepiej, gorzej? — pytam z uśmiechem.

— Inaczej. To prawda.

— Mówiłem. Ten dzień sprawił, że stałaś się kimś innym.

— Zabijając jego, zabiłam starą Lauren, która bała się zasnąć. To lepsze niż wieloletnia terapia u wybitnego specjalisty. Teraz mogę zacząć żyć. Dopiero teraz — szepcze.

— Czy w nowym życiu znajdziesz miejsce dla płatnego zabójcy?

— Pokój w moim domu już na ciebie czeka — rzuca rozbawiona.

— Pokój? — Unoszę brew. — Wolałbym twoją sypialnię.

— A kto powiedział, że nie to mam na myśli?

Sam nie wiem, co robię i co będzie dalej. Wiem jednak, że teraz chcę być z nią i zastanowić się, jak dalej potoczą się nasze losy. Niczego nie zakładam, bo nie jestem człowiekiem, który może być czegokolwiek pewien. Jedynie śmierć zdaje się nieunikniona.

Dom, który Carlos znalazł dla Lauren, mieści się w idealnej odległości od morza. Jest większy, niż się spodziewałem, ale bardzo pasuje do tej kobiety.

— Jak ci się podoba? — pyta, gdy wchodzimy do środka.

Rozglądam się po dużym salonie z uśmiechem na twarzy.

— Przytulnie.

— Kiedy Carlos próbował mnie zbywać, starałam się urządzić wszystko po swojemu, ale chyba nie najlepiej mi to wyszło.

— Dlaczego?

— Bo wystrój przypomina zdjęcie z katalogu — odpiera ze skwaszoną miną. — Absolutnie do mnie nie pasuje.

— Muszę przyznać ci rację.

— Skoro już tu jesteś, może mógłbyś mi pomóc w jego urządzeniu tak jak należy?

Jej słodkie spojrzenie sprawia, że gotów jestem zgodzić się dosłownie na wszystko.

— Dobrze. Ale jest coś, co może przerwać naszą zabawę w dom, Lauren — mówię poważnie.

— Co takiego?

Siadam na fotelu, a ona zajmuje miejsce naprzeciwko mnie. Przygląda mi się wyczekująco, gdy próbuję znaleźć odpowiednie słowa.

— Wciąż jestem zabójcą na zlecenie.

— Sam mówiłeś, że chciałbyś mieć spokój. Dlaczego po prostu z tym nie skończysz?

— To też już ci mówiłem.

— Ale nawet nie spróbowałeś. Kto wie, może ci się spodoba?

— Może — wzdycham. — Niczego nie mogę ci obiecać.

— Dajmy sobie rok. Jeśli dojdziemy do wniosku, że to się nie uda, pomyślimy nad innym rozwiązaniem. Ewentualnie będziemy widywać się w przerwach od twoich kolejnych zleceń.

— A jeśli jednak się uda?

— Ubierzmy razem choinkę. — Wzrusza ramionami, uśmiechając się przy tym niewinnie. — Choć choinkę możemy ubrać niezależnie od decyzji.

— Racja. Tym bardziej że rok minie w marcu.

— Mamy już marzec? — pyta wyraźnie zaskoczona. — Cole, przy tobie czas przepływa mi przez palce.

Z głośnym śmiechem wstaję i podchodzę do dziewczyny. Wyciągam do niej rękę, a kiedy podaje mi swoją dłoń, przyciągam ją do siebie.

— Skoro tak, zastanów się, czy na pewno chcesz spędzić ze mną rok.

— Oczywiście, że chcę. Może znajdziemy czas, by odwiedzić Carlosa? Skoro zlecenia nie będą cię gonić.

Nie jestem pewien tej decyzji. Nie chodzi o pieniądze, ich mam wystarczająco dużo, by żyć w dostatku do późnej starości. Chodzi o rutynę, do której się przyzwyczałem. Jednak od dnia, w którym poznałem Lauren, wiele się zmieniło i wcale mi to nie przeszkadza. Chyba dopiero teraz naprawdę żyję. By jednak

nabrać pewności, muszę zdecydować się na kolejny krok. To tylko trzysta sześćdziesiąt pięć dni.

Epilog

Lauren

(dziewięć miesięcy później)

Nigdy nie przepadałam za zakupami, ale teraz mam ochotę rzucić wszystko w cholerę i jeść piasek. Tłum ludzi, którzy przypomnieli sobie o nadchodzących świętach, przyprawia mnie o palpitację serca. Są wszędzie, kupują wszystko, jakby mieli spędzić najbliższe miesiące z dala od cywilizacji. Wyszłam tylko po mleko, a mimo to utknęłam w markecie i nie mam pojęcia, kiedy stąd wyjdę. Stoję w kolejce od dobrych dwudziestu minut, trzymając w ręku tylko tę jedną butelkę mleka, gdy reszta ludzi asekuje swoje wózki, by góra jedzenia, jaką do nich włożyli, nie postanowiła się wywrócić. Kiedy nadchodzi moja kolej, czuję się jak Marsjanin. Tak właśnie patrzy na mnie ekspedientka. Zanim informuje mnie o sumie, jaką muszę zapłacić, pięć razy upewnia się, czy nie kupuję niczego więcej. Chcę zjeść jedynie swoje płatki.

Głodna, zmęczona i na granicy wytrzymałości wracam do domu. Po drodze mijam kolejnych ludzi, którym odbiło na punkcie świąt, ale świeże powietrze nieco mnie uspokaja. Może trochę im zazdrozczę i dlatego jestem tak zła. Razem z Cole'em ustaliliśmy, że święta nie są dla nas. A raczej on mi to zasugerował, a ja bezmyślnie się zgodziłam. Mam za swoje. Kiedy inni będą jeść uroczystą kolację przy blasku świec, tuż obok ozdobionej choinki, ja będę jadła frytki, oglądając Netfliksa. Zawsze mogło być gorzej. Chyba.

Wracam do domu, wołając od razu Cole'a, ale chyba go nie ma. Wyciągam z kieszeni telefon i wybieram jego numer, by dowiedzieć się, gdzie wyszedł. Nie wspominał mi o tym, że musi coś załatwić.

— Wróciłaś? — pyta, gdy tylko odbiera połączenie.

— Tak. Gdzie jesteś? Chciałam ci opowiedzieć, jaką wielką miałam ochotę wysadzić cały market w powietrze.

— Dobrze, że nie zabrałaś ze sobą broni — komentuje rozbawiony.

— Bardzo śmieszne. Powiesz mi, gdzie jesteś?

— To niespodzianka. Niedługo wrócę.

Po tych słowach od razu się rozłącza. Niespodzianka? To w ogóle nie pasuje mi do tego faceta. Od razu wyobrażam sobie coś strasznego i tylko niepotrzebnie się nakręcam. By nie popaść w paranoję, włączam telewizor i siadam na kanapie z miską płatków, do których w pocie czoła zdobyłam mleko. Wcale nie smakują lepiej. Zważywszy na trud, jaki musiałam włożyć w zakupy, czuję się zawiedziona.

Mijają minuty, a Cole'a dalej nie ma. Zerkam na telefon, sprawdzam godzinę naszego połączenia i szybko wyliczam, że rozmawialiśmy już półtorej godziny temu. Mówił, że wróci niedługo... Znow zaczynam za dużo myśleć, ale mężczyzna pojawia się w odpowiednim momencie.

— Nareszcie! Już się zastanawiałam, czy czasem nie siedzisz w samolocie!

Opiera się o futrynę i patrzy na mnie badawczo.

— Dlaczego miałbym siedzieć w samolocie? — pyta zaskoczony.

Długo ukrywałam lęk przed tym, że postanowi mnie opuścić, a im bliżej marca jesteśmy, tym ciężiej mi o tym nie myśleć.

— Nieważne. Gdzie byłeś?

— Chodź ze mną.

Nie podoba mi się to, ale wychodzę za nim z domu. Staję na werandzie i zaraz dostrzegam na podjeździe ogromną choinkę. Po chwili dociera do mnie, że obok niej ktoś jest.

— Carlos?! Hunter?! — piszczę podekscytowana.

Podbiegam do mężczyzn i rzucam się w ich ramiona, z trudem powstrzymując się przed płaczem. Wzruszona nie wierzę, że tu są.

— Witaj, mała — mówi Carlos, mocno mnie do siebie przytulając. — Podobno tęskniłaś.

— Nawet nie wiecie, jak bardzo. — Odwracam się do Cole'a. — Jak ci się udało ich tu ściągnąć?

— Nie było łatwo — odpiera dumnie.

— Próbował przekonać mnie już od dobrych miesięcy. Używał nawet szantażu — dodaje rozbawiony starszy mężczyzna. — W końcu mu się udało.

— Zagroził ci? — pytam rozbawiona.

— Powiedział, że musi to dla ciebie zrobić.

Sama już nie wiem, co wzruszyło mnie bardziej. Obecność mężczyzn, czy to, co powiedział Carlos. Chyba nigdy w życiu nie byłam tak bardzo szczęśliwa.

— Chodźcie do domu. Trzeba ustawić to drzewo. Przydałyby się dekoracje — odzywa się Cole.

— Cholera! Nie mam nic do jedzenia! Musimy iść na zakupy!

Właśnie dociera do mnie, że wpadłam w świąteczny szał, za którego chciałam zabić dziś wielu ludzi.

— Zaraz się za to zabierzemy. Ale zostaw broń, co?

— Bardzo śmieszne. — Szturcham mężczyznę w bok. — Teraz już rozumiem tych ludzi.

Carlos i Hunter zostają w domu, by się rozpakować i odpocząć po podróży, a ja z Cole'em wychodzę na zakupy. Kiedy siedzimy już w samochodzie, od razu się odzywam.

— Dziękuję. Nie spodziewałam się. Do tej pory nie mogę w to uwierzyć.

— Mówisz o naszych gościach czy choince?

— O wszystkim.

— Twierdziłaś, że święta nie są ważne, ale dokładnie pamiętam, co działo się rok temu. Każde twoje słowo. Marzyłaś o pierwszych w życiu prawdziwych świętach, więc nie mogłem ci ich nie dać.

— Dziękuję. Nie wiem, co mogę jeszcze powiedzieć.

— Nic nie musisz mówić. — Kładzie dłoń na mojej nodze. — Jest jeszcze coś — mówi bardzo poważnie.

— Co takiego?

— Nie musimy czekać pełnego roku. Już podjąłem decyzję.

Z trudem przełykam ślinę. Bałam się tego dnia, ale do tej pory powtarzałam sobie, że mam jeszcze czas.

— Co postanowiłeś? — pytam przez zaciśnięte gardło.

— Im dłużej żyję jak normalny człowiek, tym bardziej mi się to podoba. Na początku było ciężko. Powstrzymałem się od sprawdzania dostępnych zleceń, ale nie zawsze się udawało. Kilka razy miałem ochotę coś zaakceptować. Wtedy myślałem o tobie i to pomagało. Jakiś czas temu dotarło do mnie, że od dawna już o tym nie myślę. Nie chcę wracać do poprzedniego życia.

— Naprawdę? — Łzy stają mi w oczach, mięknię.

Cole zatrzymuje samochód na poboczu i odwraca się do mnie.

— Naprawdę. Podjąłem decyzję i jestem jej w stu procentach pewien. Oboje możemy żyć jak normalni ludzie.

Wpadam w jego ramiona i mam ochotę nigdy go nie puścić. To, co powiedział, jest spełnieniem mojego największego marzenia. Nie spodziewałam się, że kiedykolwiek usłyszę od niego te słowa. A jednak usłyszałam i nie mogę w to uwierzyć.

— Kocham cię, Cole — szepczę przez zaciśnięte gardło.

— Ja ciebie też, Lauren.

Tak wielu miesięcy potrzebowaliśmy, by przyznać się do czegoś oczywistego. Teraz mamy już wszystko. To najważniejsze.

PROGRAM PARTNERSKI
— GRUPY HELION —

1. ZAREGISTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KRAJĄC
3. ZBIERAJ PUNKTY

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej | dołącz już dzisiaj!
<http://program-partnerski.helion.pl>

Spis treści

[Rozdział pierwszy](#)

[Lauren](#)

[Rozdział drugi](#)

[Cole](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Lauren](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Cole](#)

[Rozdział piąty](#)

[Lauren](#)

[Rozdział szósty](#)

[Cole](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Lauren](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Cole](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Lauren](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Cole](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Lauren](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Cole](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Lauren](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Cole](#)

[Rozdział piętnasty](#)

[Lauren](#)

[Rozdział szesnasty](#)

[Cole](#)

[Rozdział siedemnasty](#)

[Lauren](#)

[Rozdział osiemnasty](#)

[Cole](#)

[Rozdział dziewiętnasty](#)

[Lauren](#)

[Rozdział dwudziesty](#)

[Cole](#)

[Rozdział dwudziesty pierwszy](#)

[Lauren](#)

[Rozdział dwudziesty drugi](#)

[Cole](#)

[Rozdział dwudziesty trzeci](#)

[Lauren](#)

[Rozdział dwudziesty czwarty](#)

[Cole](#)

[Rozdział dwudziesty piąty](#)

[Lauren](#)

[Rozdział dwudziesty szósty](#)

[Cole](#)

[Rozdział dwudziesty siódmy](#)

[Lauren](#)

[Rozdział dwudziesty ósmy](#)

[Cole](#)

[Rozdział dwudziesty dziewiąty](#)

[Lauren](#)

[Rozdział trzydziesty](#)

[Cole](#)

[Rozdział trzydziesty pierwszy](#)

[Lauren](#)

[Rozdział trzydziesty drugi](#)

[Cole](#)

[Epilog](#)

Lauren

(dziewięć miesięcy później)